

Adam Leśniewski

Wspomnienia z okresu wojny

1939 - 1945

Stockholm 1997

To all it should concern

Spis treści

Kilka uwag wyjaśniających	4
Część pierwsza. Początek. Wrzesień 1939-luty 1940	5
Moja kampania wrześniowa, 1 września – początek października 1939	5
Już nie Łódź, a tylko Lodsch, październik 1939 - luty 1940	19
Część druga	27
Litzmannstadt Getto. Luty 1940 - wrzesień 1944	27
Warunki mieszkaniowe	28
Źródła utrzymania i sposób gospodarowania	34
Głód, jedzenie, choroby	41
Przyjemności w getcie	48
Olśnienie komunizmem	65
Zagłada łódzkiego getta	85
Część trzecia. Obozy.....	102
Dwanaście dni w Birkenau	102
Braunschweig / Brunszwik / - Vechelde. Połowa września 1944 - styczeń ? luty ? 1945	117
Watenstedt – Ludwigslust, Luty 1945 – 2 maja 1945	151
Powrót: Ludwigslust – Łódź, 2 maja - druga połowa lipca 1945	169

Kilka uwag wyjaśniających

Przystępując do spisywania tych wspomnień, wolny byłem od jakiegokolwiek z góry założonej myśli przewodniej, wokół której miałbym gromadzić fakty. Nałożyłem sobie jednak dwa ograniczenia.

Po pierwsze, postanowiłem zignorować to wszystko, o czym dowiedziałem się dopiero po wojnie, gdy zyskałem dostęp do informacji nieosiągalnych dla mnie w czasie getta i obozu. Zależało mi bowiem na tym, aby możliwie wiernie odtworzyć stan mojej ówczesnej świadomości, moją niewiedzę i złudzenia. Chciałem sobie także przypomnieć, jaki był sposób myślenia 16-letniego chłopca, gdy wojna się zaczynała i 20-letniego młodzieńca, gdy wojna się kończyła.

Drugie ograniczenie polegało na tym, że postanowiłem pominąć w tych wspomnieniach zdarzenia o charakterze osobistym i intymnym. Uważam, że relacja o przeżyciach związanych z okresem wojny nie będzie zniekształcona jeśli sprawy te będą pominięte. Poza tym, zawsze miałem i nadal mam trudności z tego typu zwierzeniami. Jedynym, ale też pozornym odstępstwem jest wzmianka o mojej pierwszej miłości w getcie. Służy ona jednak tylko jako niezbędne tło, bez którego nie mógłbym opowiedzieć o sprawie Nika Fiszera, w którą byłem wmieszany.

Po napisaniu całości okazało się, że wyszedł z tego niesentymalny opis wydarzeń z czasów wojny i mojego w nich uwikłania. Niesentymalny okazał się także mój autoportret, z czego zdawałem sobie sprawę już w trakcie pisania, gdy z przykrością odkrywałem pewne do tej pory nieuświadomione przez siebie cechy i właściwości.

Uważam, że przetrwałem getto i obóz w lepszych warunkach, niż wielu z tych, którzy również przeżyli. Chociaż hitlerowcy zabili mi matkę i prawie wszystkich krewnych po stronie obojga rodziców, to w przeciwieństwie do innych, los obszedł się ze mną względnie łaskawie i

właśnie dlatego przez długi czas odrzucałem myśl o spisaniu własnych wspomnień. Wiedziałem ponadto, że rynek księgarski jest nasycony literaturą pamiętnikarską i wspomnieniową o tak wielkim ładunku dramatycznym, że moje wspomnienia musiałyby z konieczności wypaść blado i nieprzekonywująco. Stosunkowo późno zrozumiałem, że wartość literatury wspomnieniowej niekoniecznie musi wynikać z dramatyzmu faktów.

Tekst tych wspomnień zawiera bardzo dużo szczegółów, w tym także technicznych detali oraz mniej, lub bardziej dosłownie przytoczonych wypowiedzi. Większość z nich jest oczywiście zbędna z punktu widzenia relacji na temat tego, co i jak było. Jeżeli zachowałem te szczegóły to tylko dlatego, że pisanie o nich sprawiało mi przyjemność. W trakcie pisania borykałem się bowiem wielokrotnie z lukami w pamięci. Czasami nie mogłem sobie przypomnieć, jak coś się działo, albo jaka była chronologia pewnych wydarzeń, nie mówiąc już o zapomnianych nazwiskach. Tym większą miałem więc satysfakcję, gdy nieoczekiwanie wyłaniały się z niepamięci niektóre detale, z których w żaden sposób nie chciałem i nie chcę rezygnować.

Właśnie z powodu kłopotów z pamięcią spisałem swe wspomnienia w sposób niechronologiczny. Zdając sobie sprawę z tego, że to, co pamiętam z czasu obozu koncentracyjnego, ginie najszybciej, zacząłem właśnie od tego okresu. Gdy go doprowadziłem do końca, zacząłem pisanie od momentu wybuchu wojny. Potem oczywiście materiał uporządkowałem. Zacząłem pisać 8 marca 1996 a zakończyłem 28 września 1997 roku.

Część pierwsza. Początek. Wrzesień 1939-luty 1940

Moja kampania wrześniowa, 1 września – początek października 1939

Pierwszego września 1939 roku, gdy wstawałem rano, aby po raz pierwszy nie pójść do szkoły na rozpoczęcie nowego roku szkolnego, dowiedziałem się, że od kilku godzin trwają walki na pograniczu polsko - niemieckim. Spodziewałem się napaści Niemiec od kilku tygodni, ale gdy nastąpiła, byłem tym zaskoczony. Wraz z ogromną większością ludzi nie zda-

wałem sobie sprawy z ogromu katastrofy, jaka nas dotknęła. Z początku żywiłem nawet pewien optymizm.

Godziny płynęły i choć syreny często ogłaszały i odwoływały alarm lotniczy, a z głośnika radiowego płynęły zakodowane informacje i rozkazy, to przecież nad Łodzią nie pojawił się żaden samolot niemiecki. Już w drugiej połowie dnia ogarnął mnie jednak lęk, gdyż według komunikatów radiowych walki toczyły się głęboko na terytorium Polski. Zaczęły się sprawdzać przerażające zapowiedzi i groźby polskojęzycznych audycji radia Wrocław, zaczynające się zawsze od zjadliwego pytania: *Czy to nie jest dziwne?*

Nastrój lęku pogłębił się w ciągu następnego dnia, gdy okazało się, że Niemcy posuwają się bardzo szybko naprzód, między innymi w kierunku Łodzi. Przygnębienie zniknęło jednak natychmiast i ustąpiło prawdziwej euforii i wierze w szybkie zwycięstwo, gdy z radia dowiedzieliśmy się, że Anglia i Francja wypowiedziały wojnę. Przebudzenie - w sensie także dosłownym - nastąpiło jednak szybko. W nocy 3 września przez Łódź przetaczała się olbrzymia masa ludzi uciekających przed Niemcami. Hałas wytwarzany przez tysiące ludzi, pojazdy konne oraz samochody zapełniające jezdnie i chodniki, zbudził nas tuż po północy. Wtedy też zaczęła się dla nas prawdziwa druga wojna światowa.

Widok ulicy oglądanej z okna trzeciego piętra wprowadził nas - to znaczy mnie i rodziców - w stan paniki. Naturalnym odruchem było uciekać, tak jak wszyscy. Nie rozumiem dziś, dlaczego uciekać miałem tylko ja i ojciec. Kiedy próbuję znaleźć odpowiedź na to pytanie pozostają mi tylko domysły. Pamiętam, że nie było wtedy żadnej rozmowy na ten temat i że razem z matką uważaliśmy za rzecz całkiem naturalną, że ona pozostanie na miejscu. Musieliśmy jeszcze chyba mieć jakieś resztki złudzeń w odniesieniu do Niemców i irracjonalną wiarę, że kobiety będą lepiej traktowane od mężczyzn. Może podświadomie uważaliśmy, że kobieta nie potrafi znieść trudów i niebezpieczeństw ucieczki oraz, że ktoś powinien zostać, aby pilnować rzeczy i mieszkania. W tym czasie nie byłem żadnym partnerem przy podejmowaniu ważnych decyzji.

Nie to jest jednak ważne, ale fakt, że usiłując ratować się sam, przyjmowałem pozostanie matki jako rzecz samą przez się oczywistą.

Ucieczka z Łodzi i pobyt w oblężonej Warszawie zachowały mi się w pamięci jako suma oderwanych zdarzeń, które nie bez trudu zdołałem uporządkować pod względem chronologii.

Wyszliśmy z ojcem bez żadnego bagażu ręcznego, ani plecaka. Ucieczka zastała nas, podobnie jak wielu innych, zupełnie nieprzygotowanych. Myślę, że ojciec nie zdawał sobie sprawy z trudności dostania się do Warszawy, gdzie liczył na zakwaterowanie u pewnej zaprzyjaźnionej rodziny.

Na razie włączyliśmy się w rzekę ludzką, która kierowała się w stronę Placu Wolności, a stamtąd w Nowomiejską i Zgierską. Przy Placu Kościelnym tłum rozdzielił się na dwie części, z których jedna posuwała się na północ w stronę Zgierza, a druga na wschód w kierunku Brzezin. Wybraliśmy kierunek wschodni.

Byliśmy już daleko za rogatkami miasta, gdy nastał świt i lepiej mogłem ogarnąć wzrokiem rozmiary tego gigantycznego exodusu. Szosa do Brzezin była w całej szerokości zajęta przez ludzi idących pieszo, między którymi widać było wozy i zaprzęgi końskie. Tu i ówdzie ciężarówkę, autobus, ambulans, albo wóz strażacki; niezmiernie rzadko jakiś pojazd wojskowy. Żołnierzy było sporo, ale szli w rozsypce, wmieszani w tłum cywilów. W zasadzie ruch na tej szosie był jednokierunkowy, ale od czasu do czasu pojawiała się jakieś auto, albo kawalerzyści, którzy z jakichś powodów jechali w kierunku przeciwnym. Powodowało to ogromne zatory, a nawet całkowity zastój. Ten ruch pod prąd był niezrozumiały i irytujący dla ludzi, ponieważ zwalniał tempo ucieczki i - jak się miałem wkrótce przekonać - zwiększał niebezpieczeństwo w czasie ataku lotniczego. Niektórzy z tych, którzy dysponowali autem, albo jechali konno przyspieszali tempo ucieczki, jadąc poboczem szosy, albo jak w przypadku kawalerzystów, wzdłuż rowów odwadniających. Tu i ówdzie działały jeszcze resztki dyscypliny i organizacji wojskowej, gdy nadludzkim wysiłkiem, krzykiem i strzelaniem w górę, grupki żołnierzy wstrzymywały na

chwilę napór ludzi, otwierając drogę dla jakiegoś auta wojskowego, które beznadziejnie ugrzęzło w tłumie.

W tym samym mniej więcej czasie odczuliśmy z ojcem ogromne zmęczenie i ból nóg. Stało się oczywiste, że nie będziemy w stanie dojść pieszo do Warszawy, bez tego, aby Niemcy nas nie wyprzedzili. Na szczęście znalazł się jakiś zmobilizowany policjant, jadący podwodą zaprzęzoną w jednego konia, który w zamian za zapłatę zgodził się wziąć nas na wóz. Sytuacja nasza poprawiła się ogromnie, ale poruszaliśmy się wciąż równie wolno, jak poprzednio, gdyż koń otoczony zewsząd ludźmi poruszał się w ich tempie.

Był piękny, letni dzień. Słońce mocno grzało, niebo było błękitne, bez śladu chmur. Tego właśnie bałem się najwięcej. Strach przed atakiem lotniczym zaostrzył mi słuch do tego stopnia, iż mimo ogromnego hałasu powodowanego przez przepychających się do przodu ludzi, dosłyszałem delikatne brzęczenie niedostrzegalnych jeszcze samolotów, zanim ktokolwiek w najbliższym otoczeniu zwrócił na to uwagę. Chwilę później dostrzegłem wysoko na niebie szereg ciemnych punktów, kierujących się w naszą stronę. Zaalarmowałem naszego woźnicę, który zacinając konia batem nakierował go w stronę kraju szosy, zmuszając ludzi do ustępowania przed napierającym na nich dyszlem. Okazało się to zbawienne, gdyż wcześniej niż inni zdołaliśmy zjechać z szosy zanim zaczął się atak lotniczy. Teraz zapanował tu kompletny chaos. Kto zdążył, ten zjeżdżał z szosy. Większość jednak musiała porzucić swe wozy czy auta i pędzić w stronę odległego zagajnika.

Było już jednak za późno. Podobnie jak inni, położyliśmy się w brzdach kartofliska. Atakowała nas grupa sztukasów, które nurkując pionowo - rzecz, której nigdy nie widziałem w kinie - uruchomiły swe syreny, potęgując i tak wielki już strach. Od czasu do czasu rozlegały się eksplozje bomb. Na niebie nie było polskich myśliwców ani obłoczków, jakie pozostawia ogień artylerii przeciwlotniczej. Zrozumiałem, że jesteśmy zupełnie bezbronni.

Gdy atak się skończył, odszukaliśmy z trudem nasz wóz i powróciliśmy na szosę. Nie było żadnych ofiar w ludziach. Skutki nalotu były jednak widoczne. Mnóstwo poprzewracanych i rozbitych pojazdów. Kilka zabitych koni.

Opisana sytuacja powtórzyła się kilkakrotnie tego samego dnia oraz w ciągu dnia następnego. Gdy minęliśmy Brzeziny, woźnica zdecydował, że należy zjechać z szosy, aby uniknąć ataków lotniczych. Odtąd posuwaliśmy się wiejskimi drogami aż do następnego dnia, kiedy w okolicach Łowicza znów powróciliśmy na główny trakt wiodący do Warszawy.

Przedtem zapadła jednak noc. Jechaliśmy jak długo się dało, aby odrobić czas utracony w ciągu dnia. Panowała głęboka ciemność, bo przestrzegano zaciemnienia, ale krajobraz był rozjaśniany łunami pożarów na horyzoncie. W końcu zmęczeni postanowiliśmy zatrzymać się na nocleg. Stanęliśmy w jakimś gospodarstwie wiejskim, w którym roiło się od takich jak my uciekinierów. Byliśmy głodni, bo od wyjścia z domu niczego nie jedliśmy. Za pieniądze dostaliśmy od gospodyni kilka pajd chleba posmarowanego szmalcem wieprzowym. Smakowały bardzo, a wspominam o tym dlatego, że wtedy po raz pierwszy jadłem z wyboru nie-koszerne. Tym samym tabu zostało złamane. Na dziedzińcu gospodarze postawili wiadro z zimnym naparem mięty, z którego wszyscyśmy czerpali gasząc pragnienie. W izbie nie było miejsca do spania, bo nawet na podłodze leżeli uciekinierzy. Z trudem znaleźliśmy niezajęty kąt w stodole, gdzie na sianie przespaliśmy do świtu.

Następny dzień był podobny do poprzedniego. Trwała piękna pogoda, lotnictwo niemieckie atakowało główne szosy, zatłoczone uciekinierami. Boczne, piaszczyste, wiejskie drogi Niemcy pozostawiali w spokoju, bo też i ruch był tutaj minimalny. A jednak tego właśnie dnia z trudem uszliśmy z życiem. Zbliżaliśmy się właśnie do niewielkiego mostu, przerzuconego nad jakąś mizerną rzeczką, gdy zupełnie niespodziewanie wyłonił się dwumotorowy Heinkel 111, lecący na bardzo małej wysokości. Być może dlatego nie zdążyłem go w porę ani usłyszeć, ani zobaczyć. Zeskakiwaliśmy w biegu z wozu i rzuciliśmy się pędem przez mostek. Po drugiej stronie wody rosło duże, wysokie drzewo. Zdążyliśmy dopaść pnia i rzucić się na ziemię.

Na wprost nas zbliżał się szybko oszklony przód bombowca. Był tak nisko i tak blisko, że mogłem widzieć twarze załogi. W tej samej chwili zaczął się ostrzał z broni maszynowej. Pień drzewa odebrał kilka uderzeń kul, inne zaryły się w piasku na prawo i na lewo od nas. Z przerażeniem oczekiwałem wybuchu bomby, ale to się nie stało, samolot przeleciał z ogłuszającym grzmiotem motorów i pozostawił za sobą smugę zapachu spalin.

W drodze do Warszawy przejeżdżaliśmy przez Łowicz i Sochaczew. Oba te miasta były już kilkakrotnie bombardowane. Świadczył o tym widok głównej ulicy z wypalonymi domami, nieuprzątniętymi wrakami wozów i aut oraz ciałami zabitych koni z rozdętymi brzuchami. Oprócz tego charakterystyczny smród, będący mieszaniną spalenizny i fetoru rozkładających się zwłok. Sochaczew był prawdopodobnie atakowany bardzo niedawno, ponieważ mijaliśmy wciąż palące się domy.

O świcie trzeciego dnia dotarliśmy do przedmieść Warszawy. Znowu zapowiadał się ładny dzień, ale na razie niebo było wolne od samolotów. Rozstawaliśmy się właśnie z naszym woźnicą, gdy rozległ się nieznany dotąd, wzmagający się gwałtownie gwizd, a tuż po nim ogłuszająca eksplozja. Trafiliśmy na początek ostrzału artyleryjskiego Warszawy. Było to dla mnie nowe doświadczenie, znacznie gorsze od ataków lotniczych. Samoloty można było czasami dostrzec w porę, zorientować się, w jakim kierunku zacierają i przy odrobinie szczęścia ukryć się, lub przywrzeć do ziemi. Artyleria strzelała bez ostrzeżenia, nie wiadomo skąd i dokąd. Poczucie bezradności i strach były w tym wypadku totalne.

Przerażeni zaczęliśmy biec wzdłuż ulicy Wolskiej w stronę centrum, spodziewając się znaleźć tam jakąś ochronę. Wbrew naszym nadziejom tramwaje nie jechały, ale tu po raz pierwszy od czasu ucieczki z Łodzi natknęliśmy się na funkcjonującą organizację oporu. Na rogatkach Warszawy znajdowało się wojsko, które kontrolowało sytuację, mimo wzmagającej się kanonady. W głębi miasta mijaliśmy wysokie barykady, sięgające pierwszego piętra, zbudowane w przemyślany sposób i zamykające ulicę w poprzek z pozostawieniem małej szczeliny, którą można było zamknąć w krótkim czasie, a przez którą odbywał się ruch pieszych. Część

sklepów była jeszcze czynna i to w naszych oczach zakrawało na coś w rodzaju cudu. Przed niektórymi sklepami stały długie kolejki ludzi, ale było to tylko normalne. Na ulicach noszących już ślady bombardowania i ostrzału artyleryjskiego panował dość ożywiony ruch. Ciągłe jeszcze można było kupić gazetę, choć w bardzo zmniejszonym formacie. Było oczywiste, że Warszawa będzie broniona, ale niepokój budził fakt, że wielu warszawiaków - podobnie jak my w Łodzi - opuściło miasto kierując się na wschód.

W końcu doszliśmy do celu naszej wędrówki, na ulicę Leszno, gdzie w dobrze utrzymanej kamienicy, na pierwszym piętrze mieszkali państwo Patt. Pattowie, a właściwie Jakub Patt oraz jego dorosły syn byli partnerami handlowymi ojca.

W latach poprzedzających wojnę, ojciec kilkakrotnie zakładał małą fabrykę, w której maszynowo produkowano obuwie - rzecz w ówczesnej Polsce dość rzadka, jako, że dominowała produkcja chałupnicza. Z nastaniem złej koniunktury ojciec musiał likwidować fabrykę, a gdy ją otwierał na nowo, kupował znowu maszyny. Patt był w tym czasie przedstawicielem dużej, niemieckiej fabryki maszyn obuwniczych Moenus AB we Frankfurcie nad Menem i przedstawicielstwo to zachował nawet po dojściu Hitlera do władzy, czego nigdy nie mogłem zrozumieć. Pattowie byli zamożni, bo chociaż w Polsce było mało fabryk obuwia, to posiadali oni monopolistyczne stanowisko w zakresie sprzedaży maszyn obuwniczych. Niektóre z maszyn miały zaawansowaną konstrukcję i dlatego były względnie drogie. Dla tej przyczyny ojciec był prawdopodobnie respektowany przez Pattów. Był wypłacalnym klientem i to musiało się liczyć. Z kolei ojciec chlubił się znajomością z Pattami, którzy prowadzili elegancki, mieszczkański dom i byli kulturalnymi ludźmi. Przed wojną nigdy nie byłem u Pattów, ale słuchałem opowiadań ojca o tym, jak przyjaźnie był podejmowany przez nich w Warszawie i pamiętam, jak raz, czy dwa któryś z Pattów był goszczony specjalnym obiadem przygotowanym przez matkę. Przekraczając próg mieszkania Pattów nie mieliśmy wątpliwości, że będziemy tu dobrze przyjęci.

Rzeczywiście, przyjęto nas dobrze, ale nie tak dobrze jak się tego spodziewałem. Przyczyna była oczywista: Pattowie udzielili już schronienia kilku osobom z poza Warszawy, w

tym bliskim krewnym. Dla nas znalazł się jeszcze ostatni wolny pokój gościnny i miejsce przy długim stole w jadalni. Z początku stosunki układały się dobrze. Wraz ze wszystkimi zasiadaliśmy trzy razy dziennie do stołu. Żyło się prawie normalnie, póki była elektryczność i dopływ wody. Po kilku dniach urządzenia sanitarne przestały funkcjonować, a zapasy żywności Pattów zaczęły się kończyć.

Jeżeli o mnie chodzi, to z początku traktowałem pobyt u Pattów jako rodzaj wakacji. Mieli nowoczesny patefon elektryczny, jakiego do tej pory nie widziałem i dobry komplet płyt. Nikt nie wzbraniał mi puszczać muzykę. Ten stan rzeczy zmienił się jednak szybko, gdyż w miarę narastania trudności z utrzymaniem tak dużej ilości ludzi, atmosfera w domu pogorszyła się bardzo. Nie od razu zdałem sobie z tego sprawę i dopiero pod naciskiem ojca zaprzestałem słuchania muzyki. Wkrótce potem ojciec powiedział, że musimy zrezygnować z jedzenia u Pattów i powinniśmy spędzać dzień na mieście, a przychodzić do domu tylko wieczorem na spanie. Czułem się tym bardzo dotknięty i straciłem całą sympatię dla Pattów, uważając, że zawiedli w swej przyjaźni dla nas.

W ciągu pierwszych dni po przybyciu do Warszawy odpoczywaliśmy. Dość rzadko wychodziliśmy wtedy na ulice, chociaż spacer po centralnej części miasta nie był szczególnie niebezpieczny. W owym czasie bombardowane były przedmieścia, a na dźwięk syren zawsze można się było schować w najbliższej bramie, klatce schodowej, czy schronie. Sytuacja zmieniła się na gorsze właśnie wtedy, kiedy zmuszeni byliśmy usuwać się z mieszkania Pattów na czas dnia.

W tym czasie Niemcy otoczyli Warszawę ze wszystkich stron i zaczęło się oblężenie. Wzmogły się ataki lotnicze i ostrzał artyleryjski na centralne dzielnice miasta. Teraz, gdy sami musieliśmy się zaopatrywać w żywność, sytuacja stała się naprawdę trudna. Jak wielu innych, ustawialiśmy się w długich kolejkach przed piekarniami. Tylko czasami udawało nam się zdobyć w ten sposób chleb. Często chleba już nie było, gdy nadeszła nasza kolej. Najczęściej musieliśmy jednak uciekać z kolejki z powodu bombardowania, albo ostrzału artyleryjskiego.

Byli tacy, którzy nigdy nie opuszczali kolejki, ale wielu z nich ginęło na miejscu. Brakujący chleb ojciec kupował od przypadkowego sprzedawcy. Czasami trafiały się różne okazje. Gdy rozbite zostały magazyny i chłodnie na jednym z dworców kolejowych, pojawili się ludzie sprzedający na ulicy wielokilogramowe puszki ogórków konserwowanych. Innym razem można było kupić każdą ilość lodów Pingwin, które były słodkie i pożywne. O żywność było coraz trudniej i dlatego można było spotkać ludzi, którzy z nożami w ręku, przykucnięci wokół padłego konia dorożkarskiego, wycinali zeń płaty mięsa.

Z wydarzeń politycznych okresu oblężenia zapamiętałem dwa, które na moment wzbudziły nadzieję, że losy wojny jednak się odwrócą. Któregoś dnia zamilkły syreny, ustały naloty i ostrzał artyleryjski. Wkrótce dowiedzieliśmy się, że Niemcy wstrzymali atak na Warszawę na okres kilku godzin, aby dać korpusowi dyplomatycznemu ostatnią możliwość opuszczenia miasta. Wbrew zdrowemu rozsądkowi interpretowano to, jako możliwość wstępu do pokoju. 17 września dowiedzieliśmy się z radia warszawskiego, że wojska radzieckie w porozumieniu z Niemcami wkroczyły na teren wschodniej Polski. Mimo brutalnej wymowy tego faktu sądzono, że bezpośrednią kontynuacją tego będzie wojna radziecko-niemiecka, co przy istniejącym już sojuszu Polski z Anglią i Francją oznacza ratunek dla Warszawy, znajdującej się tak blisko linii demarkacyjnej. Być może, że kolejność obu tych wydarzeń była odwrotna.

Z Łodzi nie mieliśmy żadnych wiadomości. W ogóle nie wiedzieliśmy nic o tym co się dzieje na terenach zajętych przez Niemców. Nie wiedzieliśmy też nic o matce. Z przyczyn dziś dla mnie zupełnie niezrozumiałych, nie martwiliśmy się tym, zakładając jako rzecz oczywistą, że znajdziemy ją zdrową i całą. To samo odnosiło się do reszty rodziny. Jak było to możliwe? Przypuszczam, że ciągle żyliśmy jeszcze w świecie iluzji. Wiedzieliśmy oczywiście, czego można się spodziewać po hitlerowcach, pamiętając o prześladowaniach Żydów w Niemczech, Austrii i Czechosłowacji. Tego jednak, co się rzeczywiście stało i miało się stać, nikt w tym czasie nie był w stanie sobie wyobrazić. Poza tym byliśmy tak zaabsorbowani zabezpieczeniem sobie codziennej egzystencji, że wszystko co nie było z tym bezpośrednio związane, wypadło poza sferę naszego zainteresowania.

Po 18 września ataki na centrum Warszawy wzmogły się do tego stopnia, że wychodziliśmy na ulicę tylko dla zdobycia jedzenia. Resztę czasu spędzaliśmy na ogół siedząc na schodach w obcych kamienicach. Schronienia szukaliśmy zawsze, gdy zbliżające się detonacje i wzmagający się gwizd pocisków artyleryjskich spędzały ludzi z ulic. Podczas jednej z takich nagłych ucieczek do bramy, ojciec został trafiony odłamkiem w okolicę nerki. Krwawienie było niezbyt duże i bez większego trudu zahamowane przez znajdującą się na klatce schodowej sanitariuszkę z opaską Czerwonego Krzyża. Ani wtedy, ani później ojciec nie szukał pomocy lekarskiej, odkładając to do powrotu **do Łodzi**. Widząc moje przerażenie opanował się całkowicie i starał się zachowywać jak dotąd. Bałem się o niego bardzo, ponieważ odłamek ciągle tkwił głęboko w ciele i lękałem się, że w każdej chwili może spowodować gwałtowne krwawienie. Nie brałem w ogóle możliwości pod uwagę, że odłamek uszkodził nerkę. Okazywałem mu troskę i starałem się go oszczędzać w jakikolwiek sposób to było możliwe. Nie zmieniło to jednak faktu, że miałem świadomość, iż to na nim ciążyło w dalszym ciągu brzemień odpowiedzialności za możliwość naszego przeżycia.

Nieco później, uciekając przed kolejnym ostrzałem artyleryjskim minąłem zabitą kobietę. Był to pierwszy nieżywy człowiek, jakiego widziałem po raz pierwszy w ogóle, nie tylko w czasie tej wojny. Może dlatego właśnie epizod ten wywarł na mnie głębokie wrażenie i zapadł tak mocno w pamięci. Była to starsza kobieta, leżąca na jezdni, koło chodnika, odwrócona do mnie plecami. Leżała tu chyba dość długo, ponieważ wydawała się pokryta warstwą szarego pyłu. Nigdzie nie było śladu krwi ani rany, ale widok tego opuszczonego przez wszystkich ciała był dla mnie niesłychanie tragiczny. Przyłapałem się wtedy na niesamowitej myśli: przypomniałem sobie nagle odległą scenerię, gdy jako kilkuletni chłopiec zaprowadzony zostałem przez rodziców, aby pożegnać dziadka Eliezera, który umierał na zapalenie płuc. Czysta biała pościel, spiętrzone wysoko poduszki, półmrok pokoju rozświetlonego abażurem nocnej lampki, kilka butelek z lekarstwami na stoliku nocnym, dziadek w śnieżno białej koszuli i kilka pograżonych w smutku osób - wszystko to wydawało mi się teraz idylliczne. Przez krótką chwilę zamarzyłem o

takiej sytuacji, o takiej właśnie spokojnej czystej śmierci, w otoczeniu bliskich ludzi, zdając sobie sprawę, że jest ona równie nieosiągalna, jak to, aby wojna nagle ustała.

W końcu nadszedł ów fatalny czwartek, albo może piątek, który stał się początkiem końca obrony Warszawy. Tego dnia trwał nieustający atak lotniczy, który poraził wszystkie dzielnice i zakończył się dopiero z nastaniem mroku. Bombardowanie rozpoczęło się w godzinach rannych i zaskoczyło nas na ulicy Krochmalnej 66. Wbiegliśmy do bramy, ale ponieważ wybuchy zbliżały się szybko, zeszliśmy do schronu, który mieścił się w piwnicy domu. Było tam już dużo ludzi, którzy siedzieli na czym się dało i w napiętym milczeniu wsłuchiwali się w wycie spadających i eksplodujących bomb, starając się wyliczyć, która z pobliskich ulic jest bombardowana. Taki stan rzeczy trwał dość długo, choć nie uświadamiam sobie, czy były to kwadransy czy godziny. W pewnym momencie sytuacja uległa wyraźnemu pogorszeniu. Zaczęliśmy odczuwać głuche stąpnięcia ziemi, towarzyszące poszczególnym wybuchom, co świadczyło, że epicentrum bombardowania przesuwają się w naszym kierunku. Zrozumienie tego faktu było powszechne, choć nikt nie powiedział na ten temat słowa. Poczucie zbliżającej się katastrofy sprawiło, że kobiety zaczęły głośno odmawiać litanię, która mimo błagań o łaskę, w moich uszach brzmiała jak modlitwa za zmarłych. Rzeczywiście, w trakcie recytowania kolejnej prośby o zmiłowanie boskie, zostaliśmy trafieni.

Huk eksplozji przekraczał wszystko, czego do tej pory doświadczyłem. Zatrzęsła się cementowa podłoga i ściany piwnicy. Równocześnie zgasły żarówki i rozległ się przerażony krzyk ludzi, który nie ustawał, mimo, że bombardowanie stopniowo oddalało się od nas. Ktoś zapalił świecę. Byliśmy wszyscy obsypani tynkiem i choć pył ten ograniczał widzenie, jednakże zobaczyliśmy, że wyjście z piwnicy jest zawałone. Rzuciliśmy się w stronę jedyne małego okienka, które wychodziło tuż ponad poziom podwórza, ale i one było zniekształcone siłą eksplozji i wymagało poszerzenia. Na szczęście w piwnicy był łom i po kilku minutach intensywnej pracy pierwsi ludzie zaczęli wyczołgiwać się na zewnątrz.

Okazało się, że trwał nadal dzień, choć niebo było czarne od dymu. Oficyna domu, pod którą znajdowała się piwnica, była prawie zrównana z ziemią, natomiast frontowa część budynku zdawała się być nietknięta. Wszyscy uciekali w panice, jak gdyby w tym miejscu mogło się stać coś jeszcze gorszego. Koło rozbitych kawałów muru, siedział na ziemi, wsparty rękami, mężczyzna w średnim wieku. Podobnie jak wszyscy inni był przypudrowany grubą warstwą pyłu, a stopa przyodziana w skarpetkę i półbut leżała oderwana pół metra od reszty nogi. Wołał rozpaczliwie o pomoc, ale wszyscy mijali go w biegu nie zwracając na niego żadnej uwagi.

Krochmalna płonęła po obu stronach ulicy. Pędziliśmy z ojcem środkiem jezdni, bo na chodnikach było zbyt niebezpiecznie. Gdzieś w pobliżu trwało nadal bombardowanie, a mnie wpadło do głowy, że właściwie powinniśmy zostać tu na miejscu. Tak byłoby najbezpieczniej, bo lotnicy nie będą chyba rzucać bomb na zniszczony dom. Teorii tej nigdy nie wypróbowałem, ale wtedy wydawała mi się dobra. Szczęśliwym trafem dom na Lesznie ocalał, mieliśmy więc jeszcze dach nad głową.

Prawdopodobnie Niemcy nie byli na razie w stanie złamać oporu obrońców Warszawy, którzy wciąż trzymali linię frontu i dlatego postanowili zmusić miasto do kapitulacji, masakrując jego ludność cywilną. Tak przynajmniej dowództwo obrony Warszawy uzasadniało decyzję kapitulacji. Byliśmy tą wiadomością przybici, ale przyjęliśmy ją z ulgą, nawet jeżeli oznaczać to miało okupacją niemiecką.

Niemcy byli już drugi dzień w Warszawie, ale żadnego z nich nie zdarzyło mi się widzieć. Czytałem jednak ich zakazy i nakazy rozlepione na ulicach miasta, grożące najsurowszymi karami. Słyszałem też, że wyrzucali Żydów z kolejek po żywność, którą przez kilka pierwszych dni rozdzielali na ulicach. Było to bardzo przygnębiające, ale tego można się było po nich spodziewać.

Był już najwyższy czas, aby wyjechać z Warszawy, gdzie poniewieraliśmy się bez stałego dachu nad głową i bez środków do życia. Równocześnie dał o sobie znać niepokój o

matkę, o której jak gdybyśmy zupełnie zapomnieli w ostatnich dniach oblężenia. Na razie nie było żadnej komunikacji kolejowej z Warszawy, ale słyszeliśmy, że od Łowicza można dojechać pociągiem do Łodzi. Jak wielu innych uciekinierów z Łodzi, ojciec wynajął dwa miejsca na dużym wozie, zaprzężonym w parę mocnych koni. Wyruszyliśmy bardzo wcześnie i z początku jazda odbywała się bez przygód. Na granicy miasta, nasz wóz, podobnie jak wszystkie inne, został zatrzymany przez posterunek Wehrmachtu. Wszystkim Żydom kazano zejść z wozu i położyć na okazałym już stosie swoje pakunki i bagaże. Dopiero wtedy wolno im było wdrapać się na wóz i kontynuować jazdę. W poszczególnych przypadkach, gdy żołnierze niemieccy mieli wątpliwość co do wyglądu pasażerów - gdyż nie kontrolowano dokumentów - z pomocą przychodziła im grupka roześmianych chłopców, którzy bezbłędnie wskazywali kogo trzeba, wykrzykując przy tym *Jude!* Ponieważ nie mieliśmy żadnego bagażu, więc niczego też nie straciliśmy, ale bardziej niż faktem grabieży byłem wstrząśnięty tym, co zrobili ci polscy chłopcy.

Antysemityzm w Polsce nie był dla mnie czymś nieznanym. Nowym i przerażającym było natomiast odkrycie, że krwawa napaść na Polskę nie przeszkodziła w symbiozie tego antysemityzmu z poniżającą okupacją, gdy w grę wchodził stosunek do Żydów. Przez cały czas trwania wojny, ucieczki i oblężenia Warszawy miałem świadomość wspólnoty losów z resztą narodu polskiego. Teraz, wszystko to zdawało się walić w gruzy. Chyba, że był to odosobniony przypadek.

Resztę drogi do Łowicza odbyliśmy w spokoju. Przy wjeździe do miasta zobaczyłem kolorowe afisze przedstawiające wynędzniałych i okaleczonych żołnierzy polskich, zebranych pod płótnem. Nieprawdopodobny napis po polsku głosił: *Patrz Anglio, oto twoje dzieło!* Potraktowałem to wtedy jako przejaw kompletnej ignorancji nastrojów narodu polskiego, ale też nie miałem najmniejszego pojęcia, jak się robi propagandę.

Kierowaliśmy się w stronę stacji kolejowej, gdy w pewnym miejscu zatrzymali nas umundurowani Niemcy, którzy kazali Żydom zejść z wozu. Pognano nas na jakiś wielki plac, albo może rynek miejski, który w całości był zajęty przez instalacje *Hilfszug Bayern*, zmontowa-

ne na wielkich samochodach ciężarowych. Była to gigantycznych rozmiarów i w pełni zmechanizowana kuchnia polowa, mogąca jednorazowo przygotować i dystrybuować 80 tysięcy zup. Stąd pochodziła żywność rozdzielana przez kilka dni na ulicach Warszawy. Nie miałem ani czasu ani okazji, aby przyjrzeć się tej ruchomej fabryce jedzenia, ale to, co zobaczyłem, wywarło na mnie duże wrażenie. Przede wszystkim podłoga. Cały, wielki teren na którym mieścił się *Hilfshzug Bayern* był wyłożony składanymi sekcjami drewnianych listew, które przykrywały błoto i kałuże znajdujące się na placu. Wszystkie maszyny kuchenne oraz oświetlenie były zasilane przez własny agregat elektryczny. Organizacja produkcji była sprawna, wszędzie było czysto. Nam przypadła w tym wszystkim rola tragarzy. Stawaliśmy pod platformą ciężarowego auta, skąd na nasze pochylone plecy spychano ciężki polec wołu, albo tuszę świńską. Nie przyzwyczajony do pracy fizycznej i osłabiony obłążeniem, z trudem utrzymywałem się na nogach. Trzeba było z tym biec w głąb kuchni, nie zwalniając tempa, gdyż przez cały czas poganiani wyzwiskami i groźbami byliśmy bici gumowymi prętami po nogach, rękach i po głowie. Ojciec był ode mnie silniejszy i dawał sobie lepiej radę niż ja, ale bałem się, że ten nadmierny wysiłek i bicie mogą spowodować krwawienie niezagojonej rany.

Nie pamiętam, jak długo to trwało, ale w końcu pozwolono nam odejść. Miałem nadzieję, że dostaniemy miskę zupy, bo byłem głodny, ale nic z tego nie wyszło. Dopiero kilka lat później i w innym miejscu, gdy Niemcy chyliły się już ku upadkowi, danym mi było zakosztować smak tej zupy, ale nawet wtedy była ona już skisła, gdyż dostarczona z dużym opóźnieniem.

Zmierzchało, gdy doszliśmy do stacji i usiedliśmy na podłodze, w kącie wagonu towarowego. Wszędzie było pełno ludzi, którzy podobnie jak i my wracali z Warszawy. Było już zupełnie ciemno, kiedy pociąg ruszył. Jechaliśmy przez całą noc z długimi postojami w szczerym polu, albo na małych stacyjkach. Byłem bliski zaśnięcia, kiedy rozbudziły mnie rozpaczliwe krzyki, dochodzące z jakiegoś wagonu. Zrazu nie wiedziałem, co się dzieje, ale podczas jednego z postojów kilka osób z naszego wagonu zeskoczyło na dół, aby zasięgnąć informacji. Wrócili po krótkim czasie mocno rozbawieni. Niemieccy żołnierze zaopatrzeni w lampy przeszukiwali wagony, wyławiając Żydów, których wyrzucali w czasie biegu pociągu. Na razie Niemcy byli

oddaleni od nas o szereg wagonów i gdyby pociąg dojechał do Łodzi przed ich nadejściem, bylibyśmy uratowani. Przeżyliśmy z ojcem straszny czas, ponieważ wiadomość o poczynaniach Niemców rozwiązała języki współpasażerów, którzy nie tylko wyrażali zadowolenie, ale i gotowość uczestnictwa w wyławianiu Żydów, gdyby się jacyś w tym wagonie znaleźli. Chroniła nas gęsta ciemność i tych kilka wagonów, które dzieliły nas od miejsca, gdzie właśnie wyrzucano Żydów. Zanim przyszła kolej na nas, pociąg dojechał do Łodzi.

Przeżycia tej nocy wryły mi się mocno w pamięć. Od tej pory zacząłem się bać Polaków. Ani wtedy, ani później nie zetknąłem się z żadną inną postawą, niż ta, która tak bardzo przeraziła mnie na rogatek Warszawy i w pociągu z Łowicza. Nie miałem też wtedy żadnych polskich przyjaciół, ani znajomych. Przestałem się bać Polaków dopiero w 1943 roku, kiedy stałem się komunistą. Nie dlatego, abym do tego czasu nabył inne w tym zakresie doświadczenie, ale dlatego, że tak silna potrafi niekiedy być siła ideologii.

Już nie Łódź, a tylko Lodsch, październik 1939 - luty 1940

Wróciłem do odmienionego, obcego i odpychającego miasta. Nigdy nie uważałem, że Łódź jest ładna, ale byłem wrośnięty w to miasto i czułem się tutaj u siebie w domu. Wystarczył jeden miesiąc niemieckiej obecności, aby nic z tego nie zostało. Na pozór niewiele się zmieniło. Miasto uniknęło zniszczeń wojennych i tramwaje jeździły jak dawniej, ale nazwy ulic były już inne, a Piotrkowska, teraz Adolf Hitler Strasse zamknięta dla Żydów i oglądana z Placu Wolności, tonęła w czerwieni flag hitlerowskich.

Matkę zastaliśmy w dobrym stanie. Nikt z bliskiej rodziny nie zginął, ani na razie nie został wysiedlony. Pierwsze dwa dni spędziliśmy w domu, jedząc, śpiąc, odpoczywając. Mieliśmy jeszcze zapasy nagromadzone na wypadek wojny, więc tymczasem nie było trudności z żywnością. Musiałem pójść do chirurga, który zoperował mi bolesną zanokcicę, którą nabyłem w Warszawie. Ojciec zrezygnował jednak na razie z zamiaru usunięcia odłamka, ponieważ nie

chciał ryzykować leżenia w łóżku, gdy nie było wiadome co przyniesie następny dzień, a rana goiła się dobrze. Życie w Lodsch było trudne i stawało się cięższe z każdym dniem, który mijał.

W ciągu miesiąca naszej nieobecności w mieście, Niemcy zdążyli wydać wielką ilość zakazów odnoszących się specjalnie tylko do Żydów i rzadko mijał dzień, aby nie pojawiło się jakieś nowe ograniczenie. Miedzy innymi zablokowano konta bankowe Żydów, wprowadzono zakaz wykonywania wolnych zawodów, nie wolno było mieć żadnych zakładów produkcyjnych, ani zajmować się handlem, nie wolno było korzystać z usług jakiejkolwiek instytucji zaspokajającej publiczne potrzeby np. szkoły, kolei, szpitala. Oczywiście obowiązywało t.zw. ustawodawstwo norymberskie, ale dodatkowo byliśmy dręczeni i upokarzani działaniami, które w ogóle nie były zawarte w żadnym prawie hitlerowskim, ponieważ w gruncie rzeczy byliśmy wyjęci spod wszelkiego prawa. Z prawnego punktu widzenia każde nasze działanie było łamaniem prawa. Nie istniała żadna możliwość legalnego życia, ani życia w ogóle, no i o to właśnie chodziło.

Prawdziwą plagą było t.zw. łapanie na roboty. Znajdujący się na ulicy Żyd mógł być w każdej chwili zatrzymany i zmuszony do wykonywania jakiejś pracy, z reguły ciężkiej albo brudnej, najczęściej i ciężkiej i brudnej. Nie zawsze te prace miały charakter produktywny. Często były tylko pretekstem dla bicia i znęcania. Zaczęło się od tego, że różnego rodzaju instytucje niemieckie zgarniały Żydów z ulicy do pracy, ale wkrótce również osoby prywatne organizowały sobie siłę niewolniczą na przeciąg kilku godzin, lub dnia. Niektórzy ze złapanych nigdy nie powrócili do swego domu, inni wrócili jako nieżywi. Oprócz tego trwały wysiedlania Żydów do Generalnego Gubernatorstwa, zwykłe wyrzucanie z zajmowanych mieszkań, nagłe areszty, rabunek mienia i od czasu do czasu egzekucje, niektóre publiczne.

W połowie listopada wyszło zarządzenie zmuszające Żydów, aby nosili żółte opaski. Byłem tym zaszokowany, ponieważ bardzo się tego wstydziłem i bałem. Ci, którzy łapali na roboty, mieli teraz ułatwione zadanie, ja zaś po doświadczeniu z *Hilfszug Bayern* panicznie bałem się być złapany. Przez kilka dni nie wychodziłem z domu, ale w końcu byłem do tego zmuszo-

ny. Wkrótce przekonałem się jednak, że da się z tym żyć. Stało mi się obojętne, czy jestem oglądany przez innych z opaską na ramieniu i zwiększyłem czujność, aby nie być zaskoczonym przez łapaczy. W połowie grudnia zarządono, aby Żydzi przypięli do swej odzieży żółtą gwiazdę na wysokości lewej łopatki i lewej piersi. Uważałem to za rzecz jeszcze okropniejszą niż opaska i zareagowałem jak poprzednim razem, ale znów okazało się, że mogę chodzić po ulicy bez tego, aby palić się ze wstydu. Zwiększona ostrożność i spora doza szczęścia sprawiły, że unikałem złapania, choć kilkakrotnie, znajdowałem się w trudnej sytuacji. W każdym razie zarówno ja, jak i moi rodzice staraliśmy się pozostawać jak najwięcej w domu i ograniczać wychodzenie do absolutnie niezbędnego minimum.

Ten stan rzeczy spowodował, że ustały wszelkie stosunki towarzyskie, do czego w pewnym stopniu przyczyniła się także godzina policyjna między 7 wieczór a 8 rano, a także zakaz korzystania przez Żydów z tramwaju, dorożek konnych i innych środków lokomocji.

W ciągu czterech miesięcy, t.j. do przeprowadzki do getta, nie spotkałem żadnego kolegi szkolnego, a nawet mego najbliższego przyjaciela i kuzyna - rówieśnika Wolmana, z którym przez wszystkie lata szkolne widywałem się prawie codziennie. Normalne stosunki towarzyskie, w przedwojennym tego słowa znaczeniu, były niemożliwe przede wszystkim z powodu panującego stanu umysłu, poczucia zagrożenia, a także dlatego, że aby przeżyć, ludzie zaczęli się separować, koncentrując wszystkie wysiłki i zasoby w obrębie wąsko pojętej rodziny.

Stosunki z rodziną w szerszym tego słowa znaczeniu były jednak nadal utrzymywane, głównie przez mojego ojca, który od wielu lat utrzymywał swych starych rodziców i pomagał niektórym ze swego rodzeństwa. Również matka komunikowała się ze swoimi braćmi i siostrą, których egzystencja w ten czy inny sposób była zagrożona.

Ciotka, mieszkająca w Kaliszu, pojawiła się nagle w Łodzi wraz z całą rodziną, ponieważ wyrzuceni z mieszkania i pozbawieni sklepu, który był podstawą ich egzystencji, nie mogli już tam dłużej przebywać. Niektórzy z mego kuzynostwa w wieku dwudziestu kilku lat

rozważali lub przygotowywali się do niebezpiecznej drogi na tereny wschodniej Polski, znajdujące się pod kontrolą Związku Radzieckiego.

Nikt nie oczekiwał ode mnie, abym angażował się w te sprawy i dlatego w dalszym ciągu korzystałem z przywileju zwolnienia od wszelkiej odpowiedzialności, co nie zmieniało faktu, że żyłem w stanie ciągłego lęku. Ojciec, który był człowiekiem zaradnym i pełnym inicjatywy, używał mnie czasami dla wykonania jakichś drobnych zadań, ale na ogół żyłem w dalszym ciągu życiem chronionym, w takim stopniu, w jakim to w ogóle było możliwe.

Właśnie dlatego nie byłem zorientowany, w jaki sposób ojciec zdobywał środki na utrzymanie domu. Z późniejszego epizodu, który miał miejsce w getcie, domyślam się, że miał trochę dolarów, przechowywanych na t.zw. czarną godzinę, która właśnie wybiła. Pamiętam jego rozmowy z matką, z których dowiedziałem się, że udało mu się wynieść z własnej fabryki trochę skór i pewną ilość gotowego obuwia. O tym, aby te rzeczy sprzedać w normalny sposób, nie było mowy. Podobnie jak kilku innych jego znajomych z branży obuwniczo skórzanej nawiedzał Alfreda Heine, łódzkiego Niemca, obecnie volksdeutscha, który miał sklep obuwia na Pomorskiej, niedaleko rogu Kilińskiego. Heine mieszkał na skraju żydowskiej dzielnicy, miał żydowskich znajomych i mówił nawet jidisz. Jego sklep od wielu lat znajdował się w stanie głębokiego upadku, o czym mogłem się przekonać naocznie, gdyż w drodze do szkoły i ze szkoły mijałem go dwukrotnie. Wystawa nigdy nie była dekorowana i stało tam kilka par tych samych butów, pokrytych grubą warstwą kurzu. Za cienką kotarą, zasłaniającą oszklone drzwi wejściowe, rzadko widać było sylwetkę klienta. Obecnie Heine kwitł. Chodził na co dzień w niedzielnym ubraniu z dużą swastyką w klapie marynarki, twarz się wypogodziła i trochę zaokrągliła. Czynił łaskę - jak opowiadał ojciec - godząc się przyjmować od żydowskich znajomych posiadany przez nich towar. Nie zobowiązywał się do niczego, ale zakładano, że w przypadku szybkiej klęski Niemiec - na co w tym czasie liczone na serio - odda przechowywane buty, a gdyby wojna potrwała dłużej, to chyba coś będzie płacił, bo uchodził za porządnego człowieka. Być może ojciec dostał od niego trochę pieniędzy, ale nie jestem tego pewien. Później, gdy byliśmy już w getcie, ojciec zwracał się do niego prosząc o pomoc, ale Heine milczał. Natomiast tuż przed

ostatecznym zamknięciem getta zjawiał się u nas niespodziewanie jego pracownik, którego nazwisko zapomniałem, w mundurze NSKK i żelazną tabliczką z łańcuszkiem na piersi szynelu, budząc panikę lokatorów naszej kamienicy. Przez chwilę mieliśmy nadzieję, że przysłał go Heine z pieniędzmi, ale okazało się, że cel jego wizyty był inny. Pytał, czy mamy jeszcze coś wartościowego do przechowania, a kiedy dostał negatywną odpowiedź kazał sobie otworzyć szafy i wysunąć szuflady. Wybrał moją trąbkę, na której grałem w orkiestrze szkolnej, oraz kompleto- wany przeze mnie w ciągu kilku lat album znaczków pocztowych, po czym zniknął.

Choć nie staraliśmy się o to, śledziliśmy z grubsza późniejsze losy Heinego. W rzadko szmuglowanej do getta *Litzmannstadter Zeitung* natknęliśmy się przypadkowo na nekro- logi dwóch jego synów, którzy zginęli na froncie wschodnim, a po powrocie do Łodzi w lipcu 1945 r. spotkaliśmy go kompletnie zrujnowanego i wymizerowanego. Był niedawno zwolniony z obozu karnego na Sikawie i szykował się do wyjazdu do Niemiec Zachodnich. Tam przeżył też kilka ostatnich lat swego życia.

Na razie nasze mieszkanie zdawało się stanowić bezpieczną zatokę, w której moż- na było znaleźć schronienie po rozpoczęciu godziny policyjnej, gdy ulice miasta pustoszały i nie oczekiwaliśmy złych wiadomości aż do ranka następnego dnia. Ten stan rzeczy zmienił się ra- dykalnie, gdy pewnego dnia pojawiły się dwie młode, obce kobiety w towarzystwie dwóch podo- ficerów Wehrmachtu. Były to Polki, nie wyglądające na kurwy, które przedstawiły Niemców jako swoich narzeczonych. Spodziewaliśmy się wyrzucenia z mieszkania, ale skończyło się na tym, że zajęły mój pokój i zapewniły sobie używalność kuchni i łazienki.

Przeniosłem się do sypialni rodziców, którą od mego dawnego pokoju oddzielały dwuczęściowe, oszklone drzwi zamykane na klucz.

W ciągu dnia panował spokój, ale gdy późnym popołudniem przychodzili Niemcy, zaczynała się hałaśliwa, zakrapiana alkoholem libacja, która trwała do późnych godzin nocnych. Choć leżeliśmy w łóżkach, nie było mowy o spaniu i w przerażeniu nadśluchiwaliliśmy tego, co się dzieje i o czym się mówi za matowymi, oświetlonymi drzwiami. Z reguły rozmowa zawsze

schodziła na temat Żydów. Przy tej okazji Niemcy wypowiadali groźby pod naszym adresem i nieraz szarpali klamkę drzwi do naszego pokoju, choć zawsze byli jakoś w ostatniej chwili mitygowani przez nasze sublokatorki.

Ten stresujący stan rzecz trwał do pierwszych dni lutego 1940 roku. Któregoś dnia zjawili się dwaj oficerowie Wehrmachtu, z których jeden był przedstawicielem kwatermistrzostwa, a drugi, starszy rangą szukał mieszkania. Lustracja wypadła pozytywnie i dlatego bez podnoszenia głosu powiedziano nam, że do następnego dnia mamy usunąć się z mieszkania. Wolno nam zabrać rzeczy osobistego użytku, ale meble, dywany, pościel i całe wyposażenie ma pozostać na miejscu. W serwantce, gdzie matka zbierała różne figurki porcelanowe znajdował się również mały, precyzyjnie przeze mnie wykonany model kontrtorpedowca *Wicher* z miniaturową biało-czerwoną flagą na rufie. Bardzo chciałem go zatrzymać i zapytałem, czy mogę go wyjąć z szafki, ale spotkałem się z negatywną odpowiedzią. Tego samego popołudnia matka spakowała kilka walizek, a ojciec wyekspediował je z mieszkania przed nadejściem godziny policyjnej. Wieczorem nasze sublokatorki zabrały swoje rzeczy i bez jakiegokolwiek wyjaśnienia zamknęły za sobą drzwi mieszkania.

Noc spędziliśmy w udostępnionym przez właściciela domu, opuszczonym mieszkaniu, w obcej pościeli, a rano przenieśliśmy się do dziś nie istniejącego domu przy ul. Drewnowskiej 21, który znajdował się na Bałutach, na terenie właśnie tworzącego się getta.

Decyzję przeprowadzki do getta podjęli rodzice kilka dni wcześniej, gdy stało się wiadomym, że getto powstanie, a żaden Żyd nie będzie mógł pozostać w mieście. Alternatywą była ucieczka do Generalnego Gubernatorstwa, lub na tereny położone na wschód od Bugu. Bardzo wiele rodzin żydowskich przeniosło się wtedy do Generalnego Gubernatorstwa. Prawie zawsze miały one jakieś oparcie w mieszkającej tam rodzinie. Myśmy nie mieli tam żadnych krewnych, a poza tym pozostawaliśmy ciągle pod wpływem odstraszaających wspomnień, poniewierki i widoku zapamiętanego we wrześniu, zrujnowanych miast i wsi. Przynajmniej pod tym względem, w Łodzi zdawało się być lepiej.

Najbardziej pociągała perspektywa ucieczki do Białegostoku lub do Lwowa. Ale i tu działały pewne hamulce. Wyprawa na tereny wschodnie była połączona z dużym ryzykiem. Trzeba było jechać koleją, co dla Żydów było nie dozwolone. Przemytnczy, bez których nie sposób było przekroczyć zieloną granicę, żądali pieniędzy. Zdarzało się, że porzucali ludzi, których mieli przeprowadzić na drugą stronę. Byli i tacy, którzy rabowali swoje ofiary, a nawet zdarzały się morderstwa.

Ale na tym nie koniec. Najczęściej używana trasa w kierunku na Białystok kończyła się po niemieckiej stronie, za maleńką stacją kolejową Małkinia. Tutaj rozciągał się obszar *nieremanslandu*, na którym, pod gołym niebem, koczowały tysiące Żydów, którym udało się zajść tak daleko, ale których nie wpuszczaly dalej posterunki sowieckiej straży granicznej. Powrót na teren niemieckiej okupacji był również niemożliwy. Co pewien czas Rosjanie otwierali granicę i wpuszczali zmaltretowanych zimnem i deszczem ludzi. Na niektórych odcinkach granicznych zdarzało się, że straż strzelała do uciekinierów, albo oddawała w ręce niemieckie, co nie było takie dziwne z uwagi na konsekwencje układu Mołotow - Ribbentrop. Trasa na Lwów była z kolei niebezpieczna, ponieważ zmuszała uciekinierów do przeprowiania się przez San.

Mimo braku komunikacji pocztowej, którą uruchomiono nieco później, nadchodziły wiadomości od tych, którym udało się przejść na drugą stronę. Wszyscy donosili o bardzo trudnych warunkach życia. Występował brak mieszkań, mało było żywności, brak było wszelkich towarów, a niekiedy trudno było nawet o pracę. Niektórzy próbowali wrócić na teren okupacji niemieckiej, inni - a było to przed wielkimi deportacjami - zarejestrowali się na wyjazd w głąb Związku Radzieckiego, wychodząc prawdopodobnie z założenia, że każda zmiana w ich sytuacji może być tylko zmianą na lepsze.

W tych warunkach decyzję ucieczki na wschód podejmowali najczęściej młodzi ludzie, nie obciążeni rodziną. Nierzadko przy tej okazji młodzi łączyli się w pary, zawierając pośpiesznie małżeństwo. Tak właśnie postąpili dwaj moi kuzynowie i kuzynka. Dla tych samych powodów moi rodzice postanowili zostać. Przenosząc się do getta nikt nie wiedział, co z tego

wyniknie, ale też z pewnością nikt nie przypuszczał, jaki będzie tego finał. Dla większości dotkniętych klęską wygnania z miasta zdawała się to być jedyne rozwiązanie.

Część druga
Litzmannstadt Getto. Luty 1940 - wrzesień 1944

Wprawdzie Lodsch została z rozkazu Hitlera przemianowana na Litzmannstadt dopiero 11 kwietnia 1940 roku, ale w mojej świadomości getto kojarzy się od samego początku z tą obcą i nienawistną nazwą.

Okres getta jest chyba najważniejszy w moim całym życiu, gdyż spowodował najgruntowniejsze zmiany w moim sposobie myślenia. To, co się ze mną działo później, miało u swego podłoża stan rzeczy ukształtowany w getcie.

Odtwarzając z pamięci ten czas nie próbuję szkicować historii getta. Zadanie takie przekroczyłoby moje dzisiejsze możliwości, a poza tym istnieje na ten temat duża literatura. Najwyżej cenię sobie następujące publikacje: *Kronika getta łódzkiego*, tomy I i II pod redakcją Lucjana Dobroszyckiego, Łódź 1965 i 1966, *Das Getto in Łódź 1940 - 1944*, Frankfurt am Main 1990 oraz Icchak /Henryk/ Rubin – *Żydzi w Łodzi pod okupacją niemiecką 1939-1945*, London 1988. Z literatury pamiątkarskiej - *Zeszyty Dawida Sierakowiaka /2 zeszyty/*, wydane przez Iskry w Warszawie w 1960 roku

Luki w pamięci oraz trudności w zestawieniu materiału sprawiają, że nie mogę odtworzyć chronologicznej kolejności moich osobistych przeżyć w okresie getta. Zamiast tego postaram się skupić na kilku wybranych tematach i w ich obrębie zachować chronologię.

Warunki mieszkaniowe

Mieszkanie przy ulicy Drewnowskiej 21 było zajmowane przez odległych krewnych mojej matki, Welnerów, którzy któreś nocy zostali zabrani przez Niemców i gdzieś wywiezieni. Takie same więzy pokrewieństwa z Welnerami łączyły również rodzinę brata matki, Jakuba Leszczyńskiego oraz jej siostry, Cypory Rak. Stąd zdawało się rzeczą naturalną, że wszystkie trzy rodziny czuły się w prawie, aby zająć opuszczone mieszkanie Welnerów, składające się z jednego dwuokiennego pokoju i jednookiennej kuchni. Oczywiście skazywaliśmy się z miejsca na ogromną ciasnotę, jeżeli zważyć, że rodzina Leszczyńskich składała się z czterech osób: wujka, ciotki, ich syna oraz córki a Raków z trzech osób: wujka, ciotki i ich córki. Łącznie z nami było tu dziesięć osób.

Rakowie uciekli właśnie z Kalisza, my musieliśmy w pośpiechu opuścić mieszkanie, zaś Leszczyńscy nie mogli pozostać u siebie na Żeromskiego 8, ponieważ ulica była położona poza obrębem getta. Żadna z rodzin nie miała czasu na poszukiwanie innego mieszkania, a dach nad głową był nam wszystkim potrzebny natychmiast.

W tej ciasnocie i niewygodzie nie byliśmy odosobnieni, gdyż wiele innych rodzin znalazło się w podobnej sytuacji. Nie wszyscy jednak byli tak bardzo jak my stłoczeni. Bałuty były w przeważającej mierze zamieszkałe przez najbiedniejszych łódzkich Żydów, z których tylko część, jak Welnerowie, została deportowana przez Niemców. Większość pozostała na miejscu, a część z nich, która na razie nie przyjęła na kwaterę nikogo z miasta, mieszkała ciasno, ale lepiej niż my. Inna trudność w znalezieniu lepszego pomieszczenia polegała na tym, że chociaż kamienica na Drewnowskiej 21 była niesłychanie prymitywna - mieszkania miały tylko elektryczność i zlew, ale ani bieżącej wody ani klozetu - to według standardu gettowego zaliczała się do nieźle wyposażonych budynków. Jeżeli gdzieś były jakieś pokoje do wzięcia, to prawdopodobnie gorsze od naszych. Zresztą exodus z miasta ciągle trwał. Tysiące ludzi przybywało z miasta do getta, gdzie panował kompletny chaos i rzucało się na poszukiwanie mieszkań. Na razie musieliśmy być zadowoleni z tego, że mamy zabezpieczony pierwszy nocleg i, że nie je-

steśmy grupą obcych, przypadkowo zakwaterowanych ludzi, a trzema spokrewnionymi rodzinami. Czego lepszego można było wymagać w istniejącej sytuacji?

Mieszkanie zostało podzielone na dwie części: Leszczyńscy zajęli kuchnię, w której ciotka odcięła ruchomą kotarą tę część pomieszczenia, która miało okno. Stały tam: łóżko, w którym ciotka spała z córką, kozetka, na której spał wujek oraz składane w ciągu dnia łóżko, na którym sypiał mój kuzyn. Węglowa kuchnia do gotowania, szafka, wiadro z czystą wodą oraz zlew znajdowały się w przedniej części pomieszczenia, skąd prowadziły drzwi na klatkę schodową.

Pokój dwuokienny pozostał nierozdzielony. Stały tam dwa połączone łóżka małżeńskie, z których jedno zajmowali moi rodzice, a drugie wujek z ciotką. Ich córka sypiała na likwidowanym w ciągu dnia składanym łóżku, ja zaś na zwykłym łóżku koło ściany. Poza tym w pokoju stał ciężki stół i kilka krzeseł oraz szafa typu kredens.

W mieszkaniu znaleźliśmy pościel, naczynia kuchenne i resztę zwykłego wyposażenia, ponieważ Welnerów zabrano tak, jak stali, a nikt nie włamał się do mieszkania. W naszym pokoju znajdował się też duży piec kaflowy, ale nie nadający się do ogrzewania, gdyż pochłaniał wiele paliwa, a dawał mało ciepła. Wkrótce ojciec kupił duży blaszany piec wyłożony gliną szamotową, z którego wychodziła bardzo długa, zygzakowato ukształtowana rura zawieszona pod sufitem. Piec stanął w środku pokoju i ogrzewał mieszkanie, jeśli tylko było czym palić. Z początku można było kupić na lewo trochę opału, ale po wprowadzeniu systemu kartkowego otrzymywaliśmy maleńki przydział brykietów, który ledwie starczył na palenie w kuchni dla przygotowania jedzenia.

Któreś zimy matka zachorowała na zapalenie opłucnej. Mimo lekarstw choroba ciągnęła się bez końca aż doktor powiedział, że konieczne jest wysuszenie wody w opłucnej przez dużą ilość ciepła. Szczęśliwym trafem ojciec w tym czasie zorganizował prywatną produkcję filcowych butów damskich, których zelówki były zrobione z tektury i czarnej płytki gumowej. Po przycięciu zelówek i fleków na obcasy, pozostawała spora ilość odpadów gumowych, które te-

raz ojciec codziennie przynosił w worku na plecach. Paliło się to bardzo dobrze, choć wydzielał się smród, ale piec i rury nabierały czerwonego koloru. Zażywaliśmy ciepła do woli, siedząc w samych koszulach, rzecz w czasie zimy tutaj zupełnie nieprawdopodobna. Istotnie, po tej kuracji termicznej matka wyzdrowiała.

Ale nie zawsze tak bywało. Z reguły w domu było zimno. Chodziliśmy oczywiście grubo ubrani, ale szansę ogrzania dawał tylko słoneczny dzień. Okna mieszkania wychodziły na południe i przy bezchmurnym niebie około 11 rano nie widać było pary z ust. Później, gdy pracowałem w resorcie elektrotechnicznym dowiedziałem się, jak można ogrzać mieszkanie elektrycznością. Przydział prądu był oczywiście racjonowany i przekroczenie ilości dozwolonych kilowatów było zagrożone karą śmierci, jak każde zresztą przekroczenie. Którejś nocy podkułem się mejslem pod licznikiem elektrycznym, znajdującym się na klatce schodowej i zmostkowałem kabelek wchodzący i wychodzący z licznika pod tynkiem. Od czasu do czasu rozłączałem mostek, aby licznik wykazywał jednak jakieś zużycie prądu. Nie miałem jednak drutu chromoniklowego, który normalnie używa się w kuchenkach i grzałkach elektrycznych. Zamiast tego zaszpanowałem cienką rurkę w uchwycie tokarki, na której nakręciłem długą spiralę z drutu żelaznego, którego było pod dostatkiem na warsztacie. W domu zawieszałem spiralę na dwóch gwoździach wbitych w ścianę i podłączałem do prądu: łącząc jeden koniec drutu z gniazdkiem elektrycznym w ścianie, a drugi z ziemią - poprzez żelazny zlew. Po bardzo krótkim czasie spirala przybierała kolor bordo i wytwarzała dużo ciepła. Wadą tego systemu było to, że spirala spalała się bardzo szybko i prawie co drugi dzień musiałem wyrabiać nową. Niepokojące było także to, że po włączeniu spirali napięcie w sieci spadało gwałtownie, żarówki paliły się bardzo ciemno i bałem się, że cały dom pogrąży się w ciemności, albo co gorsza, że wszystko się wyda. Dla tej przyczyny ograniczałem używanie spirali do takich wieczorów, gdy zimno było już nie do zniesienia.

A co robili inni? Marzli, gdyż przydział brykietów był niewystarczający, a poza tym często nie do zrealizowania z powodu braku dostaw, lub pieniędzy. Dlatego też w krótkim czasie zostały w getcie wycięte nieliczne rosnące tu drzewa, następnie na opał poszły ławki, parka-

ny, drewniane poręcze na schodach, drzwi klozetów na podwórzach, meble, a nawet deski podłogowe, jeżeli tylko można się było bez nich obejść. Wielu ludzi z powodu nędzy nie miało ciepłej odzieży, ani żadnej innej. Niektórzy mieli odzież, ale musieli ją sprzedać, aby kupić żywność. Dlatego jedną z przyczyn masowych zgonów był mróz, który dziesiątkował ludzi, podobnie jak głód i choroby zakaźne.

Wodę przynosiło się do mieszkania ze studni ulicznej, odległej o jakieś 50 metrów od naszego domu. Studnia była ręczna i stawiała opór przy pompowaniu. Nie byłem jeszcze przyzwyczajony do pracy fizycznej i po nabraniu wiadra byłem porządnie zmęczony, a przecież trzeba było jeszcze donieść je do domu i wnieść na drugie piętro. Najgorzej było zimą kiedy cała studnia i przylegający do niej teren były pokryte grubą skorupą śliskiego lodu, na którym nieraz traciłem równowagę. Każda rodzina dostarczała jedno wiadro dziennie, a dopełnienie tego obowiązku należało do mnie. Ze zrozumiałych względów gospodarowaliśmy wodą bardzo oszczędnie. Nikt jednak w naszym mieszkaniu nie był brudny, ani zawszony, mimo, że z wyjątkiem kilku razy w obozie koncentracyjnym, nikt z nas nie widział wanny ani prysznicza do zakończenia wojny. Myliśmy się w misce ciepłej wody i to jakoś wystarczało. Oczywiście było to związane z niewygodą przechodzenia z pokoju do kuchni i vice versa. Pranie było robione w mieszkaniu i tu też suszono bieliznę.

Prawdziwą udręką było natomiast korzystanie z klozetu na podwórzu. Składał się on z szeregu ubikacji znajdujących się z dwu stron krótkiego korytarza. Był pozbawiony oświetlenia i wentylacji. Z początku ubikacje były zaopatrzone w drzwi, ale pozbawione zamków. Z czasem drzwi poszły na opał. Klozet nie był sprzątany i dlatego wejście do środka było związane z ryzykiem zabrudzenia się, szczególnie wieczorem i w nocy. Najgorszą jednak rzeczą było to, że dół kloaczny był zawsze przepelniony, a ponieważ był opróżniany zbyt rzadko, więc z klozetu płynęły między kamieniami podwórza zielone strumyki cuchnącej cieczy, które poprzez bramę kończyły swój bieg w rynsztoku na ulicy. Identyczna sytuacja istniała we wszystkich domach, więc rynsztoki - podobnie jak podwórka - wydzielaly smród, który był szczególnie dotkliwy w okresie letnich upałów. Każdy, kto spędził w klozecie choćby krótki czas, nasiąkał smrodem. Rutyną

stało się zatem dla wszystkich, aby po wyjściu z klozetu wietrzyć się na dworze możliwie długo. Najlepiej godzinę, choć i wtedy nanosiło się trochę smrodu, który zagnieździł się w odzieży. Wietrzyliśmy się więc bez względu na pogodę, porę doby, a nawet porę roku, t.zn. również w czasie wielkich mrozów. Inaczej nie można byłoby wytrzymać.

Drugą plagą były pluskwy. Wprowadziliśmy się bowiem do zapluskwionego mieszkania. Z początku wydawało się, że energicznym czyszczeniem uwolnimy się od tego, ale okazało się, że środkami które mieliśmy do dyspozycji niczego nie osiągniemy. W ciągu dnia pluskwy były na ogół niewidoczne, ale gdy próbowaliśmy zasnąć wieczorem pojawiały się w wielkich ilościach, uniemożliwiając sen. Dla ratowania wypoczynku nocnego zapalaliśmy więc światło i systematycznie przeszukując łóżko zbieraliśmy je w dużych ilościach, topiąc je w przygotowanych między innymi w tym celu nocnikach. Po tej akcji było ich tak mało, że można było do spać do rana. Następnej jednak nocy pojawiały się znowu w dużej ilości, a my powtarzaliśmy tę samą procedurę, która z czasem stała się czymś w rodzaju rutyny.

W takich warunkach nie było mowy, aby ktokolwiek mógł żyć w jakimś czasowym choćby wyodrębnieniu. Pojęcie *privacy* nie miało żadnego zastosowania w odniesieniu do naszej sytuacji, nawet jeśli Leszczyńscy mogli się chronić w swojej części kuchni, za zaciągniętą kurtyną. Zważywszy, że każda z trzech rodzin prowadziła oddzielne gospodarstwo domowe, że istniały między nimi różnice w sytuacji materialnej, że wreszcie płytki kuchenna miała niewielką ilość fajerek, a termin w którym przygotowywano posiłki był dla wszystkich ten sam, trudno się dziwić, że od czasu do czasu atmosfera w mieszkaniu bywała napięta. Zdumieniem napawa raczej fakt, że nie przypominam sobie żadnej awantury, ani tego, aby ktokolwiek mówił podniesionym głosem. W rzeczy samej, jedyne burzliwe sceny, jakie miały miejsce na Drewnowskiej 21, to były moje kłótnie z ojcem z powodu mego przystąpienia do organizacji komunistycznej - o czym dalej.

Pod koniec 1943 roku wyprowadziliśmy się na Zgierską 11, tak, że Rakowie i Leszczyńscy objęli całe mieszkanie, w którym pozostali do końca, do czasu deportacji do Oświęcimia.

Źródła utrzymania i sposób gospodarowania

Jedno i drugie podlegało ciągłym zmianom w miarę tego, jak warunki w getcie zmieniały się - zawsze na gorsze.

W ciągu pierwszych tygodni po utworzeniu getta, gdy wyjście do miasta było dla nas już zakazane, ale mogli przychodzić tu jeszcze Polacy i Niemcy, zaopatrzenie getta oparte było na nagromadzonych zapasach oraz w zasadzie niekontrolowanym dopływie zakupionych w mieście towarów. Ten stan rzeczy skończył się 1 kwietnia 1940 roku, gdy getto zostało hermetycznie zamknięte, co między innymi oznaczało, że również Polaków i Niemców obowiązywał zakaz przekraczania granic dzielnicy żydowskiej.

Od tego czasu przyśpieszony został i tak już szybki proces tworzenia żydowskiej administracji getta, która na polecenie Niemców miała bezpośrednio zawiadywać wszystkimi dziedzinami życia i produkcji. Instytucja ta - *Der Älteste der Juden in Litzmannstadt-Getto*, bo tak się ta administracja nazywała - posiadała niemal wszystkie działy, które w normalnym państwie odpowiadają poszczególnym resortom rządowym. Nie było tu oczywiście sił zbrojnych, choć działało kilka rodzajów policji i straż ogniowa, nie było żadnego zarządu spraw zagranicznych oraz jakiegokolwiek instytucji przedstawicielskiej, ale istniało ciało doradcze - *Beirat*.

Getto miało być ekonomicznie samowystarczalne, t.zn. produkcją na rzecz przedsiębiorstw niemieckich i Wehrmachtu opłacać koszty własnego utrzymania. To założenie zostało bardzo szybko skorygowane, gdyż getto miało ponadto przynosić zysk swemu prawnemu właścicielowi - *Gettoverwaltung*.

Normy żywienia na mieszkańca getta zostały ustalone na poziomie niższym od obowiązującego w niemieckim systemie więziennictwa i ustalone na 30 fenigów dziennie. Norma ta została z czasem obniżona, a produkty żywnościowe, często zepsute nie były dostarczane na czas. 2 czerwca 1940 roku wprowadzony został przez *Der Älteste der Juden* system kartkowy obejmujący na początku żywność i opał i eliminujący wszelki handel prywatny, który od tej pory był zakazany. W końcu tego samego miesiąca dokonano przymusowej wymiany niemieck-

kich marek na specjalnie emitowane banknoty i bilon gettowy. Odtąd posiadanie pieniędzy niemieckich było karane na równi z posiadaniem obcych dewiz. W okresie między 7 marca a 19 września 1941 roku ukazywała się raz w tygodniu, czterostronicowa gazeta drukowana w jidisz, będąca organem *Der Älteste der Juden*.

W równie szybkim tempie nastąpiło uruchomienie produkcji. Wykorzystano w tym celu wszystkie znajdujące się w getcie warsztaty, fabryczki i maszyny oraz zainstalowano sporo urządzeń produkcyjnych przywiezionych z miasta, gdzie szereg fabryk było nieczynnych.

W pierwszym okresie aż do zamknięcia getta, zarówno my jak i mieszkające z nami rodziny, żyliśmy z posiadanych oszczędności. To co jedliśmy było bardzo niewyszukane, ale w tym czasie nie zaznaliśmy jeszcze głodu. Było oczywiste, że oszczędności nie starczą na długo i dlatego zaczęliśmy się rozglądać za pracą, którą z pewnym wysiłkiem można było zdobyć, ponieważ aparat administracyjny i produkcyjny getta rozrastał się z dnia na dzień. Zarobki otrzymywane w tych miejscach pracy były bardzo niskie, ale równocześnie pojawiały się sklepy spożywcze i piekarnie należące do *Der Älteste*, w których ceny produktów były o wiele niższe od wolnorynkowych, bo były ustalane w trybie administracyjnym. Bardzo biedni ludzie byli w tym czasie zdani wyłącznie na te sklepy, w których asortyment żywności był bardzo ograniczony i budził powszechne niezadowolenie. Zakrawało na ironię, że skargi na ten brak urozmaicenia niewiele miesięcy później ustąpiły marzeniom o najedzeniu się do syta, byle czym, a w szczególności tym, co tak niedawno niedoceniano. Popularny na ulicach getta piosenkarz-balladzysta Jankiel Herszko wicz śpiewał przy akompaniamencie swej gitary ulubioną przez tłum piosenkę, której refren /w transkrypcji polskiej/ brzmiał:

Der feter Chaim

Er get unz klaim.

Er get unz groopen

Er get unz man

Gemacht a geto

Myt a djeto

In er zugt der baj

Er iz geracht ...

Co w wolnym przekładzie polskim znaczy: Gruby Chaim /a więc Rumkowski/ daje nam otręby, daje nam kaszę, daje nam mianę. Zrobił getto z dietą i przy tym twierdzi, że ma rację ...

Byłem pierwszym, który w naszym mieszkaniu dostał pracę. Uzyskałem ją dzięki pomocy nowego znajomego, sąsiada z tego samego piętra. Był to starszy, siwy pan nazwiskiem Szternberg, który ze swą matką zajmował mieszkanie równie duże jak nasze. W późniejszym okresie był komisarzem służby więziennictwa i zastępcą szefa centralnego więzienia. Należał do nowopowstałej elity administracji getta, wśród której nie mieliśmy żadnych znajomości. Był człowiekiem, który orientował się dobrze w tym co się dzieje i prawdopodobnie było mu miło, gdy wieczorem przychodził do nas. Otoczony tu ludźmi okazującymi zainteresowanie i respekt przynosił ostatnie nowiny gettowe oraz przedstawiał swój pogląd na rozwój sytuacji wojennej. Dzięki niemu dostałem pracę gońca w wydziale finansowym.

Zadanie moje polegało na roznoszeniu do mieszkań nakazów płatniczych za podatki. Wysokość podatków była zróżnicowana, ale na ogół mała. Chociaż wezwanie kończyło się formułą grożącą karami za niezapłacenie, nie znałem nikogo, kto by podatek zapłacił. Mimo to nakazy płatnicze były w dalszym ciągu wypisywane, ja zaś z kilkoma innymi chłopcami roznosiliśmy je, obrabiając ulicę za ulicą i dzielnicę za dzielnicą. Praca była bardzo męcząca i przygnębiająca. W getcie nie było skrzynek na listy na parterze, nigdzie nie było też windy. Musiałem wchodzić do każdego mieszkania i żądać pokwitowania odbioru, które potem zdawałem w urzędzie. Oznaczało to, że każdego dnia wspinałem się na niezliczoną ilość stromych pięter, zaczynając pracę o 9 rano i rzadko kończąc przed 3. Przy okazji wchodziłem w kontakt z wielką liczbą obcych ludzi i przyglądałem się nędzy, jakiej nigdy dotąd nie widziałem, choć w niewiele miesięcy później przyszło mi zobaczyć rzeczy o wiele straszniejsze. Moja pensja miesięczna była jedną z najniższych w getcie, ale mimo to stanowiła pożyteczny wkład w utrzymanie naszej rodziny.

W tym czasie ojciec szukał pracy w tworzącym się przemyśle obuwniczym. Aspirował on do kierowniczego stanowiska, ale te były już obsadzone przez innych. Z pośród wszystkich ludzi w Łodzi, a nie tylko w getcie, którzy mieli cokolwiek wspólnego z branżą obuwianą, ojciec miał niewątpliwie najwyższe kwalifikacje zawodowe i organizacyjne, aby kierować mechaniczną produkcją butów. W getcie działały jednak od początku inne mechanizmy doboru kadry kierowniczej, oparte na znajomości środowiska, w którym ojciec nie znał nikogo.

Nie widząc tam dla siebie szansy, ojciec zajął się produkcją letnich pantofli damskich, co było przedsięwzięciem niezwykle trudnym z powodu braku odpowiednich surowców. W krótkim czasie zaprojektował on model sandałka na półsłupku, który okazał się bardzo udany. Cholewka była wykonana z zielonego brezentu, spód z grubej tektury, zaś zółwka z dość cienkiej deszczuлки naciętej w kilku miejscach z obu stron, co zapewniało jej pewną elastyczność. Obcasy były oczywiście drewniane, a fleki z płytki gumowej. Wykonawstwo sandałów rozdzielił ojciec między kilkoma rzemieślnikami, znanymi mu z przed wojny, a montaż całości odbywał się pod jego bezpośrednim nadzorem. Zapotrzebowanie na sandały było duże, gdyż cena ich była umiarkowana i ojciec nie miał żadnych trudności ze zbytem.

Nasza sytuacja materialna poprawiła się tego lata doraźnie, choć wydatki ojca też były duże. Przeprowadził on do getta swą matkę staruszkę, dla której za pieniądze załatwił pokój i utrzymywał ją w dalszym ciągu jak przed wojną. Poza tym do końca jej życia nosiłem do niej codziennie garnuszek obiadu, przygotowany przez matkę. Oprócz tego codziennie przychodził do nas na obiad jeden z moich kuzynów, czternastoletni chłopiec, którego ojciec, a mój wujek, umarł kilka lat przed wojną.

Tę udaną próbę samodzielnej produkcji ojciec powtórzył jeszcze jeden i zarazem ostatni raz. W związku ze zbliżającą się zimą zaprojektował on praktyczny i estetyczny, sznurowany do pół łydki, filcowy but damski, który również okazał się sukcesem handlowym. Tym samym zostały jednak wyczerpane ostatnie materiały zastępcze niezbędne do produkcji obuwia, a dostępne w getcie. Ta niemożność kontynuowania dotychczasowego procederu zbiegła się w

czasie z drastycznymi zmianami w getcie, które zmusiły ojca do przyjęcia posady t.zw. instruktora, czyli w gruncie rzeczy starszego majstra w fabryce obuwia *Der Älteste* przy ulicy Franciszkańskiej.

Matka na razie pozostawała w domu, zajmując się gospodarstwem. Kuzyn znalazł pracę w jednym z zakładów produkcyjnych, ale po pewnym czasie zdołał ją zamienić na o wiele cięższą przy wyładunku warzyw z wagonów kolejowych na bocznicę Radegast. Dzięki temu mógł od czasu do czasu nielegalnie przynosić dla swej rodziny brukiew, marchew lub buraki, którymi ciotka starała się dokarmić swą głodującą rodzinę. Wkrótce obie kuzynki poszły do pracy. Młodsza znalazła zatrudnienie w przemyśle konfekcyjnym, zaś starsza została pielęgniarką w nowo otwartym szpitalu dla zakaźnie chorych na ulicy Wesolej. Także obie ciotki miały pracę, choć chałupniczą. W mieszkaniu pojawiły się drewniane ramy z nabitymi gwoździkami, na których rozpinały one osnowę, przez którą przeplatały kolorowe, pseudo wełniane nici, wytwarzając ładne szaliki w szkocką kratę. Nakładcą była oczywiście jedna z fabryk *Der Älteste der Juden*. Do pracy poszedł także wujek Leszczyński, a nawet najstarszy wiekiem wujek Aron, gdy wykonywanie pracy stało się nie tylko źródłem utrzymania, ale niezbędną przesłanką, choć bynajmniej nie gwarancją, możliwości zachowania życia. Wtedy też do pracy poszła moja matka, zatrudniona w biurze tej samej fabryki w której pracował ojciec.

Tempo uruchamiania nowych miejsc pracy w getcie było bardzo duże, ale absolutnie nie nadążało za potrzebami, tych którzy pilnie potrzebowali pracy natychmiast, bo nie mieli z czego żyć. Ci którzy pracę mieli, otrzymywali tak niskie wynagrodzenie, że często nie pokrywało kosztów żywności przydziałowej. Było wielu bezradnych, którzy nie mieli żadnego zawodu, żadnych korzystnych znajomości, ludzi słabych i chorych, którzy w żadnym okresie historii getta nie gardziliby kaszą lub manną.

W łódzkim getcie nie było nigdy lokali rozrywkowych ani luksusowych knajp, które samym swym istnieniem prowokowałyby ludzi głodnych i zrozpaczonych. Istniało natomiast rozpowszechnione przekonanie, że administracja getta, szczególnie zaś jej elita jest doszczę-

nie skorumpowana, a nędza tysięcy ludzi spowodowana złodziejstwem pracowników wydziału aprowizacji. Oskarżano ich nie tylko o kradzież, ale i o zbrodniczy brak kompetencji lub obojętność, które powodowały, że dostarczana przez Niemców żywność ulega zepsuciu. Drażniącym szczegółem były dostawy produktów żywnościowych niedostępnych dla nikogo z wyjątkiem członków *bajratu* np. masła, twarogu lub mleka, które transportowane były w koszach przez specjalnych tragarzy.

Począwszy od lata 1940 roku nastroje gniewu znalazły ujście w ulicznych demonstracjach, które często odbywały się w niebezpiecznej bliskości posterunków niemieckich na Zgierskiej i na Starym Rynku, a więc w najbliższym sąsiedztwie *Kripo*. Przy tej okazji nieraz zabierano tragarzom żywność przeznaczoną dla członków *bajratu* i wieszano puste bańki po mleku na gałęziach rosnących tu jeszcze drzew. Wyglądało, że demonstracje są spontaniczne, ale - jak się okazało później - były przygotowywane przez *Bund* i *Poalej Sion Lewicę*.

Ich ostrze było zwrócone przeciwko Rumkowskiemu, od którego domagano się przede wszystkim zwiększenia przydziału żywności i obniżenia cen, a także zlikwidowania przywileju żywnościowego *bajratu*. Czasami manifestacje wymykały się z pod kontroli organizatorów i tłum zaczynał wznosić okrzyki *Mir wil'n di dajcze macht I*, co oznaczało, że wierzono bardziej w uczciwość Niemców niż ludzi Rumkowskiego. Widziałem, jak wartownik stojący koło mostu na Zgierskiej przy Placu Kościelnym ściągnął karabin z ramienia, zarepetował go, ale nie wystrzelił, gdy doszedł go krzyk: *Chcemy niemieckiej władzy!* Tego rodzaju sytuacje powtórzyły się kilkakrotnie, niosąc ze sobą oczywistą groźbę ogólnej masakry. Raz czy dwa, interweniowało przybyłe z Bałuckiego Rynku gestapo, zabijając kilku demonstrantów.

Począwszy od połowy 1940 roku, a więc mniej więcej w tym samym czasie, Rumkowski dokonał szereg zmian, które drastycznie zmieniły warunki życia w getcie. Oprócz artykułów spożywczych, warzyw i brykietów również chleb został objęty systemem kartkowym. Rozdział papierosów reglamentował oddzielny system kuponów. Administracja getta przejęła pry-

watne sklepy żywnościowe, piekarnie i garkuchnie, czemu towarzyszył zakaz prywatnej działalności w tych dziedzinach.

Wprowadzono system, według którego pozbawieni pracy otrzymywali stałą miesięczną zapomogę, której wysokość bardzo odbiegała od kosztu przydziałów kartkowych. Otrzymujący zapomogę zobowiązywał się na piśmie, że przyjmie każdą wyznaczoną mu pracę, bez względu na jej charakter. Wkrótce okazało się, że zobowiązanie to rodzi bardzo poważne skutki. Gdy Niemcy kilkakrotnie zażądali od Rumkowskiego kontyngentu siły roboczej, mającej pracować poza drutami getta nie wiadomo gdzie i przy czym, ludzie ci byli ściągani z powołaniem się na ich podpis. Z czasem liczba osób zatrudnionych przez *Der Älteste der Juden* objęła większość zdolnych do pracy, a w miejscach pracy uruchomiono zakładowe kuchnie, które wydawały każdemu pracownikowi jedną zupę dziennie.

Trudności opałowe w getcie były permanentne, a ilość kuchenek gazowych mała. Jednakże w tych nielicznych domach bałuckich, gdzie była instalacja gazowa przekształcano nieczynne lokale sklepowe na publiczne kuchnie, gdzie za niedużą opłatą i po odczekaniu w kolejce można było ugotować swój garnek zupy, nawet jeśli to trwało długo z powodu bardzo słabego ciśnienia gazu.

Równocześnie zwiększony został skład osobowy policji żydowskiej i utworzono specjalne wydziały */Sonderkommando/*. Powołano także policję pomocniczą, której zadanie polegało na konwojowaniu wozów z chlebem i żywnością, aby zapobiec grabieży w czasie transportu. Uprzywilejowani policjanci z *Sonder* zostali między innymi odkomenderowani do całodobowych dyżurów w piekarniach i wytwórniach wędlin, aby zapobiec kradzieżom i niedozwolonej konsumpcji personelu, ponad dozwoloną normę - pół kilograma chleba na osobę. Dyżurującym policjantom przysługiwała ta sama norma. Złapanie na kradzieży powodowało wyrok sądu i osadzenie w więzieniu, skąd w pierwszym rzędzie brano ludzi na deportację, ilekroć tego Niemcy żądali.

Suma tych posunięć, z których jedne zmierzały do złagodzenia najostrzejszych przejawów nierówności i spacyfikowania nastrojów, a drugie do zaostrzenia kontroli policyjnej stworzyły w getcie nową sytuację. Znikły pozostałości wolnego rynku, a całe zaopatrzenie stało się monopolistyczną domeną *Der Älteste*, który wszystkim przydzielał taką samą ilość żywności. Główną wadą tego systemu było, że przydziały żywności nie wystarczały aby żyć, a ceny produktów - choć o wiele niższe od dawnych wolnorynkowych - były jednak zbyt wysokie dla wielu ludzi, którzy nie mogli wykupić kartkowego przydziału.

W związku z tym powstał nowy czarny rynek, na którym ci najbiedniejsi sprzedawali część swego przydziału, aby zachować dla siebie przynajmniej resztę. Pozornie nastąpiło zrównanie w zaopatrzeniu w żywność, w rzeczywistości różnice zostały jeszcze bardziej pogłębione. Bezpośrednim i natychmiastowym skutkiem tych zmian było to, że teraz wszyscy zostali dotknięci klęską głodu, ponieważ byli uzależnieni wyłącznie od *Der Älteste*, który z kolei nie miał najmniejszego wpływu na wielkość i częstość dostaw niemieckich. Nowopowstały czarny rynek był w odróżnieniu od poprzedniego bardzo niewielki, a poziom cen tak wysoki, że przykładowo - w ciągu następnych czterech lat aż do likwidacji getta, rodzice moi nigdy nie mogli dokupić kawałka chleba, mimo, że chodziliśmy ciągle głodni a rodzina nasza nie zaliczała się do najbiedniejszych w getcie.

Głód, jedzenie, choroby

Ludzie, którzy stale dostają za mało jedzenia decydują się na jedno z dwojga: albo zjadają na raz całą tygodniową lub dzienną rację chleba, albo dzielą go na 2 - 3 porcje dziennie, czy też na 7 porcji, aby zapewnić sobie możliwość jedzenia do czasu otrzymania nowego przydziału. Argumenty tych pierwszych: dobrze jest przynajmniej raz w tygodniu zaznać uczucia sytości, jest to skuteczna metoda zabezpieczenia się przed możliwością kradzieży jedzenia, wreszcie - nikt nie zna dnia ani godziny. Argumenty tych drugich: po zjedzeniu wszystkiego na raz głód jest później jeszcze bardziej dotkliwy, a podobny tryb życia prowadzi do szybszego załamania się organizmu niż w przypadku, gdy człowiek potrafi się kontrolować. Nikt nie prowa-

dził statystyki, ilu ludzi żyło według pierwszego sposobu, a ilu według drugiego, ale wydaje się, że pierwsza grupa stanowiła mniejszość, którą charakteryzowała zwiększona śmiertelność.

Tam, gdzie ludzie żyli i gospodarowali w obrębie rodziny, tam najczęściej żona i matka dysponowała całością przydziału żywności, który rozdzielala między swoich. Sposób tego podziału nie był jednakowy. W mojej rodzinie matka dawała mi jeść, ujmując sobie i ojcu. W jednej z zamieszkałych z nami rodzin, matka dawała jedzenie swemu synowi, ujmując je sobie i mężowi, ale nie córce. W drugiej zamieszkałej z nami rodzin, matka wydzielala córce, mężowi i sobie równe porcje, tam też miała miejsce milcząca tragedia: wielokrotnie widziałem jak wujek cichutko wstawał w nocy z łóżka i z bochenka swej żony i córki odkrawał cieniutkie plasterki, które na miejscu zjadał. Oczywiście nikomu o tym nie powiedziałem, ale nie miało to znaczenia, gdyż po pewnym czasie ciotka i kuzynka powzięły podejrzenie i porobiły na swych bochenkach niedostrzegalne znaki, których brak potwierdził ich obawy. O ile mi wiadomo, nigdy nie doszło do rozmowy na ten temat z wujkiem, natomiast często widziałem, że kobiety miały oczy zaczerwienione od płaczu.

Kuzyn, któremu matka dokładała ze swojej i męża porcji, był w tym wieku /dwadzieścia kilka lat/, kiedy potrzeba jedzenia jest chyba największa, a ciężka praca, którą wykonywał pod gołym niebem bez względu na porę roku i pogodę, polegała na dźwiganiu i przeładunku towarów. Niestety, zmniejszony przydział, jaki otrzymywał jego ojciec, mógł przyczynić się do tego, że wujek dosłownie umarł z głodu. Podobne sytuacje nierównego podziału żywności w obrębie rodziny i związane z tym tragedie prawdopodobnie występowały w wielu gospodarstwach domowych w getcie.

Sprawa oceny równego czy też sprawiedliwego podziału jedzenia była w rzeczywistości jeszcze bardziej złożona. Wprawdzie wszyscy mieszkańcy getta otrzymywali ten sam przydział kartkowy, ale z biegiem czasu wprowadzono system dodatkowych przydziałów, które mogły obejmować np. tylko chleb, albo tylko warzywa, albo tylko brykiety, albo niektóre artykuły spożywcze. Prawie wszystkie dodatkowe przydziały były związane z wykonywaniem ważnych

dla getta prac lub usług. Między innymi dodatkowe zaopatrzenie otrzymywali policjanci, strażacy, kominiarze, grabarze, ludzie zajmujący się transportem zwłok, wywożący fekalia i t.p. Inną kategorię stanowili ci, którzy bezpośrednio uczestniczyli w produkcji żywności, np. piekarze lub personel kuchni publicznych oraz wysoko kwalifikowani specjaliści w zakresie produkcji przemysłowej.

Z tytułu swego etatu - instruktora, ojciec mój otrzymywał tego rodzaju specjalny talon żywnościowy, który odrobinę poprawiał naszą sytuację aprowizacyjną. Największe przydziały żywnościowe otrzymywali szefowie zakładów produkcyjnych oraz grupa wysoko postawionych biurokratów z administracji *Der Älteste der Juden*. Wszyscy uprzywilejowani w sumie stanowili znikomą mniejszość ludności getta.

Oprócz wymienionych kategorii osób, również niektórzy chorzy otrzymywali za skierowaniem lekarskim specjalny dodatek żywnościowy. W odróżnieniu jednak od tych, których praca była szczególnie ważna dla getta, ich talony obowiązywały tylko w ciągu dwóch tygodni, a liczba tych wybrańców losu były znikoma. Później, gdy sytuacja w getcie pogorszyła się jeszcze bardziej, zastąpiono ten dodatek żywnościowy jednorazowym talonem pozwalającym nabyć dwa kilogramy łupin od kartofli w kuchni publicznej. Taki talon mógł być wystawiony tylko przez lekarza dla tych, którzy - podobnie jak mój wujek - mieli zaawansowaną chorobę głodową.

Prawdopodobnie w tych domach, w których ktoś korzystał z dodatkowego przydziału, żywność ta szła do wspólnego kotła albo przypadła dzieciom, ale rzadko temu dla którego była przeznaczona. Aby temu zapobiec zarządzono, aby osoby pracujące przy produkcji żywności konsumowały swój dodatkowy przydział żywności tylko na miejscu, bez prawa wynoszenia go na zewnątrz. Ale i to nie zmieniło wiele, bo np. piekarze czy policjanci dozorujący piekarzy w miejscu pracy oddawali rodzinie swój kartkowy chleb, zadawalając się przydziałem na miejscu.

Ten bardzo zróżnicowany system dodatkowych przydziałów, poza którym pozostawała prawie cała ludność getta, podlegał nieustannym zmianom na gorsze, podobnie jak cały system zaopatrzenia kartkowego.

Najtrudniejsza była sytuacja ludzi samotnych, których liczba szybko wzrastała wskutek wielkiej śmiertelności, wycinającej w pień całe rodziny oraz w wyniku kolejnych t.zw. wysiedleń z getta. Osobom samotnym było najtrudniej gospodarować, aby przydział kartkowy starczył na cały tydzień. Przydziały żywnościowe zmieniały się jakościowo i ilościowo z tygodnia na tydzień, ale ogólnie rzecz biorąc były coraz gorsze, a ilość produktów coraz mniejsza. Sytuacja stawała się rozpaczliwa, gdy wskutek zahamowania dostaw niemieckich upływał tydzień, a czasem dwa, bez jakiegokolwiek przydziału, niektórzy samotni ludzie oddawali większość kuponów z karty żywnościowej, aby za opłatą otrzymywać codziennie jedną zupę w kuchni publicznej. W ten sposób zabezpieczali sobie każdego dnia zupę, a drugą otrzymywali w miejscu pracy za przepracowany dzień. Do tego dochodziła dzienna porcja chleba, o ile mieli dostateczną siłę woli, aby nie zjeść go przed upływem tygodnia.

Dwie zupy dziennie i porcja chleba powinny może były wystarczyć, jeżeli zważyć, że był to czas wojny, a nasz status z trudem mógłby być jeszcze gorszy. Bieda w tym, że zupy, które faktycznie stanowiły podstawę pożywienia były bezwartościowe. Istniały dwojakiemu rodzaju zupy: kartoflanka, która składała się z gorącej wody zaprawionej szczyptą żytniej mąki i dwoma lub trzema kawałkami kartofla, albo jarzynowa, składająca się również z wody zabielaonej mąką, ale zawierająca wyłącznie grubo tartą brukiew bez kartofli. Jeżeli w tych zupach był jakiś tłuszcz, to nie było go widać, ani nie można go było poczuć. Te zupy nie zaspakajały głodu i w najlepszym wypadku dawały krótkotrwałe złudzenie pełnego żołądka.

Zdobycie pełnowartościowego jedzenia było niemożliwe, ale pomysłowość ludzka nie miała granic w improwizowaniu pożywienia, które dawało poczucie pełności, nawet gdy nie była to sytość. Głównymi, choć nie jedynymi surowcami dla wytwarzania tego rodzaju jadła była brukiew oraz surogat kawy. Brukiew była jednym z nielicznych warzyw, które od czasu do czasu

były sprzedawane poza systemem kartkowym. Namiastka kawy, która przed wojną składała się głównie z palonych ziaren zboża i cykorii, teraz zawierała przede wszystkim mielone, palone żołądźcie. Ilość tej kartkowej namiastki była na tyle duża, że starczała nie tylko na gotowanie t.zw. kawy, ale dawała się jeść na sucho z dodatkiem odrobiny brązowego cukru. Napęczniałą niedużą ilością wody z dodatkiem szczypty mąki i kilku tabletek sacharyny, kawę tę można było upiec w foremce na kształt babki.

Ten przysmak podawano przy okazji ślubu lub urodzin, tam gdzie to jeszcze było praktykowane. Potrawy z namiastki kawy oraz brukwi najczęściej dopełniały menu naszych trzech rodzin na ulicy Drewnowskiej. Najprostszym sposobem przerobu brukwi było utarcie jej na grube wióry, posypanie solą i potraktowanie jej jak kapusty, którą przeznaczano się na zakiszenie. Po upływie kilku dni brukiew traciła swój przykry zapach i upodabiała się w smaku do prawdziwej kiszzonej kapusty, będąc przy tym źródłem witaminy C. Przy większym nakładzie pracy kobiety przetwarzały brukiew w imitację t.zw. rolmopsów, czyli śledzi w occie z cebulą oraz w szereg innych potraw.

Innym źródłem dodatkowego zaopatrzenia w objętościowy pokarm i świeże witaminy były działki rolnicze. Normalna działka była bardzo mała, bo obejmowała zaledwie 50 metrów kwadratowych; nieliczna grupa wybrańców losu posiadała działki dochodzące do 200, a nawet 300 metrów. Za prawo użytkowania działki odpowiedni wydział urzędu *Der Älteste* pobierał opłatę. Prawie wszystkie działki znajdowały się na terenie Marysina, w miejscach gdzie przed wojną znajdowały się miejskie wysypiska śmieci. Działki były uprawiane przez wiele rodzin, ale ich użytkownicy stanowili zdecydowaną mniejszość ludności getta. Zapotrzebowanie na działki było ogromne, jednak na przeszkodzie w zaspokojeniu tego zapotrzebowania stał brak wolnych gruntów.

Zaliczaliśmy się do tych, którym udało się uzyskać przydział 50 metrowej działki. Zanim doszło do pierwszego siewu musieliśmy we trójkę oczyścić teren z wielkiej ilości szkła, cegieł, kafli, kamieni, zardzewiałych sprężyn, resztek opon samochodowych i wszelkiego śmie-

cia, które nie uległo rozkładowi. Pracowaliśmy ciężko wiele dni pod rząd, spędzając na działce czas między zakończeniem normalnej pracy i rozpoczęciem godziny policyjnej. W podobnej sytuacji znajdowali się wszyscy działkowicze. Wodę do podlewania nosiliśmy z daleka w zaimprovizowanych konewkach, nasiona kupowało się w wydziale rolniczym, przy czym najcenniejszym był przydział 2 kilogramów kartofli siewnych. Oczywiście nikt nie mógł się zdobyć na to, aby włożyć je do ziemi; kartofle zjadaliśmy, natomiast t.zw. oczka były starannie wycinane wraz z otaczającą je skórą i używane jako materiał siewny. Większość z nich dawała po pewnym czasie upragniony plon.

Byliśmy zupełnie niedoświadczeni w zakresie ogrodnictwa, ale chęć otrzymania jak największej ilości jadalnych produktów sprawiała, że eksploatowaliśmy działkę w sposób tak intensywny, jak chyba nigdzie na świecie. Przede wszystkim grządki były starannie podlewane. Gdy tylko pojawiły się zasadzone rośliny, zabieraliśmy się do gorliwego pielienia, wrywając palcami każde źdźbło niepożądanego chwastu. Potem wrywaliśmy poszczególne rośliny, gdy rosły zbyt gęsto, wreszcie okopywaliśmy poszczególne grządki. Niektóre rośliny jak na przykład rzodkiewki sadziliśmy dwa razy, jeśli tylko sprzyjała temu pogoda. Gdy warzywa dojrzewały, braliśmy udział w dyżurach nocnych na działkach, chociaż oznaczało to łamanie godziny policyjnej.

Produkty uzyskane z działki - podobnie zresztą jak wszystkie inne - były zużywane w maksymalnym stopniu. Oznaczało to na przykład, że oprócz korzenia dojrzałej marchwi przetwarzaliśmy na jadło także jej nać. Plony pierwszego roku były najlepsze, późniejsze coraz gorsze, ponieważ nie mieliśmy dostępu do sztucznych ani naturalnych nawozów.

Z wyjątkiem małej grupki ludzi, stanowiącej elitę władzy, wszyscy inni w getcie głodowali. Ten stan rzeczy trwał niezmiennie przez cztery lata i powodował powszechne pogorszenie stanu zdrowia. Wiele chorób, które w getcie prowadziły do masowych zgonów spowodowanych było przez niedożywienie, ogólne osłabienie i zmniejszenie odporności. Dlatego różne choroby zakaźne spowodowane fatalnymi warunkami sanitarnymi, wśród nich przede wszystkim gruźlica, tyfus i czerwonka siały spustoszenie.

Ale w getcie mówiło się także o istnieniu choroby głodowej, jako o nowej jednostce chorobowej, prowadzącej do śmierci. Mój wujek, z którym mieszkaliśmy razem, umarł właśnie na tę chorobę, której przebieg obserwowałem od samego początku. Zrazu wujek chudł i tracił siły. Potem w okolicy kostek wystąpiły obrzęki, które stopniowo posuwały się w górę ciała. Gdy spuchlizna osiągnęła poziom bioder, wujek przestał chodzić do pracy i położył się do łóżka. W tym czasie ciotka usiłowała przy pomocy intensywnego odżywiania - kosztem pozostałych członków jej rodziny - ratować swego męża, ale było już za późno. Kiedy obrzęk sięgnął okolicy brzucha wujek nie mógł już jeść, a gdy dotarł na wysokość serca, wujek umarł.

Wszyscy w naszym mieszkaniu, a także wszyscy których znałem, schudli na ciele i na twarzy. Kołnierzyki koszul ojca zdawały się być o kilka numerów za duże. To samo dotyczyło spodni, które ojciec podtrzymywał coraz to bardziej ściśniętym paskiem. Spódnice matki wisiały na niej i wyglądały, jak gdyby pochodziły od innej kobiety. Podobnie wyglądało to u moich wujków i ciotek. Jedynie ja i moje kuzynki zachowaliśmy dawny wygląd; nasze twarze i ciała nie nosiły jeszcze znamion wyniszczenia.

W okresie getta zostałem dotknięty trzema poważnymi chorobami. Pierwszą była kamica nerkowa, która niespodziewanie objawiła się ostrym atakiem bólu w czasie pracy, gdy roznosiłem listy. Lekarz zaordynował granulki *Piperazine Midi*, które rzekomo miały rozpuszczać kamienie nerkowe i pocieszył mnie, że od tego się nie umiera.

Drugą chorobą była czerwonka, która w tym czasie przybrała w getcie epidemiczny charakter. Zazwyczaj domy w których wykrywano przypadki czerwonki były obłożone kwarantanną, co oznaczało zamknięcie bramy domu, wywieszenie plakatu zakazującego wejście na teren posesji i postawienie policjanta żydowskiego, który miał strzec przestrzegania kwarantanny. Byłem wtedy tak ciężko chory, że nie wiedziałem czy i nasz dom był objęty kwarantanną, a gdy wróciłem do zdrowia nie było we mnie ciekawości, aby dowiadywać się, jak nasza rodzina przeżyła ten okres czasu, nie pamiętam jakie leki zaordynował mi lekarz, ale przypominam so-

bie, że rodzice kupowali wtedy dla mnie jabłka na czarnym rynku, gdyż panowało przekonanie, że tarte jabłko ma właściwości lecznicze.

Trzecią chorobą, jaka spadła na mnie, była gruźlica płuc. Długo nie zwracałem uwagi na to, że słabnę i pocę się w nocy, ale któregoś dnia zakasłałem i znalazłem krew w plwocinie. Byłem przerażony tym odkryciem i jeszcze przed pójściem do lekarza nie miałem wątpliwości, że to gruźlica. W tym czasie diagnoza tej choroby była w getcie równoznaczna z wyrokiem śmierci. Wielka ilość ludzi stale umierała na gruźlicę, przy czym znałem szereg osób, w tym kilku chłopców w moim wieku, którzy zmarli na tę chorobę. Lekarz który mnie zbadał - bez prześwietlenia - potwierdził moje najgorsze obawy. Pamiętam, że gdy użył słowa gruźlica w odniesieniu do mnie, nie mogłem się uwolnić od wrażenia, że chodzi tu o kogoś innego, a nie o mnie. Rodzice zrobili wszystko co było w ich mocy, aby zwalczać chorobę. Zastosowano z trudem i nakładem pieniędzy zdobyte leki: krople *Vigantol*, zawierające syntetyczną witaminę D oraz zastrzyki wapna. Oprócz tego rodzice podkarmiali mnie, oczywiście własnym kosztem. Do czasu likwidacji getta nigdy więcej nie byłem kontrolowany przez lekarza, nie wiem więc jaka była skuteczność tej kuracji. W każdym razie aż do czasu deportacji do Oświęcimia nie miałem już więcej krwioplucia.

Przyjemności w getcie

Wybór tego tytułu jest w jakimś stopniu prowokacją, ale absolutnie niezamierzoną. Nie potrafię znaleźć innego określenia, które by obejmowało całokształt przeżyć nie związanych bezpośrednio z wojną, okupacją i statusem Żyda pod władzą hitlerowską. Prawdą jest, że nie istniała w getcie żadna dziedzina życia, która nie byłaby tym dotknięta. Ale prawdą jest również i to, że ludzie tu także czytali książki, pogwizdywali sobie, plotkowali, przeżywali uniesienia miłosne i męki zazdrości, choć ostatecznie wszystko to było jakoś zakotwiczone w okropnej hitlerowskiej wszechobecności. Przyjemności w getcie obejmują więc to wszystko, co po prostu nie

było przykre. Oczywiście muszę dodać: dla mnie, nie mam bowiem pewności, czy inni ludzie w getcie reagowali tak samo jak ja.

Po zamknięciu getta, w ciągu wiosny i lata 1940 roku odczuwałem ulgę i przyjemność z faktu, że w zasadzie nikt z zewnątrz nie mógł wchodzić do getta. Oczywiście zdarzało się, że niespodziewanie mogłem natknąć się na Niemca, przed którym zgodnie z obowiązującym nakazem schodziłem na jezdnię i zdejmowałem czapkę, aby uniknąć kopnięcia. Zdarzało się to jednak bardzo rzadko i fakt ten utwierdzał tylko moje dobre samopoczucie z powodu ścisłej izolacji getta od świata zewnętrznego. Była to naturalna reakcja na uczucie strachu, które nie opuszczało mnie ilekroć byłem na ulicy w czasie gdy mieszkaliśmy jeszcze w mieście. Cieszyłem się nie tylko dlatego, że przestałem się bać łapanek na ulicy, ale że skończyły się dla nas okropne noce na Zachodniej 32.

To złudne poczucie bezpieczeństwa znikło pod koniec roku, gdy na getto zaczęły spadać coraz dotkliwsze plagi, a wspomnienia z okresu pierwszych miesięcy okupacji zaczęły blaknąć.

Od samego początku w getcie obowiązywała godzina policyjna, zdaje się od 6 wieczór do rana. Zakaz opuszczania domu był oczywiście uciążliwy, ale z początku również źródłem pewnej przyjemności. Większość ludzi nie miała właściwie nic do roboty we wczesnych godzinach wieczornych i dlatego siłą rzeczy nawiązywano znajomości z sąsiadami z tej samej klatki schodowej. Ludzie zaczęli u siebie bywać, powstawała siatka nowych kontaktów towarzyskich. Z czasem poprzebijano przejścia do sąsiednich kamienic, co umożliwiało poruszanie się po getcie bez konieczności wychodzenia na ulicę.

Lubiłem te długie wieczory, gdy zarówno moi krewni, z którymi dzieliliśmy mieszkanie, jak i sąsiedzi z tego samego piętra, zasiadali wokół dużego stołu w naszym pokoju i toczyli niekończące się rozmowy zawsze na te same tematy: plotki z getta oraz spekulacje związane z biegiem wojny. Był to czas, w którym jeszcze nie miałem wyrobionych poglądów i dlatego to, co słyszałem, było dla mnie interesujące.

Ten miły stan rzeczy skończył się z nastaniem jesieni i zimy. W tym bowiem czasie Niemcy wprowadzili w getcie zakaz korzystania z elektryczności w godzinach wieczornych i w nocy. Póki dzień był długi siedzieliśmy przy stole bez konieczności palenia lampy, później stało się niemożliwe i zaczęliśmy się kłaść wcześniej spać. Inna sprawa, że w późniejszym okresie rozmowy przy stole byłyby mnie tylko nudziły i irytowały, gdyż byłem pod wpływem teorii marksistowskiej, w świetle której to, o czym dyskutowano, było tylko reakcyjną brednią.

Jeżeli pogoda tylko dopisywała, schodziłem na podwórze, gdzie można było spotkać różnych ludzi, w tym także moich rówieśników. Najchętniej przebywałem w towarzystwie dwóch sióstr, w tym mniej więcej samym wieku co ja, które wyróżniały się dużą urodą. Innym częstym partnerem rozmów był młody mężczyzna nazwiskiem Pytel, który - ciągle jeszcze w mundurze wojskowym - opowiadał o kampanii wrześniowej i pobycie w niewoli niemieckiej. Pytel fascynował mnie przede wszystkim dlatego, że był bardzo muzykalny i opanował do wirtuozerii sztukę grania na korku, z którego wydobywał piosenki wojskowe, melodie rozrywkowe i kawałki muzyki klasycznej. Nigdy przedtem ani potem nie spotkałem nikogo, kto by umiał grać na korku, przy tym Pytel chętnie uczył mnie tego kunsztu. Naśladując go kładłem zwykły korek od butelki między przednie zęby i uderzając w niego zgiętymi kciukami obu dłoni jak młoteczkami wydobywałem odpowiednie tony, modulując instynktownie kształt jamy ustnej. Jedyne, co osiągnąłem w tym zakresie, to zdolność prostego odtwarzania melodii, ale nigdy nie byłem w stanie wydobyć z korka pięknego, metalicznego tonu, który bez trudu przychodził Pytlowi, ani oszałamiającej prędkości jego uderzeń.

Pozbawiony trąbki zacząłem ćwiczyć na organkach ustnych i uzyskałem niezłe wyniki. Gdy byłem w dobrym nastroju, to grywałem nie kończące się wiązanki przedwojennych przebojów, piosenek ludowych i wojskowych a nawet fragmenty t.zw. muzyki poważnej.

Kilkakrotnie udało mi się zaspokoić potrzebę muzyki, wybierając się z rodzicami na koncert w jedynej w getcie sali, mieszczącej się w Domu Kultury *Der Älteste der Juden* przy

ulicy Krawieckiej. Instytucja ta istniała przez kilka miesięcy zanim została zlikwidowana, a lokal przeznaczony na inne cele.

W okresie, gdy do getta wsiedlono kilkanaście tysięcy Żydów deportowanych z Rzeszy, Austrii, Luxemburga i Czechosłowacji, utworzono tu orkiestrę symfoniczną składającą się z muzyków, których usunięto z pracy za żydowskie pochodzenie. Do orkiestry tej weszło również kilku muzyków łódzkich. Dyrygentem był łodzianin i jakiś wiedeńczyk. Grano repertuar klasyczny, obejmujący nie tylko utwory orkiestralne, ale również i śpiew, choć nie chóralny.

To co zachowałem w pamięci z bytności w Domu Kultury to nie wrażenia muzyczne, ale intensywniejsze niż zazwyczaj uczucie głodu. Wszyscy wykonawcy byli starannie ogoleni i przyodziani w białe koszule oraz czarne lub ciemne ubrania, czy też suknie. Odzież ta zdawała się być o kilka numerów za duża, podobnie jak kołnierzyki koszul, z których wystawały chude szyje. Przede wszystkim jednak ich zapadnięte, wygłodzone twarze nie pozwalały mi ani na moment zapomnieć, że ci ludzie są głodni i, że cała ta impreza jest jakoś bardzo sztuczna. Zamiast ukojenia i zapomnienia o otaczającej nas rzeczywistości, które powinna mi była dać muzyka, odczuwałem tę rzeczywistość w sposób bardziej namacalny niż zazwyczaj. Z tego punktu widzenia koncerty te okazały się dla mnie chybione, o czym nigdy nie mówiłem rodzicom.

Do przyjemnych rzeczy zaliczam również pracę w oddziale poczty gettowej na ulicy Rybnej, gdzie obsługiwałem okienko sprzedając znaczki, przyjmując listy polecane i wypłacając przekazy pieniężne. Trafiłem tam po kilkumiesięcznej pracy jako listonosz, co oznaczało pewien awans w porównaniu z niewdzięcznym zadaniem roznoszenia nakazów płatniczych wydziału finansowego.

Praca listonosza była również ciężka, ponieważ oznaczała wspinanie się na niezliczoną ilość pięter, ale przyjemnie było doręczać listy, szczególnie z zagranicy, na które ludzie niecierpliwie czekali. Przy okazji zawierałem nowe znajomości, zresztą powierzchowne i bez żadnych konsekwencji. Ocierałem się też o wiele ludzkich tragedii, przede wszystkim nędzę,

głód, choroby, a raz nawet natknąłem się na rodzinę, która przechowywała zwłoki chcąc wykupić najbliższy przydział kartkowego chleba i żywności.

Gdy zacząłem pracę na ulicy Rybnej poczta gettowa znajdowała się już w zaawansowanym stadium stopniowej likwidacji. Z początku poczta ta świadczyła podobne usługi co poczta niemiecka z wyjątkiem przyjmowania depesz, nadawania paczek i pieniędzy. Najpierw Niemcy skasowali obrót pocztowy z zagranicą, później wstrzymali dostawę paczek żywnościowych z Rzeszy i Generalnego Gubernatorstwa. W chwili, gdy zacząłem urzędowanie, wolno było jeszcze wysyłać listy do Rzeszy i Generalnego Gubernatorstwa oraz otrzymywać przekazy pieniężne z Rzeszy. Oczywiście Niemcy nałożyli na to swoje ograniczenia. Listów nie wolno było zaklejać, gdyż miały podlegać cenzurze gestapo. Na odwrocie koperty stemplowałem jako nadawcę *Der Älteste der Juden in Litzmannstadt Getto*, a poniżej dopisywałem dla: „...”. Jeśli faktycznym nadawcą był mężczyzna, to niezależnie od posiadanego imienia dopisywałem *Israel*, jeśli kobieta - *Sara*. Nakaz ten obowiązywał zresztą wszystkich Żydów na terenach niemieckich. Na końcu dopisywałem adres rzeczywistego nadawcy. Fakt, że mogłem przyjmować tylko niezaklejone listy umożliwiał mi czytanie niektórych listów, które interesowały mnie ze względu na osobę adresata. Tak na przykład nie oparłem się pokusie przeczytania listu nadanego przez jakiegoś Żyda berlińskiego, gdy zobaczyłem, że był on adresowany do Adolfa Hitlera z adresem kancelarii Rzeszy. Pisał w nim ten niemłody człowiek, że nie jest Żydem i wskutek nieporozumienia został deportowany z Berlina do łódzkiego getta. Powoływał się przy tym na swego brata, odznaczonego wysokimi orderami, który w randze pułkownika lotnictwa pełni służbę na froncie wschodnim. Prosił o przywrócenie mu praw i możliwość powrotu do domu. List był pełen nacjonalistycznych akcentów, ale wątpię czy uchronił nadawcę od losu, który spotkał resztę łódzkich Żydów.

Ograniczenia w otrzymywaniu przesyłek pieniężnych polegały chyba na tym, że przekazywane sumy musiały być małe. Zauważyłem, że nie przekraczały one 10 do 15 marek. Pieniądze te otrzymywali wyłącznie Żydzi niemieccy, a wysyłającymi byli ich sąsiedzi lub przyjaciele, którzy w ten sposób chcieli pomóc swoim bliskim. Wiem o tym, ponieważ wielu z pośród

otrzymujących te pieniądze opowiadało mi to z dużym przejęciem. Niektórzy nadawcy wypełniali blankiet pocztowy prawdziwym nazwiskiem i adresem, ale większość podawała fikcyjne dane.

Wspominam dobrze ten kilkumiesięczny okres pracy na poczcie, ponieważ wszyscy pracownicy tego oddziału byli kulturalnymi ludźmi. Szefem urzędu był nie stary jeszcze inżynier Jakubowski, bardzo bystry i obdarzony poczuciem humoru człowiek. Przy sąsiednim okienku pracował nieco starszy ode mnie kolega, nazwiskiem Szach, wyróżniający się szczególną wrażliwością i dużym odczytaniem. Na zapleczu biura prowadziły księgowość, wesola i ciągle śmiejąca się Janka Goldring, która po krótkiej nieobecności w pracy niespodziewanie zmarła na gruźlicę płuc oraz nieco od niej starsza Margalit, której nazwisko zapomniałem. Mimo, że byłem w tym gronie najmłodszy, traktowano mnie jako równorzędnego partnera.

Oczywiście znajdowałem przyjemność w czytaniu książek, które można było pożyczać tylko prywatnie, ponieważ nie istniały w getcie żadne biblioteki ani księgarnie. Jednak w pierwszym okresie czytałem stosunkowo niewiele. Prawdziwy przełom w tej dziedzinie nastąpił dopiero później, w związku z przystąpieniem do ruchu komunistycznego, ale wtedy lektury nie traktowałem już jako źródło przyjemności, ale środek doskonalenia się.

Wśród dostępnych mi przyjemności w getcie wypada jeszcze wymienić pływanie w stawach marysińskich. Wspomnienie tych kąpeli budzi jednak we mnie jeszcze dziś obrzydzenie i niemożność zrozumienia tego, co robiłem. Nie potrafię tego wytłumaczyć inaczej niż powołując się na własną głupotę albo kompletny brak wyobraźni, albo na jedno i drugie.

Getto mieściło się na terenie Bałut, to jest jednej z najbiedniejszych i na pewno najbrzydszych dzielnic miasta, zamieszkałej w dużym stopniu przez biedotę żydowską. Była to ta część Łodzi, w której nie było żadnego parku, ani otwartej zielonej przestrzeni, a i pojedyncze drzewa należały tu do rzadkości, nic dziwnego, że tęsknotę za wiejskim krajobrazem w jakimś stopniu mogłem zastępczo zaspakajać, wędrując na Marysin, który teraz wchodził w skład getta, ale przed wojną był zamieszkały przez Polaków. Marysin przylegał do właściwych Bałut i dużego cmentarza żydowskiego.

W przeciwieństwie do Bałut, Marysin miał rzadką zabudowę, składającą się z bardzo skromnych, często drewnianych domków. Tutaj i tylko tutaj mieściły się pozostałości dawnych ogródków otaczających domy, jakieś porośnięte trawą i chwastami ugory, trochę drzew oraz nieczynna cegielnia i rozrzucone wokół niej duże glinianki pełne wody. Te glinianki były właśnie stawami, w których w upalne letnie dni zażywałem kąpieli i pływałem, ulegając miłemu złudzeniu, że znów jestem na wsi. Nie byłoby w tym niczego złego, gdyby nie to, że do tych glinianek spuszczone były fekalia przywożone cysternami z kloak getta. Fakt ten był mi znany, podobnie jak wiedzieli o tym moi koledzy, którzy razem ze mną pływali w tej niby wodzie. Na pozór woda w gliniance wyglądała tak jak w każdym zwykłym stawie i nie wiedzieć dlaczego nawet nie śmierdziała, jednak świadomość, że woda jest zapaskudzona, tłumiała w pewnym stopniu naszą radość kąpieli, ale nie na tyle abyśmy mieli z niej zrezygnować. Nie wiem, jakim cudem nie zapadłem wtedy na jakąś zakaźną chorobę - czerwonkę przechodziłem bowiem dużo wcześniej - ani nie nabawiłem się choroby skórnej.

Nie jestem pewien, czy ekscytację można określić jako przyjemne przeżycie. Jeśli ekscytacja oznacza zaabsorbowanie czymś lub kimś, co nie jest przykre i nie stanowi zagrożenia, to chyba w sumie jest czymś przyjemnym. Te ekscytacje, które tu wspominam zawierały jednak element zagrożenia, z tym, że wtedy nie zdawałem sobie z tego sprawy i dlatego przeżywałem je jako przyjemne.

Zdarzenie, które wprowadziło mnie w stan takiego podniecenia miało miejsce w okresie gdy jeszcze nie byłem komunistą, ponieważ później nie mogłoby się zdarzyć. Byłem w tym czasie po raz pierwszy w życiu zakochany i nie bardzo zdawałem sobie sprawę z tego w co się wdaję. Nie pamiętam w jakich okolicznościach poznałem uroczą dziewczynę w moim wieku, Margot Rechtman, która wraz z rodzicami i ciotką została w 1938 roku deportowana z Niemiec do Polski przez Zbąszyń, chociaż ojciec jej, Juliusz od wielu lat osiadły w Niemczech, był właścicielem fabryki tekstylnej w Apoldzie koło Weimaru. Margot była nie tylko ładna i pełna wdzięku, ale miała także zdolności językowe i władała poza niemieckim także angielskim i francu-

skim. Chyba dlatego też w dość krótkim czasie opanowała niezłe polski i rozmowa z nią nie sprawiała mi żadnej trudności.

Niestety miałem konkurenta, starszego o 3 - 4 lata absolwenta tego samego gimnazjum do którego i ja uczęszczałem. Misza Gumener, bo tak się nazywał - w owym czasie po pierwszym roku medycyny w Liège - był inteligentnym i zdolnym młodzieńcem, który także znał kilka języków, w tym rzecz wtedy rzadką - rosyjski i rosyjską poezję. Misza górował nade mną przede wszystkim dojrzałością. W porównaniu z nim byłem jeszcze dzieckiem. Miszę znałem dłużej niż Margot, teraz zaś spotykaliśmy się w jej mieszkaniu niemal co dzień i spędzaliśmy długie godziny w towarzystwie jej rodziców i ciotki, bo mieszkali wszyscy w jednym pokoju. Po upływie niezbyt długiego czasu stało się jasnym, że Margot wybrała Miszę, ale mimo to nakłaniała mnie, abym do niej przychodził. Ponieważ rodzice jej także chętnie mnie widzieli, a i ja sam czułem się tam dobrze, więc dotychczasowy stan rzeczy trwał nadal. Kiedy wreszcie zaczęto mówić o przygotowaniach do ślubu zacząłem wycofywać się z gościnnego domu przy ulicy Wrocławskiej, a po pewnym czasie przestałem tam w ogóle przychodzić.

Wtedy właśnie spotkałem Nika Fiszera od którego dowiedziałem się, że i on ubiegał się o względy Margot i to wcześniej niż ja. Podobnie jak ja, również Nik został odrzucony, z tym jednak, że Margot nie chciała utrzymywać z nim żadnych kontaktów. Nik był chłopcem, z którym nic mnie nie łączyło z wyjątkiem tego, że tylko z nim jednym mogłem mówić o Margot, której i on nie był w stanie odżałować. Inaczej niż ja, był tak bardzo dziecinny, że myślał iż zdoła ją zdobyć jeżeli zaimponuje jej odwagą i gotowością ponoszenia dla niej ofiar.

Rzeczywiście, Nik zdobywał się na to, na co nikt inny w getcie się nie ważył. W czasie, gdy go poznałem, miał już za sobą dwa przejścia przez płot oddzielający getto od miasta. Owocem pierwszej wyprawy były organki Hohnera, które kupił dla Margot, wiedząc, że lubi i umie na nich grać. Drugim razem przyniósł jej bukiet świeżych, ciętych kwiatów, rzecz absolutnie niedostępną w getcie. Oczywiście wyjście z getta było obłożone karą śmierci, a wartownicy strzegący płotu strzelali bez ostrzeżenia.

Margot przyjęła oba te dary, ale jej stosunek do Nika nie uległ zmianie. Wtedy to zdecydował się na niezwykle ryzykowne przedsięwzięcie, do którego dodatkowo popychał go zbliżający się termin ślubu Margot. Oceniałem jego zamiar jako czyste szaleństwo, które nieuchronnie doprowadzi do jego śmierci. Starłem się odwieść go od planowanej wyprawy, ale na próżno. Tym razem Nik zamierzał przedostać się do Szwajcarii i tam doczekać końca wojny. Gdyby rzecz się powiodła, planował wysyłanie paczek żywnościowych dla Margot i rodziców, chociaż w tym czasie Niemcy od dawna już wstrzymali doręczanie paczek pocztowych z zagranicy do getta.

Nik wtajemniczył mnie w swój zamiar, ponieważ potrzebował mojej pomocy w wyjściu z getta. Gdy zawiodły argumenty, zagroziłem mu, że opowiem o wszystkim jego rodzicom. Groźba ta nie zrobiła na nim wrażenia. Po prostu nie liczył się w ogóle z reakcją rodziców i powiedział mi, że z getta i tak wyjdzie, a odmawiając mu pomocy zmniejszam jego szanse. Stałem więc na tym, że mu pomogę.

Nik był w moim wieku, ale z jakiejś przyczyny był o dwie klasy niżej ode mnie w chwili rozpoczęcia wojny. Z wyglądu był przystojnym, trzymającym się prosto chłopcem o rysach nie semickich, z małym zadartym nosem, o rudo-blond włosach i trochę piegowatej twarzy. Posiadał zadziwiający talent: nie znając żadnego języka obcego potrafił swobodnie wydobywać z siebie dźwięki, wśród których od czasu do czasu można było usłyszeć jakieś prawidłowo wypowiedane obce słowo, stwarzając sugestywne złudzenie, że niedbale, ale zarazem płynnie mówi po angielsku, amerykańsku czy francusku. Szczególnie dobrze wychodziło mu to z niemieckim. To ostatnie wypróbował z dobrym skutkiem w czasie dwukrotnego pobytu w Litzmannstadt i fakt ten dodawał mu sporo pewności.

Przechodząc do miasta stosował wypróbowaną przez siebie rutynę, polegającą na czyszczeniu swych wysokich butów w najbliższej klatce schodowej, zaraz po sforsowaniu płotu oddzielającego getto od miasta. Przypuszczam, że rytuał pucowania butów miał znaczenie psychologiczne - uspokajał go. Sam Nik twierdził co innego. Słusznie zwrócił uwagę, że Niemcy

oglądani na Bałuckim Rynku lub obserwowani na pomoście tramwaju jadącego Zgierską wyglądali bardzo czysto i starannie ubrani. Chcąc się do nich upodobnić należało mieć błyszczące buty. Pusta teczka, którą zabierał ze sobą na wyprawy do miasta zawierała zawsze tylko jeden przedmiot: szczotkę do butów.

Przygotowania do wyprawy trwały kilka tygodni. Najłatwiej poszło z odzieżą, którą trzeba było skompletować, gdyż Nik zamierzał odbyć podróż w charakterze funkcjonariusza *kripo*. Moja pomoc w tym zakresie ograniczała się do tego, że dałem mu koszulę, której prawie nigdy nie nosiłem ze względu na jej brzydki, musztardowy kolor oraz gładki, czarny krawat, który nieco przypominał z wyglądu krawat Hitlerjugend. Pozostałe rzeczy Nik już miał. Był to kapelusz z małym rondem typu tyrolskiego, wysokie buty, ale nie polskie t.zw. oficerki, lecz używane w artylerii, z lekką harmonią w okolicy kostek, szare bryczesy oraz płaszcz typu reglan z nie przyszytymi żółtymi gwiazdami. Ten ostatni detal był bardzo istotny, gdyż istniał zakaz przypinania żółtych łat agrafką, którą łatwo było odpiąć. Starannie przyszyte żółte gwiazdy, które mieliśmy na sobie, było nie tylko trudno zdjąć w ciągu chwili, ale co ważniejsze pozostawiały trwały ślad w postaci nasyconego koloru tkaniny dotąd zakrytej łatą. Z przywileju noszenia żółtych gwiazd przypiętych agrafką korzystali tylko agenci *kripo*, którzy obnosili je jako symbol statusu. Gwiazdy te odpinali, gdy zabierano ich do miasta, aby wskazali miejsce w którym znajdował się jakiś ukryty żydowski skarb.

Trochę trudności mieliśmy z zebraniem niemieckich pieniędzy. W tym czasie w obiegu znajdowały się już tylko t.zw. *chaimki*, czyli gettowe banknoty, zaś Reichsmarki i Rentenmarki były dawno wycofane przez bank w getcie i traktowane przez ludzi niemal jak zagraniczne dewizy. Pomijając fakt, że zarówno Nik jak i ja nie mieliśmy prawie żadnych własnych pieniędzy, zdołaliśmy z trudem kupić kilka marek niemieckich a resztę nie bez trudu — wymienić na bilon: dziesięć fenigówki, które też zaczynały znikać z obiegu. W sumie, Nik miał około 20 marek. Pozostała rzecz najtrudniejsza: sporządzenie fałszywej legitymacji służbowej *kripo*.

Legitymacji takiej nigdy nie widziałem w życiu, ale okoliczność ta nie stanowiła żadnej przeszkody, ponieważ zakładaliśmy, że gdyby doszło do kontroli dokumentów, Nik będzie okazywał ją tylko na odległość wyciągniętej ręki. Mając swobodę w projektowaniu wyglądu legitymacji ustaliłem, jak będzie wyglądała okładka oraz strona graficzna. Szukałem i udało mi się w końcu znaleźć przedwojenną oprawę miesięcznego biletu łódzkich tramwajów. Była to, wykonana z brązowej skóry oprawa książeczki wielkości karty do gry, wyposażona po wewnętrznej stronie w dwa okienka z przezroczystego celuloиду. Do lewego okienka wsunąłem kawałek szarego kartonu, który przekreśliłem po przekątnej paskiem czerwonego koloru. Tekst, napisany na pocztowej maszynie, zawierał wykropkowane rubryki, w które gotyckimi literami wpisałem germańsko brzmiące imię i nazwisko oraz inne dane personalne. Do prawego okienka wsunąłem podobny kartonik, na który przyklepiłem legitymacyjną fotografię Nika. Największą trudność sprawiała pieczętka. Robiłem szereg prób, usiłując wyciąć w różnych miękkich materiałach stempel, ale wszystko ze złym rezultatem. Ostatecznie zdecydowałem się narysować odcisk pieczętki przerywaną kreską, pozorującą wyschniętą poduszeczkę od stempli. Kształt stempla był standartowy, t.zn. okrągły, z orłem i swastyką, a wokół wewnętrznej krawędzi koła był napis wykonany drukowanym, gotyckim pismem. Oglądana z pewnej odległości, legitymacja wyglądała nawet nieźle. Z bliska była przerażająca.

W wyniku obserwacji ulicy Zgierskiej, a także sposobu wychodzenia pracowników *kripo* z getta oraz czasu zapalania latarni ulicznych, ustaliliśmy miejsce i czas, w którym Nik miał wyjść z getta. Wybraliśmy porę zmierzchu, tuż przed zapaleniem świateł miejskich, gdyż wtedy kontrola legitymacji byłaby najbardziej utrudniona. Miejscem wyjścia miała być brama na Starym Rynku, która od czasu zbudowania mostu nad Zgierską nie była używana dla przepuszczania Żydów na drugą stronę getta. Brama ta była strzeżona od strony getta przez żydowskiego policjanta, zaś od strony jezdni, którą jechały tramwaje z miasta i do miasta, przez policjanta niemieckiego. Z tego przejścia korzystali tylko kripowcy, którzy chcąc się dostać do miasta czekali obok niemieckiego wartownika aż pojawi się tramwaj, zatrzymywany przez nich podniesieniem ręki. Na Zgierskiej, biegnącej przez teren getta, nie było bowiem żadnego przystanku.

Pamiętnego dnia o zmierzchu - było to chyba w 1942 roku - stanąłem w upatrzonej, zamkniętej bramie na Zgierskiej naprzeciwko Starego Rynku, aby obserwować wyjście Nika. Po dość długim czekaniu usłyszałem stukot jego podkutych butów o chodnik a potem zobaczyłem samego Nika, który idąc normalnym krokiem wyłonił się z ulicy Kościelnej, gdzie mieściła się siedziba kripo i posuwał się wzdłuż nieparzystej strony Zgierskiej w stronę Starego Rynku. Na głowie miał kapelusz, kołnierz płaszcza na którym nie było żółtych łat był postawiony, ale ukazywał jeszcze rąbek żółtego kołnierzyka koszuli i czarnego krawata.

W ręce trzymał Nik prawie pustą teczkę. Zanim doszedł do bramy, został zauważony przez żydowskiego policjanta, który zawczasu otworzył przed nim wrota i wyprężył się na baczność. Również niemiecki policjant przerwał monotony spacer wzdłuż ogrodzenia i wolnym krokiem zbliżał się w stronę otwartej bramy. Po wyjściu na jezdnię Nik wyjął z wewnętrznej kieszeni palta legitymację i nie czekając aż Niemiec się zbliży, otworzył ją i pokazał z odległości kilku kroków. Wartownik skinął potakująco głową i wrócił do swego patrolowania.

Był to ważny moment, ponieważ zauważyliśmy, że kripowcy wychodząc z getta nie legitymowali się, co było zrozumiałe, gdyż wartownicy musieli znać ich z widzenia. Nik był dla nich nowy i dlatego postanowiliśmy nie naśladować ich rutyny. Teraz zaczęło się denerwujące wyczekiwanie na tramwaj, który na razie nie nadjeżdżał. Gdy w końcu pokazał się, Nik zatrzymał go podniesioną ręką i wszedł na przedni pomost. Po chwili tramwaj ruszył w stronę Placu Wolności uwożąc Nika, którego nigdy więcej nie zobaczyłem.

Wstrząśnięty tym, co widziałem, poszedłem z miejsca do rodziców Nika, aby opowiedzieć im co się stało. Bałem się tego spotkania, ale ku mojej uldze nie reagowali w sposób histeryczny. Byli kompletnie zaskoczeni i przerażeni tym co im powiedziałem, ale odniosłem wrażenie, że mieli za sobą szereg innych niespodzianek, które im w przeszłości zgotował Nik. Chyba dlatego reakcja ich była stosunkowo umiarkowana. Starłem się ich pocieszyć i przekonać, że to przedsięwzięcie nie jest całkiem beznadziejne, choć sam w to nie wierzyłem. Umówiliśmy się, że będziemy się nawzajem informować, gdybyśmy mieli jakąś wiadomość o Niku. Nie

potrafiłem im powiedzieć, jakie są najbliższe plany Nika, ponieważ niczego mi na ten temat nie mówił i sądziłem, że w gruncie rzeczy nie miał żadnego planu. Zaraz potem poszedłem do Margot i opowiedziałem o wszystkim. Reakcja jej nie była taka, jakiej zapewne spodziewał się Nik.

Upłynęło kilka dni, a może i tydzień, w czasie którym nie było żadnej wiadomości o Niku. Wreszcie dostałem list z Berlina z nadawcą *Zajęc* na odwrocie koperty. Oto co pisał w nim Nik: Bezpośrednio po wyjściu z getta zaszedł do pewnego Polaka, który był znajomym jego ojca. Przerazony człowiek dał mu jakąś sumę pieniędzy i był szczęśliwy, że pozbywa się kogoś kto zagraża jego życiu. Na dworcu Kaliskim Nik wykupił bilet do Berlina i - jak pisał - odbył szereg interesujących rozmów z towarzyszami podróży. Po przybyciu do Berlina, Nik odszukał lokal istniejącej jeszcze wtedy gminy żydowskiej i przedstawił się, kim jest naprawdę. Przerażeni Żydzi dali mu trochę pieniędzy nalegając, aby natychmiast uwolnił ich od swojej obecności. Nik spełnił to żądanie chętnie, ponieważ nie miał zamiaru pozostawać w Berlinie. W zakończeniu listu pisał, że wybiera się w stronę granicy szwajcarskiej.

Byłem tym listem niesłychanie podniecony i zaczynałem powoli wierzyć, że wbrew wszystkiemu, ta wyprawa nie zakończy się katastrofą. W dobrym nastroju pobiegłem do rodziców Nika, których starałem się podnieść na duchu. To co miałem im do powiedzenia było tym ważniejsze, że sami nie dostali od niego żadnej poczty. Natomiast Margot wiedziała już, że Nik dotarł do Berlina, ponieważ otrzymała piękną kolorową widokówkę, przedstawiającą jedną z głównych ulic Berlina, tonącą w powodzi świateł i reklam. Pocztówka była prawdopodobnie przedwojenna, ponieważ obecnie miasto było wygaszone z powodu zaciemnienia. Na odwrocie karty Nik po niemiecku zasyłał pozdrowienia. Odwaga Nika wzbudziła podziw rodziny Reichtmann, ale i tym razem nie wywołała takiego efektu u Margot, jakiego zapewne oczekiwał.

Dwa dni później dostałem zwykłą kartę pocztową ze stemplem Monachium. Ogarnął mnie niemal nastrój euforii, ponieważ wyglądało na to, że Nikowi się uda. Nik też zdawał się być przyjemnie podniecony, gdy pisał o niebywałych rozmowach, jakie prowadził w przedziale wa-

gonu z współpasażerami, którymi byli oficerowie SS. Jeżeli nie zmyślał i jeżeli mógł wyjść z życiem z takich konwersacji, to może naprawdę dotrze do tej Szwajcarii?

Potem jednak nastąpił długi okres, podczas którego brak było jakiegokolwiek wiadomości na temat Nika. Z początku wszystko wydawało się być w porządku, bo przecież list z zagranicy idzie długo. Z czasem jednak nastroje nasze podupadły, choć na razie nikt nie odważał się wyciągać ostatecznych wniosków z tego przedłużającego się braku wszelkiej informacji. Po wielu tygodniach pan Fiszer otrzymał wezwanie do gestapo na Bałuckim Rynku. Powiedziano mu tam, że syn jego zmarł na chorobę serca w obozie koncentracyjnym Mauthausen i że za kilka marek może otrzymać świadectwo zgonu.

Wiadomość była straszna, ale w gruncie rzeczy nikogo już nie zaskoczyła. Wtedy też, z opóźnieniem, ogarnął mnie wielki strach. Angażując się w sprawę wyprawy Nika nie uwzględniałem, że gdy Nika złapią - a byłem tego prawie pewien - poddany on będzie torturom, aby między innymi ustalić kto udzielał mu pomocy. Zapewne cudem uniknąłem jego losu, a wspomnienie i uświadomienie tego faktu nękało mnie przez cały czas aż do likwidacji getta.

Oczywiście całe to tragiczne zdarzenie nie miało nic wspólnego z przyjemnością, a odnotowuję je w tym miejscu dlatego, że było ono jednak zaprzeczeniem tej przygnębiającej pasywności, która wypełniała nasze codzienne życie, bez względu na to, czy działy się rzeczy straszne czy też wegetowaliśmy chwilami we względnym spokoju.

Od samego początku okupacji niemieckiej było wiadomo, że możliwość naszego przeżycia zależy od tego, czy Niemcy przegrają wojnę oraz kiedy to się stanie. Większość Żydów, a może wszyscy, włączając w to mego ojca nie miała nigdy wątpliwości, że Niemcy poniosą klęskę. Jeżeli o mnie chodzi, to przyznaję, że w okresie gdy Niemcy zbliżali się do Wołgi, stali pod Kairem, byli za kręgiem polarnym i na Kaukazie, zajęli z powietrza Kretę, zaś Japończycy podchodzili pod Australię - traciłem pewność w zwycięstwo sprzymierzonych.

Sam fakt, że nasze życie bezpośrednio zależało od losów wojny powodował wielki głód informacji. Tymczasem izolacja getta od świata zewnętrznego powodowała, że o informa-

cje o świecie było tu niesłychanie trudno. Po wojnie dowiedziałem się, że nigdzie ta sprawa nie wyglądała tak źle jak w łódzkim getcie. Na przykład ani razu nie widziałem podziemnej gazetki, a nawet nie wiedziałem, że gdzie indziej takie istnieją. Za prawdziwy rarytas uchodziła w getcie *Litzmannstadter Zeitung*, którą zaledwie kilka razy miałem w ręku w ciągu całego czasu trwania getta. Czasami można ją było przeczytać w pewnym zakładzie fryzjerskim za dwie marki. Gazetę podobno sprzedawał jakiś polski robotnik pracujący w elektrowni i zachodzący tu czasami, aby wykonywać reperacje sieci elektrycznej.

Mimo to mieliśmy bardzo nieregularny dostęp do wiadomości z radia angielskiego, które były przekazywane z ust do ust. Rzecz w tym jednak, że nigdy nie było wiadome czy są one naprawdę autentyczne, ani nawet czy w getcie istnieje choćby jeden odbiornik radiowy, za posiadanie którego groziła śmierć. Pewnego dnia rozeszła się wiadomość, że Niemcy nakryli i zabrali kilka osób za posiadanie radia. Fakt ten został potwierdzony po wojnie, ale wtedy nie było co do tego pewności.

W takiej to sytuacji zacząłem rozglądać się za możliwością sprawienia sobie własnego odbiornika radiowego. Trudności były ogromne. Przede wszystkim nie miałem pojęcia, jak buduje się aparat radiowy. Po drugie nie miałem żadnych części radiowych. Po trzecie wiedziałem, że ojciec nigdy nie zgodzi się, abym słuchał radia w domu, a nie miałem możliwości zorganizowania nasłuchu gdzie indziej. Po czwarte wiedziałem, że jeżeli zostanę na tym złapany, poniosę śmierć.

Najłatwiej uporałem się z ostatnim problemem. Postanowiłem, że wiadomości pochodzące z radia zachowam tylko dla siebie - czego oczywiście nie zrobiłem. W tym czasie przestałem pracować na poczcie i znalazłem zatrudnienie w dużym warsztacie elektrotechnicznym. Zajmowaliśmy się tam naprawą i przewijaniem spalonych silników elektrycznych oraz robotami instalacyjnymi w zakładach pracy. Prace te nie miały nic wspólnego z radiotechniką, ale miałem dostęp do narzędzi i niektórych materiałów. Okazało się też, że wśród monterów, z których większość była w moim wieku, znalazł się jeden, który znał się na rzeczy i był chętny

udzielić mi niezbędnych informacji. Zorientowałem się wtedy, że nie ma szansy na zbudowanie odbiornika lampowego, ponieważ nie starczy na to mojej wiedzy, a poza tym nie miałem możliwości zdobycia niezbędnych komponentów, między innymi lamp radiowych.

Dowiedziałem się jednak, że istnieje łatwy sposób łapania Londynu - a oto właśnie chodziło - za pomocą zmodyfikowanego aparatu kryształkowego. Schemat połączeń był bardzo prosty. Potrzebna była cewka, którą mogłem sam nawinąć i kondensator o zmiennej pojemności, który po energicznych poszukiwaniach udało mi się znaleźć. W dalszym ciągu brak było słuchawek, ale koleżanka pracująca w resorcie prądów słabych, gdzie reperowano telefony, dostarczyła mi archaiczną słuchawkę telefoniczną bez mikrofonu, którą udało jej się wynieść z warsztatu. Pozostał aparat kryształkowy i najważniejsze - sam kryształ, którego nigdzie nie mogłem dostać. O aparat nie martwiłem się, gdyż miałem w głowie projekt prostego uchwytu z blachy miedzianej i ruchomej szczoteczki, także z miedzianego drutu, dla wyławiania odpowiednich punktów kontaktowych kryształu. Wydawało się jednak, że wszystko rozbije się o brak kryształu, którego od lat już nie produkowano i nie było w sprzedaży. Przypomniałem sobie jednak, że w podręczniku gimnazjalnym z chemii, który jeszcze zachowałem, była mowa o tym, że kryształek radiowy jest w gruncie rzeczy siarczanem ołowiu i, że w książce podana była proporcja siarki i ołowiu, które trzeba stopić, aby uzyskać kryształ.

Opiłki z ołowiu wyprodukowałem ścierając pilnikiem ołowiany pancerzyk elektrycznego kabla. Kwiat siarczany zdołałem kupić w ostatniej istniejącej jeszcze w getcie drogerii. Nie miałem ogniotrwałej kolby albo probówki, w której mógłbym stopić oba składniki, ale zastąpiła ją pusta fiolka po 20 centymetrowym zastrzyku, jaki wstrzykiwano chorym na gruźlicę, dla zahamowania krwotoku.

Uzyskany przez podgrzanie nad świecą związek chemiczny sprawił mi wielki zawód, nie przypominał w niczym skrzącego się, metalicznego kryształka radiowego. Z wyglądu przypominał szary, porowaty pumeks. Kiedy przyjrzałem mu się z bliska, zobaczyłem jednak, że tu i ówdzie występują na jego powierzchni maleńkie błyszczące ziarenka. Gdy zamocowałem tę

kruszącą się grudkę materiału w blaszanej oprawie i zacząłem manewrować miedzianą szczoteczką, uzyskałem w pewnej chwili piękny odbiór! Był to oczywisty sukces, choć na razie miałem tylko zwykły detektor, którym łapałem lokalną stację. Oczywiście i to było dobre, ponieważ uzyskałem dostęp do regularnej informacji, nawet jeśli to była tylko hitlerowska propaganda.

Po to, aby mieć Londyn, należało użyć długiej zewnętrznej anteny i obracając gałką kondensatora liczyć na sporą dozę szczęścia. W najlepszym wypadku łapało się krótsze, lub dłuższe fragmenty polskiego dziennika radiowego, który nagle się zjawiał i nagle zanikał. Nie sposób opisać wzruszenia, gdy po raz pierwszy wysłuchałem fragment takiej audycji. Zanim to się jednak stało musiałem pokonać dwie trudności: zawiesić zewnętrzną antenę, której oczywiście nie mogłem eksponować na widok publiczny oraz znaleźć sposób na samo słuchanie, które przypadło na godziny nocne, a więc w czasie, gdy nie mogłem opuszczać mieszkania.

Z problemem anteny poradziłem sobie w ten sposób, że pod nieobecność rodziców - gdy byli w pracy - wykułem dziurkę w glinie oblepiającej blaszaną rurę kuchenną w miejscu, w którym wchodziła do ściany, za którą znajdował się przewód kominowy. Mieszkaliśmy wtedy na Zgierskiej 11 na czwartym piętrze i drut antenowy spuszczone aż do parteru był zarówno długi jak i wysoko zawieszony. Dziurę w glinie starannie zakleiliśmy i zamalowałem, pozostawiając na zewnątrz maleńki, prawie niewidoczny kikut drutu antenowego, do którego w czasie odbioru podłączałem radio. Nauczyłem się łączyć i odłączać radio, a także manewrować gałką kondensatora z zamkniętymi oczami. A nocy, gdy rodzice spali, wstawałem po cichu i za przepierzeniem kuchennym, bez zapalania światła uruchamiałem odbiornik.

Nikommu o radiu nie opowiadałem, choć czasami nie mogłem oprzeć się pokusie, aby nie przekazać jakiejś zasłyszanej rzeczy. Miałem dużą satysfakcję z tego, co udało mi się zrobić. Równocześnie gnębiła mnie myśl, że łamię dyscyplinę organizacyjną. Należałem bowiem do organizacji, w której obowiązywał zakaz słuchania, a tym bardziej posiadania odbiornika radiowego.

Olśnienie komunizmem

Ta ostatnia informacja musi wydawać się dziwna, jeśli zważyć, że chodzi o organizację, która między innymi stawiała sobie za cel zwalczanie hitleryzmu. Zakaz nieautoryzowanego słuchania radia wynikał z osobliwego klimatu ideologicznego, panującego w tym niby podziemnym, antyfaszystowskim związku zawodowym.

Przyjęcie do tej organizacji, do której się nie wstępowało, ale która sama sobie dobierała członków, było dla mnie przełomowym wydarzeniem w tym sensie, że konsekwencje tego faktu zaciążyły decydująco na moim życiu w ciągu następnych kilkudziesięciu lat.

Fakt ten można w największym skrócie wytłumaczyć jako skutek zafascynowania teorią marksistowską. Doktryna ta nie wyparła żadnej innej, której dotychczas hołdowałem, lecz wessana została w próżnię światopoglądową, przez co siła jej oddziaływania była szczególnie duża. Prawdą jest, że moje dotychczasowe zainteresowanie problematyką społeczną i polityczną było bardzo małe, ale jakieś poglądy na te sprawy wyniosłem z domu i ze szkoły. Oczywiście nie były one nigdy usystematyzowane i w większości składały się z różnych stereotypów będących w obiegu na terenie szkoły czy też akcentowanych w domu.

Z grubsza dotyczyły one religii oraz stosunku do polskości i sprawy żydowskiej. Problematyka społeczna właściwie nie występowała w kręgu moich ówczesnych zainteresowań. Przez cały okres szkolny nie kwestionowałem nigdy istnienia Boga, ale nie wynikało to z głębokiej wiary, lecz obojętności wobec spraw religijnych. Wpływ domu oraz szkoły w tym zakresie wyrażał się tylko w przestrzeganiu przede mną tabu wobec niekoszerniej kuchni oraz uczestnictwa w najważniejszych świątach żydowskich. Niektóre z tych świąt lubiłem jak na przykład pesach czy chanuka, które kojarzyły mi się z różnymi przysmakami oraz podarunkami. Innych jak na przykład Jom Kipur nie lubiłem z powodu obowiązku 24 godzinnego postu, z którego w zasadzie byłem zwalniany przez ojca, ale dopiero potem, kiedy wygłodziłem się przez kilka pierwszych godzin.

Myśl o potrzebie obchodzenia świąt nie była mi jednak obca, ponieważ część świąt żydowskich nawiązuje do określonych wydarzeń historycznych, których prawdziwości nikt u nas nie kwestionował. Ta tradycja historyczna wiąże się często z problemem identyfikacji narodowej i przez swój na poły świecki charakter dawała przeżycia podobne do tych, jakich doświadczamy uczestnicząc w uroczystości poświęconej zdarzeniu, do którego przywiązujemy dużą wagę. Nie znośłem jednak chodzenia z ojcem do synagogi do czego bywałem zmuszany w czasie wielkich świąt. Nabożeństwa trwały bardzo długo, podczas gdy ja cierpiałem męki z powodu nudy i niewygodnego siedzenia. Przy tym wszystkim znałem mores. Wierzyłem na przykład, że w Jom Kipur zapisywane jest w księdze życia i śmierci, komu przyjdzie tego roku umrzeć, a kto będzie żył. Z drugiej strony ze sceptycyzmem obserwowałem w wieczór sederowy, czy z kielicha w którym nalane było wino dla proroka Eliasza ubędzie choćby jedna kropla, gdy ojciec otwierał drzwi, aby oczekiwany gość mógł wejść do pokoju.

Bardziej złożony był mój stosunek do polskości i sprawy żydowskiej, choćby dlatego, że oddziaływanie szkoły i domu w tej sprawie nie było takie same. Ani ojciec ani matka nie interesowali się sprawami kraju, w którym żyli. Oczywiście mieli swoje w tej dziedzinie preferencje, które i ja przejąłem. Piłsudski był dobry dla Żydów, bo ich nie prześladował. Endecy i oenrowcy stanowili śmiertelne zagrożenie. Pogromy w Przytyku i Odrzywole wzbudzały grozę. Na wyższych uczelniach wprowadzono *numerus clausus*, a korporanci terrorem wymuszali getto ławkowe. Po śmierci Piłsudskiego sanacja zbliżyła się do antysemitycznej prawicy, czego wyrazem było pamiętne oświadczenie premiera Sławoj-Składkowskiego z trybuny sejmowej: *pogromy Żydów - nie, bojkot ekonomiczny – owszem*.

Brak zainteresowania sprawami Polski wynikał nie tylko z tego, co się działo na arenie publicznej, ale także z powodu braku jakichkolwiek kontaktów towarzyskich z Polakami. Nie przesadzę mówiąc, że nie mieliśmy ani jednego znajomego Polaka, jeśli nie liczyć znajomości powstałych w związku ze stosunkiem pracy. Językiem używanym w domu był polski i żydowski. Ja mówiłem po polsku, ale rozumiałem również po żydowsku. Matka rozmawiała ze mną po polsku, zaś z ojcem po żydowsku. Ojciec mówił do mnie po polsku, nawet jeśli nie wychodziło

mu to szczególnie dobrze. Matka prenumerowała *Głos Poranny* czytany przez liberalne żydowskie mieszczaństwo, a ojciec kupował tygodnik *Jidisze Bilder*, poświęcony wyłącznie problematyce żydowskiej.

Szkoła, do której chodziłem, była prywatnym żydowskim gimnazjum z pełnymi uprawnieniami szkoły państwowej dającej normalną maturę. Oznaczało to, że realizowany tu program był taki sam jak we wszystkich polskich gimnazjach. Oprócz tego mieliśmy szereg dodatkowych przedmiotów z językiem wykładowym hebrajskim, które dawały podstawę do ubiegania się o maturę hebrajską. Jedyną korzyścią z posiadania tej matury była możliwość ubiegania się o przyjęcie na studia na uniwersytecie jerozolimskim oraz na politechnice w Haifie. Takie przedmioty jak np. matematyka, fizyka, chemia, biologia były wykładane po polsku i wspólne dla obu matur. Natomiast literatura hebrajska, biblia, religia, historia Żydów i geografia Palestyny były wykładane po hebrajsku.

Jeżeli chodzi o ukierunkowanie procesu wychowawczego, to szkoła realizowała równoległe dwa cele. Wychowywała syjonistów, świadomych swej żydowskiej tradycji i nastawionych na emigrację do Palestyny. Zgodnie z założeniami państwowego programu szkolnego starała się wychowywać uczniów w duchu patriotyzmu polskiego. Teoretycznie, programy te powinny były wykluczać się nawzajem, dla mnie jednak nie dawały tego efektu.

Indoktrynacja syjonistyczna, której poddawany byłem w szkole nie napotykała we mnie żadnego oporu, ale to samo da się także powiedzieć o zaszczepianiu poczucia polskości, choć w związku z tym zachodziły pewne komplikacje.

Dwa przedmioty szkolne: polski i historia Polski sprawiały, że identyfikowałem się z Polską i polskością. Była to identyfikacja autentyczna, a więc spontaniczna i emocjonalna. Historię Polski przeżywałem jako swoją własną, nawet w tych jej aspektach, które wiązały się ściśle z działalnością i rolą kościoła katolickiego, który na co dzień kojarzył mi się zawsze z antysemityzmem. W perspektywie podręcznika historii Polacy i polscy Żydzi mieli te same interesy i tych samych wrogów. Przykładem była choćby moja reakcja na lekturę *Ogniem i mieczem*, któ-

ra prawdopodobnie nie różniła się od analogicznej reakcji jakiegokolwiek polskiego chłopca. Uwielbianym bohaterem był tu książę Jeremi Wiśniowiecki, a znieawidzonym wrogiem Bohdan Chmielnicki i jego kozacy, okrutnie mordujący Żydów i polską szlachtę.

Jeżeli nauka historii Polski dostarczała faktów, to czytanki z polskiego i lektury obowiązkowe podbudowywały to poczucie polskości w sposób emocjonalny. Zarówno polski jak i historia Polski należały do moich ulubionych przedmiotów szkolnych.

Był jeszcze jeden faworyzowany przez większość uczniów przedmiot szkolny: przysposobienie wojskowe. Popularność zajęć wojskowych wynikała z faktu, że kierownik tego studium, jedyny w szkole nauczyciel Polak, porucznik Orest Czaban był bardzo sympatycznym człowiekiem. Zajęcia wojskowe, które na ogół nie są lubiane, były w naszej szkole czynnikiem umacniającym poczucie polsko-żydowskiej wspólnoty losów, szczególnie na tle tego, co się działo po drugiej stronie polskiej granicy zachodniej.

Wraz z wszystkimi Polakami dzieliłem radość z powodu sukcesów Kusocińskiego i Weisówny na olimpiadzie, choć na co dzień nie interesowałem się sportem. Rozpierała mnie duma z wyczynu kpt. Hynka i por. Burzyńskiego w zawodach balonowych im Gordon-Benetta jak również atlantycki przelot Żwirki i Wigury na samolocie polskiej konstrukcji RWD. Byłem dumny ze zbudowania Gdyni, COP-u o raz pięknych trans- atlantyków *Batorego* i *Chrobrego*. Gdy umarł Piłsudski, płakałem jak wielu innych i wraz z całą klasą wtoczyłem swoją taczkę piasku na szczyt kopca krakowskiego. Później, w moim zadbanym albumie znaczków pocztowych przeznaczyłem dwie rozkładowe strony dla uczczenia pamięci Marszałka. Zebrałem tam wszystkie serie znaczków poświęcone Piłsudskiemu, a na środku narysowałem płonący znicz, otoczony wieńcem laurowym.

Żaden z przedmiotów wykładanych w języku hebrajskim nie był tak lubiany jak polski i historia Polski. Przyczyna tego stanu rzeczy była prosta: trudności językowe, które zabijały wszelką przyjemność obcowania z hebrajskim tekstem. Oczywiście byłem dumny z każdego osiągnięcia gospodarczego, kulturalnego czy wojskowego Żydów w Palestynie. Szczerze chcia-

łem tam emigrować, ale wiedziałem równocześnie, że szanse urzeczywistnienia tego marzenia są małe

Pod naciskiem świata arabskiego władze brytyjskie zmniejszały z każdym rokiem i tak niewielką ilość certyfikatów na imigrację do Palestyny. Poza tym, warunki materialne w tym kraju były tak ciężkie, że niewielu mogło tam wytrwać. Faktem jest, że tylko mała garstka absolwentów naszej szkoły osiedliła się w Palestynie.

Mimo sentymentalnego stosunku do Palestyny nie zdarzyło mi się popaść w konflikt lojalności między przywiązaniem do Polski, a wiernością dla moich marzeń syjonistycznych. Zapowiedź nadciągającej wojny zdawała się raczej potwierdzać zgodność interesów Polski z interesami tych narodów, które w niedalekiej przyszłości miały paść ofiarą agresji hitlerowskiej, w tej liczbie również Żydów.

Żyłem więc w świecie Polski z podręczników szkolnych, Polski, która była moją ojczyzną i w Polsce dnia powszedniego, która często kojarzyła się z antysemityzmem. Podświadomie wybierałem wizję podręcznikową, traktując antysemityzm jako bolesną anomalię, odchylenie od normy. Prawdopodobnie było to coś w rodzaju odruchu obronnego, pobożnego życzenia, ale jeśli tak, to nie byłem w tym osamotniony.

W odróżnieniu od spraw narodowościowych moje zainteresowanie problematyką społeczną było prawie żadne. Od najwcześniejszego dzieciństwa żywiłem wprawdzie silne współczucie dla ludzi biednych i upośledzonych, ale traktowałem istnienie nędzy i nierówności między ludźmi jako fragment niezmiennej rzeczywistości, którą po prostu zastałem. Nie było we mnie natomiast żadnej ciekawości co do przyczyn nędzy. Mimo tego braku zainteresowania byłem jednak od czasu do czasu konfrontowany przez różnego rodzaju konfliktowe sytuacje, które napawały mnie niepokojem, a czasami i lękiem.

Miałem na przykład zakaz wychodzenia na ulicę w dniu pierwszego maja. Tłumaczono mi, że może dojść do starć policji z demonstrującymi komunistami, o których nic nie wiedziałem, ale do których żywiłem awersję. Podobnie zresztą nie wolno mi było wychodzić do

miasta w dniu trzeciego maja, gdy ulicami przechodziły pochody endecki i oenerowski. Nigdy nie widziałem komunistów w akcji, ale kiedyś natknąłem się na oenerowców co wzbudziło mój strach.

Jedynym komunistą, którego znałem był syn Szymona Fajna, bliskiego znajomego ojca, który handlował miękkimi skórami. Ojciec opowiadał w domu o młodym Fajnie, że jest komunistą i doprowadza do zguby swoich rodziców. Według ojca, młody Fajn po zrobieniu matury odmówił zajęcia się czymś pożytecznym, lenił się i spędzał czas na komunistycznej robocie. Każdego roku, tuż przed pierwszym maja policja zabierała go do aresztu prewencyjnego, dając jego ojcu złowrogą satysfakcję. Zdarzyło się, że byłem kiedyś u Fajnow i stałem się mimowolnym świadkiem bardzo przykrej sceny. Młody Fajn leżał na kozetce z grubym brulionem notatek w rękach, a nad nim pochylał się jego ojciec, który obrzucał go wyzwiskami i życzył mu wszystkiego najgorszego. Syn, uśmiechając się, starał się przelicytować ojca w obelgach, a także w wymyślnych życzeniach.

Kiedy byłem w trzeciej klasie gimnazjalnej, zorientowałem się, że kilku moich kolegów było związanych jakąś działalnością poza szkolną. Należy dodać, że w naszej szkole obowiązywał zakaz należenia do jakiegokolwiek organizacji młodzieżowej, zarówno syjonistycznej jak i polskiej. Dlatego u nas nie było nawet harcerstwa. Byłem zdziwiony, gdy dowiedziałem się, że chłopcy ci dobrowolnie uczestniczą w jakimś kółku samokształceniowym, które dyskutuje t.zw. poważne książki, nie objęte listą lektur obowiązkowych. Kiedy raz zobaczyłem taką książkę, a była to praca Krapotkina o rewolucji francuskiej, pomyślałem sobie, że chodzi tu pewnie o jakąś nielegalną działalność, kto wie czy nie komunistyczną. Zdziwiło mnie to, ponieważ chłopcy ci stanowili coś w rodzaju elity umysłowej w klasie i prawie wszyscy byli dobrymi uczniami. Mimo, że nadawali ton w klasie, nie zmieniło to mego negatywnego nastawienia do komunizmu.

Wszystko zaczęło się od przypadku. Pewnego razu w getcie wpadła mi w ręce książka *Zmierzch żydostwa*, napisana przez Otto Hellera. Była to pierwsza marksistowska publikacja, jaką w ogóle czytałem, a przy tym poświęcona ważnej dla mnie sprawie: historii Żydów.

Zawierała ona marksistowską analizę całej historii Żydów do czasów najnowszych. Ta niezwykle krytyczna analiza zburzyła doszczętnie cały mój dotychczasowy pogląd na sprawę Żydów i perspektywę ich wyzwolenia. To co wyniosłem w tym zakresie ze szkoły i z domu przestało się liczyć. Ale książka ta zafascynowała mnie także i z innego powodu. Domyślałem się, że jeśli zastosować metodę, którą posłużył się Heller, do jakichkolwiek innych zagadnień historycznych i społecznych, to ukaże się obraz zupełnie inny od tego, jaki dotąd uważałem za oczywisty.

Zacząłem energicznie dowiadywać się o książki pisane przez marksistów, ale niczego nie znajdowałem. W poszukiwaniu tej literatury natknąłem się w końcu na kilku ludzi, którzy mieli do niej dostęp i którzy zainteresowali się mną. Szybko zorientowałem się, że należą do jakiejś organizacji, choć z początku nie czynili na ten temat żadnych aluzji. Wkrótce nawiązał się szczególnie stosunek między jednym z nich a mną. Chłopiec ten, nazwiskiem Rysiek Podlaski, pożyczał mi wybrane przez siebie książki i broszury, a następnie spotykał się ze mną i przeprowadzał długie na ten temat rozmowy. Z czasem rozmowy te zaczęły wychodzić poza ramy lektur i obejmowały różnorakie zagadnienia polityczne, społeczne, rodzinne, a nawet obyczajowe. Teraz nie miałem już żadnej wątpliwości, że Rysiek jest członkiem organizacji komunistycznej, choć na razie niczego mi na ten temat nie mówił, a ja wskutek milczącego porozumienia nie zadawałem na ten temat żadnych pytań. Oczywiście zniknął mój niechętny stosunek do komunizmu, który zastąpił narastający podziw dla tej ideologii.

Wszystko było teraz nowe; nowi byli ludzie, których poznawałem, jak i łączące ich stosunki, które chętnie akceptowałem. Stanowili zwartą grupę, znającą się jeszcze z czasów szkolnych. Wszyscy byli młodsi ode mnie o 2 - 3 lata, okoliczność, która jeszcze niedawno przekreślałaby z mojej strony możliwość utrzymywania stosunków koleżeńskich, a tym bardziej partnerstwa, opartego na stosunku *mistrz-uczeń*, w którym mnie przypadła rola ucznia. Teraz nie miało to żadnego znaczenia.

Dwaj chłopcy - jednym z nich był Rysiek - mieli ojców pełniących szefowskie funkcje w żydowskiej administracji getta. Jak na panujące tu warunki, żyli nieźle i nie znali głodu. Fakty

te były znane w obrębie grupy, nie budziły jednak żadnego zdziwienia i były akceptowane. Z początku byłem tym zdziwiony, bo wydawało mi się, że łamie się w ten sposób zasadę równości czy solidarności, ale w miarę tego jak czyniłem postępy w przyswajaniu sobie zasad marksizmu, zrozumiałem, że każde inne podejście do sprawy kolidowałoby z postulatem walki przeciwko *urawniłowce* uważanej za szkodliwy, sentymentalny wymysł drobnomieszczański, hamujący rozwój socjalistycznej inicjatywy.

Respekt, jaki wzbudzali ci chłopcy, wynikał przede wszystkim z ich imponującego - w porównaniu z moim - odczytania, znajomości teorii marksistowskiej oraz niewątpliwie dużej inteligencji. Jedynym znanym mi i zachowanym dokumentem potwierdzającym tę ocenę jest wydany drukiem dziennik Dawida Sierakowiaka, który wprawdzie nie był członkiem grupy o której tu mowa, ale wywodził się z tego samego środowiska.

Spośród lektur, które dostarczał mi Rysiek, tylko dwie były oryginalnymi pracami klasyków: *Manifest komunistyczny* oraz Engelsa *Rozwój socjalizmu od utopii do nauki*. Te nie-duże broszury wyparły idee, które dotychczas miałem w głowie i dały mi nowy, zwarty światopogląd, który zdawał się doskonale zaspakajać moje potrzeby. Stało się to nie od razu, ale dopiero po tym, gdy teksty te zostały mi gruntownie wyjaśnione i skomentowane. Czytałem także wiele innych książek, które miały mi dać marksistowskie naświetlenie poszczególnych problemów, np. kwestii kobiecej w *Kobiecie i socjalizmie* Augusta Bebla, problemu chłopskiego w *Bruskach* Panfierowa, czy drobnomieszczańsko-inteligenckiego w *Szwambranii* Lwa Kassila.

Moja marksistowska edukacja czy też indoktrynacja nie ograniczała się tylko do zagadnień ściśle politycznych. Nie było chyba żadnej dziedziny życia, co do której nie istniała potrzeba zaznaczenia odrębnego, marksistowskiego punktu widzenia. Zagadnienie sztuki naświetlały na przykład numery *Miesięcznika literackiego*, wydawanego przed wojną przez Aleksandra Watta, kiedy indziej znowu dowiedziałem się, że *teoria szklanki wody* Aleksandry Kołłątaj wypacza prawidłowe ujmowanie kwestii stosunku miłosnego między kobietą a mężczyzną i t.d. i t.d.

Wszystkie wydawnictwa, które otrzymywałem nosiły ślady dużego zużycia, co świadczyło o tym, że wiele osób z nich korzystało. Książki, broszury, czasopisma były jednak starannie naprawiane: zerwane kartki zawsze podklejone, rozsypane broszury zeszyte ręcznie, brakujące strony uzupełnione pismem, a zdarzało się nawet, że poszczególne tytuły były w całości kopiowane ręcznie.

Czytałem tak dużo i tak intensywnie, jak nigdy przedtem. Przy tej okazji nie uszło mojej uwadze, że wszystkie te materiały były legalnie publikowane w Polsce, o której teraz już wiedziałem, że była państwem dyktatury faszystowskiej, tłumiącej prawdziwą wolność. Najprostszą rzeczą byłoby zwrócić się w tej sprawie do Ryśka, ale wzdragałem się, bojąc, że uznają mnie za niedojrzałego. I słusznie, bo w miarę jak przyswajałem sobie marksizm, znajdowałem bez trudu odpowiedzi na tego rodzaju wątpliwości. W danym wypadku chodziło o ustrój kapitalistyczny, który dla wprowadzenia w błąd klasy robotniczej stwarzał pozory demokracji, zezwalając na druk części literatury rewolucyjnej i radzieckiej, przy czym oczywistym zadaniem komunistów było wykorzystanie luk w cenzurze dla publikowania tekstów, które przyczyniają się do obalenia obłudnego systemu władzy.

Wreszcie poznałem zasady materializmu dialektycznego, co mnie niesłychanie uskrzydlało. Teraz rozumiałem już wszystko i zdobyłem uniwersalny instrument przy pomocy którego mogłem samodzielnie znajdować słuszne odpowiedzi we wszelkich sprawach. Religia została zredukowana do problemu *opium dla ludu*. Niespójny i dlatego niepokojący obraz Polski, tej bliskiej mojemu sercu - z podręczników szkolnych i antypatycznej - oenerowsko-klerykalny, przeobraził się w jednolitą wizję państwa, w którym antysemityzm i inna ciemnota - produkty burżuazyjnego systemu - znikną wskutek dobroczynnego oddziaływania socjalistycznej oświaty. Tym samym zdobyłem nowe, racjonalne powody, aby chcieć być Polakiem.

Bolesne wspomnienia z września 1939 roku przestały się liczyć, gdyż antysemitami z którymi się wtedy zetknąłem nie wiedzieli co czynią, będąc ofiarami kapitalistycznej manipulacji.

Nie mogło co do tego być żadnej wątpliwości, bo przecież materialne warunki bytu określają świadomość i zachowanie człowieka, a ja zamierzałem wraz z innymi zmienić te warunki.

Podobnie przestał się liczyć problem żydowski, który zgodnie z ogólnymi prawidłowościami rozwoju historycznego miał być zniesiony od niechcenia, przy okazji obalenia kapitalizmu. W świetle tego syjonizm był reakcyjną utopią, którą należało zwalczać jak każdy inny burżuazyjny nacjonalizm.

Ale marksizm nie tylko pozwalał wytyczać prawidłowy kurs polityczny, lecz także zajmował się problematyką egzystencjalną, której istnienia albo nie podejrzewałem, albo jeśli ją dostrzegałem, to nie przywiązywałem dużej wagi. Ponadto rozwiązania oferowane przez marksizm były zawsze pozytywne, konstruktywne. Nie było tu miejsca na pesymizm. Dotyczyło to także katastrof żywiołowych, które socjalistyczna gospodarka planowa i jej technika miały skutecznie neutralizować. Nawet w tak beznadziejnej wydawałoby się sprawie jak nieuchronność śmierci człowieka, marksizm miał coś miłego do powiedzenia. Oczywiście ludzie po najdłuższym nawet życiu w końcu umierają i nie ma życia pozagrobowego. Nie musi to jednak w całości dotyczyć rewolucjonisty, który może unieśmiertelnić się poprzez dzieło swego życia. Mając mniej niż dwadzieścia lat, nie miałem trudności z przyjęciem tej pociechy, ponieważ śmierć zdawała się być tak odległą, że aż prawie nierealna - odczucie właściwe chyba większości młodych ludzi.

W moim przypadku zachodziła jednak pewna komplikacja. Począwszy od 1942 roku miałem świadomość, że grozi mi śmierć z ręki Niemców zanim zdążę się zestarzeć. Wystarczyło, że jestem Żydem, a później, gdy zostałem przyjęty do organizacji, dodatkowym powodem mógł być fakt, że jestem komunistą. Świadomość tego napełniała mnie lękiem, ale na co dzień nie myślałem o tym i zachowywałem się tak, jak gdyby groźba ta nie istniała. To co mnie jednak stale niepokoiło, to obawa, że w przypadku ujęcia nie wytrzymam tortur i zdradzę towarzyszy.

Aby zapewnić sobie jaki taki spokój wewnętrzny, postanowiłem, że gdyby tak się stało, to zażyję truciznę. Ale trucizny nie miałem skąd wziąć, gdyż nie znałem żadnego chemi-

ka, a wstydziłem się rozpytywać o to ludzi. Ostatecznie kupiłem sto specjalnych bibuł, nasyconych trucizną na muchy, które zwilżone i wyłożone na talerzyku zabijały siadające na tym muchy. Sporządziłem nalewkę z tych bibuł, a uzyskany płyn odparowałem, aby uzyskać możliwie duże stężenie trucizny, którą przechowywałem w małej flaszeczce. Oczywiście nie miałem pojęcia, czy ta dawka talu będzie wystarczająca i czy w ogóle zadziała, ale nie rozstając się z tą buteleczką uzyskałem coś w rodzaju poczucia pewności. W tym kontekście, obietnica uzyskania nieśmiertelności poprzez zwycięstwo rewolucji, w której i ja będę miał swój udział, przyczyniła się do poprawy mego samopoczucia. Inna rzecz, że gdy zbliżył się czas wielkiej próby, t.j. gdy szykowaliśmy się do transportu oświęcimskiego, zapomniałem o flaszeczce, która została w opuszczonym mieszkaniu.

Zaszczepianym ideałem, godnym naśladowania był Związek Radziecki, który urzeczywistnił już to wszystko co zamierzaliśmy dopiero osiągnąć. Prestiż Związku Radzieckiego i jego kierowniczej elity ze Stalinem na czele był absolutny. W naszych oczach nie istniał żaden konflikt interesów między Polską a ZSRR, w związku z czym nie przeżywaliśmy żadnego konfliktu lojalności. Stosunek zajmowany wobec Związku Radzieckiego stanowił najwyższe kryterium, według którego ocenialiśmy każdy ruch polityczny i każdego człowieka. W atmosferze kultu wobec wszystkiego co radzieckie wytworzył się też emocjonalny stosunek wobec tego obcego w gruncie rzeczy państwa, w którym nikt z nas nigdy nie był, a które miało być ojczyzną światowej rewolucji, i światowego proletariatu. Z zapalem zbierałem każdy dostępny okruszek informacji na temat ZSRR, nauczyłem się radzieckich piosenek z rosyjskimi słowami i postarałem się o ich polskie tłumaczenie. Opanowałem alfabet rosyjski i przyswajałem sobie całe zwroty rosyjskie. Nie miałem słownika ani gramatyki, ale pociągała mnie myśl, aby przeczytać rosyjską książkę. W końcu zdobyłem powieść *W pogoni za słońcem*, napisaną przez laureata nagrody stalinowskiej, Pawlenko. Delektowałem się treścią tej książki, która opiewała zalety ustroju radzieckiego i co do swej treści przypominała Ostrowskiego *Kak zakaljałas' stal*. Czytanie szło bardzo opornie i wolno, tak, że do końca getta nie zdążyłem już przeczytać żadnej innej

rosyjskiej książki. Faktem jest jednak, że zaznałem satysfakcji czytania po rosyjsku i że ta odrobina rosyjskiego, jaką władam, pochodzi z tamtego czasu.

Jednym z podstawowych dogmatów mojej nowo nabytej ideologii-wiary było twierdzenie o powszechnym występowaniu walki klasowej, jako siły napędowej rozwoju społecznego. Teza ta miała tłumaczyć minione dzieje i aktualną sytuację polityczną, ale doraźnie bywała niekiedy powodem dramatów rodzinnych oraz przyczyną osobliwego stanowiska, jakie nasza organizacja zajmowała wobec żydowskiej administracji getta. Problem dotyczył trwającej po dzień dzisiejszy kontrowersji wokół pytania czy t.zw. *judenraty* były organami kolaboracji niemieckiej.

Ponieważ w getcie nie mogło być rzeczywistej walki klasowej w marksistowskim rozumieniu, gdyż u podstaw konfliktu leży posiadanie lub brak środków produkcji, przenosiliśmy tę walkę na teren rodziny, jeśli ojciec zajmował nadrzędne stanowisko w ramach produkcji fabrycznej - a tak było właśnie w moim przypadku - albo zawiadywał jakimś działem administracji gettovej. To samo odnosiło się do ojców wchodzących w skład elity rządzącej gettem, a w szczególności do policji żydowskiej, którą traktowano jako lojalne narzędzie faszystowskiej opresji.

Gdy tylko zostałem uświadomiony - a przyjąłem to bez oporów wewnętrznych - zająłem bardzo negatywne, aktywne stanowisko wobec mego ojca. Wkrótce awantury domowe stały się u nas rzeczą powszednią i sytuacja przypominała to, co tak niedawno jeszcze budziło moje przerażenie, gdy obserwowałem stosunek między ojcem a synem u Fajnow. Któregoś dnia sprowokowany przeze mnie ojciec usiłował mnie uderzyć, ale stanęła między nami matka. Od tego czasu przestaliśmy z ojcem rozmawiać ze sobą, a niezbędne sprawy załatwialiśmy za pośrednictwem matki, która z tego powodu bardzo cierpiała, ale nie była w stanie niczego zmienić. To zatruwające naszą egzystencję milczenie przerwałem dopiero w wagonie towarowym wiozącym nas do Oświęcimia, kiedy uświadomiłem sobie całą absurdalność sytuacji, choć niekoniecznie krzywdę, którą wyrządziłem ojcu.

Rumkowski i jego najbliżsi współpracownicy byli oceniani przez organizację w sposób podobny co hitlerowcy, mimo, że nie łączyło ich partnerstwo, ale stosunek absolutnej podległości. Sabotowanie produkcji, kierowanej przez ludzi Rumkowskiego było naszym świętym obowiązkiem, choć podcinaliśmy przez to gałąź, na której wszyscy siedzieliśmy. Byliśmy przy tym świadomi tego, że tylko produkcja usprawiedliwia w oczach Niemców - i tylko niektórych - nasze tymczasowe prawo do istnienia.

Mimo, że organizacja wyraźnie zwalczała żydowskie władze getta, stosunek ich do organizacji był dość dwuznaczny. Oficjalnie, organizacja jako nielegalna, działała w konspiracji i właściwie niby nie istniała. Z drugiej strony, istnienie jej było czymś w rodzaju publicznej tajemnicy. Trudno było nie wiedzieć o jej istnieniu skoro organizowała strajki głodówkowe w warsztatach pracy, a ponadto prowadziła często rzucającą się w oczy akcję propagandową. Zdarzało się, że poszczególni członkowie organizacji byli karani za organizowanie akcji protestacyjnych przez kierownictwo fabryki, albo samego Rumkowskiego. Nigdy jednak nie usiłowano organizacji zniszczyć, choć żydowskie władze getta mogły to były uczynić z łatwością.

W momentach krytycznych, gdy getto stało przed kolejną akcją deportacyjną, a Rumkowski jeszcze mógł ochronić pewną ilość ludzi, toczyły się jakieś rozmowy między przedstawicielami różnych organizacji społeczno-politycznych a Rumkowskim w sprawie glejtu dla poszczególnych zasłużonych działaczy. Podobno rozmowy takie prowadzono także z kierownictwem organizacji komunistycznej, choć nie wiem z jakim rezultatem.

Przyczynę tej osobliwej tolerancji żydowskich władz getta wobec organizacji tłumaczyłem sobie wtedy obawą przed karą czy odwetem, gdy Łódź zostanie wyzwolona przez armię radziecką. Dziś skłonny jestem raczej upatrywać powody tej wstrzeźliwości w lęku przed sprowokowaniem masakry w getcie, gdyby sprawa ujrzała światło dzienne. W dalszym ciągu jednak nie rozumiem, dlaczego Niemcy sami nie rozprawili się z nami, zważywszy, że mieli sporą ilość informatorów żydowskich w getcie, którzy nie mogli nie wiedzieć o naszym istnieniu. Jedną z możliwych przyczyn, dla której pozostawiono nas w spokoju, mogłaby być chęć tuszo-

wania tej sprawy przez *Gettoverwaltung* i Hansa Biebowa, toczącego nierówną walkę z SS i gestapo o utrzymanie getta, które stanowiło dla niego oraz jego najbliższych prawdziwą kopalnię złota i zabezpieczało przed mobilizacją do wojska. Za takim tłumaczeniem przemawiałyby liczne opublikowane po wojnie dokumenty niemieckie, które tę walkę ilustrują.

Któregoś dnia zostałem nareszcie przyjęty do organizacji. Odkondurowało się to bez żadnego ceremoniału, podczas ostatniego spotkania z Ryśkiem, który zawiadomił mnie o fakcie. Przy tej okazji dał mi też po raz pierwszy garść informacji o samej organizacji. Dowiedziałem się więc, że nie jest ona partią komunistyczną, ale *komisją porozumiewawczą związków zawodowych*. Organizacja jednoczy różne branże produkcyjne i składa się z pięcioosobowych komórek, które co pewien czas są obsługiwane przez towarzysza z wyższego szczebla. Ponieważ byłem pierwszym i jak dotąd jedynym członkiem organizacji na terenie warsztatu elektrotechnicznego, więc przydzielony zostałem do komórki mieszanej, w skład której wchodziły dziewczyny z fabryki aparatów telefonicznych (*Schwachstromabteilung*), z fabryki kapeluszy oraz jeden chłopiec, który wywoził śmiecie własnym, dwukołowym wózkiem. Oczywiście obowiązywała ścisła dyscyplina i zachowanie tajemnicy. Dowiedziałem się też, że członkom organizacji nie wolno posiadać radia ani broni.

Te zakazy pozostawały w ścisłym związku z faktem, że organizacja nie była partią, a działo się tak dlatego, ponieważ w dalszym ciągu obowiązywała decyzja kominternu o rozwiązaniu przedwojennej Komunistycznej Partii Polski i zakaz jej restytucji. Partia - powiedziano mi - została w swoim czasie rozwiązana, gdyż była *przeżarta prowokacją policyjną* i każda nieautoryzowana przez Moskwę próba jej odbudowy byłaby potraktowana jako akt kontrrewolucyjny.

Z żalem przyjąłem do wiadomości, że moje dość regularne spotkania z Ryśkiem zostały zakończone. Odtąd byliśmy w pewnym sensie zrównani, choć wyczuwałem, że on w dalszym ciągu jak gdyby należał do wyższego kręgu wtajemniczenia.

Człowiek od którego odtąd miałem przyjmować instrukcje nazywał się Natek Hornfeld. Był ode mnie chyba trochę starszy, kompletnie mi nie znany i pracował w *metal*u. Pozba-

wiony był przy tym tego uroku i prawdopodobnie wiedzy, jakie charakteryzowały Ryśka. Wyglądał natomiast na autentycznego proletariusza, co przydawało mu sporo ważności w moich oczach. Wkrótce okazało się, że nasze stosunki w niczym nie przypominają poprzednich z Ryśkiem, ponieważ były bardzo formalne i pozbawione elementów osobistych.

Pewne zadośćuczynienie za utracony kontakt z Ryśkiem znalazłem w macierzystej komórce organizacyjnej. Trójka dziewcząt wchodzących w skład mojej grupy zwerbowana została w podobny sposób jak ja i przez ludzi pochodzących z tego samego środowiska, do którego należał Rysiek. Sewek, który był śmieciarzem, miał w przeciwieństwie do nas proletariackie pochodzenie, ale szybko podciągał się do naszego poziomu, jeżeli chodzi o zakres zainteresowań i sposób reagowania. Zebrania odbywały się raz w tygodniu, a tematem ich były sprawozdania składane przez członków komórki o działalności na terenie miejsca pracy, po czym następowała dyskusja. Drugim i chyba ważniejszym punktem tych posiedzeń była samokrytyka, do której każdy z nas był zobowiązany. Z reguły, pierwsza wersja takiej spowiedzi nie była uznawana przez uczestników za wystarczającą i wyzwała krytykę pozostałych członków komórki, domagających się *szczerości*, *pogłębienia samokrytyki*, czy też nawet *rozbrojenia się* spowiadającego. Rytuał ten był dla mnie przykry, choć nie kwestionowałem jego słuszności, ponieważ nie istniała żadna sfera życia osobistego, która nie powinna być obiektem samokrytyki i krytyki innych.

Do tej pory byłem przekonany, że jestem bez reszty oddany sprawie, ale w konfrontacji z pryncypialnością i fanatyzmem tych trzech dziewcząt wypadałem dość marnie. W sumie jednak przynależność do organizacji i do tej właśnie piątki dawała mi duże zadowolenie, ponieważ jak nigdy dotąd, a także i później, nie odczuwałem tak silnego związku i oparcia w grupie.

Zebrania nasze odbywały się zawsze w mieszkaniu Sewka, prawdopodobnie dlatego, że gdzie indziej spotkałyby się ze sprzeciwem rodziców. Sewek mieszkał razem z matką - ojca stracił dawno - w przedwojennym pomieszczeniu na ulicy Dworskiej i dlatego nie musiał się przeprowadzać do getta. Chociaż jako goniec a potem listonosz bywałem w wielu strasznych

mieszkaniach bałuckich, jednakże takiej okropności, jaką stanowił dom Sewka, nigdy nie widziałem.

Z klatki schodowej schodziło się pół piętra w dół do kompletnie ciemnego korytarza, pozbawionego żarówki i wymacując dłonią mijane drzwi docierało się do jednopokojowego, pozbawionego kuchni, mieszkania Sewka, które mieściło się w suterynie z małym oknem na poziomie kocich łbów posesji. Światło paliło się tam stale, bo nawet w słoneczny dzień panował półmrok. Jednakże w przeciwieństwie do większości znanych mi w getcie mieszkań, u Sewka nawet w mroźną zimę było bardzo ciepło. Żelazna kuchnia w której cały czas buzował ogień, opalana była śmieciami, które jego matka wyławiała z wielkich worów ustawionych wzdłuż ściany. Na blasze kuchennej gotowały się zawsze wielkie gary brukwi, marchwi a nawet kawałków kartofli, które matka pracowicie wycinała z wielkiej ilości zgniłych, lub na pół zgniłych resztek warzyw, które jej syn wywoził jako śmiecie z placów warzywnych. Mieszkali oni bardzo nędznie i oddychali smrodliwym powietrzem, ale byli wolni od głodu i zimna.

Co pewien czas na naszych zebraniach pojawiał się ktoś z zewnątrz i przekazywał nam ocenę sytuacji politycznej i wojennej.

W tym okresie słuchałem już własnego radia i jeżeli chodzi o fakty, to rzadko dowiadywałem się czegoś nowego. Natomiast imponowała mi metoda interpretowania wydarzeń, która zawsze wychodziła z punktu widzenia interesów radzieckich. W okresie, gdy ogół ludzi przyjmował sojusz ZSRR z zachodnimi aliantami jako rzecz naturalną i oczywistą, referent akcentował klasowy charakter tego sojuszu i piętnował zwłokę w otwarciu przez aliantów drugiego frontu, jako mającą na celu wykrwawienie Związku Radzieckiego. Nie miałem wtedy wątpliwości, że kierownictwo organizacji jest dobrze zorientowane w sprawach polityki światowej, choć zastanawiałem się skąd pochodzą te informacje. Uderzające było jednak to, że referaty te nie zawierały prawie żadnych wiadomości na temat tego, co się dzieje na ziemiach polskich, a nawet po drugiej stronie drutów getta. Domyślano się raczej istnienia jakiegoś ruchu oporu, o któ-

rym nie wiele było wiadome z powodu wyjątkowo ścisłej izolacji getta łódzkiego od świata zewnętrznego.

Moja bardzo niewielka wiedza na temat stosunków wewnętrznych, panujących w organizacji opierała się wyłącznie na tym, co oficjalnie opowiedział mi Rysiek, gdy zawiadomił mnie o przyjęciu do organizacji. Ale oprócz tych danych, przekazywał mi w sposób aluzyjny, czy też mówiąc pół żartem, pół serio szereg informacji, które czasami wprawiały mnie w zakłopotanie. Z jednej strony wpajano mi, że frakcyjność stanowi wielkie zagrożenie dla każdej rewolucyjnej organizacji. Tymczasem Rysiek dawał mi do zrozumienia, że organizacja jest podzielona na dwie grupy, z których on jedną popiera. Kusiło mnie nieraz, aby zapytać go, jak można te dwie postawy łączyć, ale nie robiłem tego, wyczuwając, że opowiadając mi o tym, darzy mnie zaufaniem, którego nie chciałem stracić. Mówiąc o tych sprawach w sposób żartobliwy, chciał chyba zachować możliwość wycofania się, gdybym zawiódł jego nadzieje. Z czasem Rysiek uznał, że dzielam jego zapatrywania i mówił ze mną na ten temat otwarcie, chociaż nawet wtedy ograniczał się do niezbędnego minimum.

Organizacja, do której należałem, została założona nie długo po zamknięciu getta przez kilku przedwojennych komunistów, wśród nich krawca, imieniem Chil oraz bardzo cenioną przez Ryśka, Zulę Pacanowską. W czasie, gdy przyjęto mnie do organizacji, Zuli już nie było, gdyż schwytała w jakiejś wczesnej obławie została deportowana - jak się później okazało - do Chełmna nad Nerem. Głową organizacji był Chil, którego osobiście nie znałem, ale o którym wiedziałem, że w kilku fabrykach konfekcyjnych założył nielegalne grupy związkowe, starające się o poprawę warunków materialnych krawców. Z czasem podobne organizacje powstawały w innych fabrykach. Znający mores wobec decyzji kominternu działacze ci dbali o to, aby organizacje te nie przekształciły się w partię polityczną, choć ideały komunistyczne były im oczywiście bliskie. Sytuacja zaczęła się zmieniać, gdy do organizacji zaczęła napływać młodzież inteligentka, a właściwie uczniowie - samouki, najczęściej pochodzenia nie robotniczego. Ci starali się wszelkimi sposobami organizację upolitycznić, tak, aby zachowując pozory, czy też formę związkową, maksymalnie zbliżyć się do ideału partii – bez popadania w jawną kolizję z obowiąz-

zującym zakazem. Chodziło o przygotowywanie kadr dla zabezpieczenia potrzeb władzy ludowej w przyszłej wyzwolonej Polsce.

Konflikt między zwolennikami tych obu stanowisk był ostry, przy czym *młodzi* oskarżali *starych* o tępotę i dogmatyzm, ci zaś widzieli w *młodych* rozwydrzonych inteligentów, którym znajomość teorii uderzyła do głowy. Prawdopodobnie niechęć do *młodych* wynikała i stąd, że w większości wywodzili się oni z uprzywilejowanych środowisk. W tym sporze stałem po stronie *młodych*. Oczywiście mój aktualny zwierzchnik, Natek, należał do obozu *starych*, podczas gdy Rysiek, od którego zostałem odseparowany – do *młodych*.

Właściwym terenem mojej działalności były nie zebrania pięcioosobowej komórki, lecz warsztat elektrotechniczny, gdzie po krótkim przyuczeniu do zawodu zostałem monterem, mającym przewijać spalone motory elektryczne. Moje zadanie polityczne polegało na tym, aby nakłaniać pracowników warsztatu do obniżenia tempa produkcji i poprzez propagandę komunistyczną pozyskiwać nowych zwolenników dla naszego ruchu. Gdy złowiłem pięć pierwszych dusz, założyłem to, co nazywało się *komórką luźnego aktywu*. W swoim czasie sam byłem takim luźnym aktywistą, którego nawracał Rysiek. Przez cały czas mego pobytu na warsztacie zdołałem pozyskać dla naszej sprawy dziesięciu chłopców, których zorganizowałem w dwa *luźne aktywy*. Nie było to wiele, ale na naszym warsztacie nie pracowało wiele osób.

Od samego początku poczułem się dobrze w roli propagandzisty. Okazało się, że mam dobre rezultaty w akcji nawracania ludzi na komunizm. Myślę, że działo się tak dlatego, ponieważ głęboko wierzyłem w to co mówię i nigdy nie traktowałem tego, kogo nawracałem, jako obiekt manipulacji. Wygląda na to, że propaganda komunizmu była moim naturalnym powołaniem i, że w żadnej innej dziedzinie zawodowej nie osiągnąłem lepszych rezultatów. Dotyczy to także okresu Polski Ludowej, przynajmniej do czasu, gdy zaczynałem wątpić i tracić wiarę, ale wtedy też zaczęła dobiegać końca moja działalność propagandowa.

Chociaż, było nas tylko jedenastu, ale nadawaliśmy ton temu co się działo na terenie warsztatu. To może tłumaczyć fakt, dlaczego zyskaliśmy posłuch nawołując do zmniejszania

produkcji. Oczywiście akcja nasza została z miejsca zauważona przez majstrów, którzy odpowiadali za tok produkcji. Charakterystyczne jednak, że nikt z nich nie decydował się na stosowanie kar czy represji wobec wyraźnych przejawów sabotażu pracy.

Wszyscy majstrowie na naszym warsztacie byli wysoko kwalifikowanymi fachowcami, dwaj z pośród nich, Kollerstein - kierownik warsztatu tokarskiego oraz elektryk – Lewkowicz, manifestowali na milcząco swą nienawiść czy pogardę, jaką żywili wobec mnie. Samsonowicz miał do mnie stosunek drwiący, Firencwajg unikał ze mną kontaktu i właściwie tylko Wojdysławski przejawiał rodzaj kpiącej sympatii wobec tego, czym się zajmowałem. Jedynym majstrem, który miał za sobą studia politechniczne był Herszkowicz. On też zdecydował się na rozmowę ze mną. Opowiedział mi, że w czasie studiów we Francji wstąpił do partii komunistycznej, ale gdy zrozumiał istotę stalinizmu stał się trockistą. Przestrzegał mnie żarliwie, abym nie dał się oszukiwać i nie akceptował zbrodni reżymu radzieckiego. Odrzuciłem z miejsca całą jego argumentację ponieważ - podobnie jak pozostali członkowie organizacji - byłem wyjątkowo dobrze przygotowany do walki z trockizmem i innymi odstępstwami od jedynie słusznej linii partii radzieckiej.

Kierownik zakładu, inżynier Rak wiedział doskonale o naszej działalności, ale pojawiał się dość rzadko w hali produkcyjnej i mijając mnie uśmiechał się zdawkowo, przyglądając mi się z poza okularów. Do żadnej rozmowy z nim nigdy nie doszło.

Mimo sabotowania produkcji, warsztat wykonywał na ogół swoje zadania dzięki efektywnej pracy tych, którzy wymykali się naszym wpływom. Byli to - o ironio losu - najczęściej najbiedniejsi chłopcy, którzy nie mogli sobie pozwolić na rezygnowanie choćby z części zarobku, opartego o system akordowy. Nie wydaje mi się, aby nasza akcja dała jakikolwiek liczący się rezultat, choć wywierała oczywiście określony wpływ na kształtowanie ideologii robotników.

Wszyscy, którzy w mniejszym lub większym stopniu identyfikowali się z naszą sprawą tworzyli dość zwarty kolektyw. Zewnętrznym tego wyrazem były codzienne zbiórki zup przeznaczonych dla tych, którzy byli w potrzebie. Gdy około południa fasowaliśmy zupę, każdy od-

lewał ze swojej menażki jedną łyżkę płynu, rzadziej kawałek kartofla, do specjalnej menażki, która najczęściej była wynoszona na zewnątrz. Odbiorcami tych zup byli koledzy, czy też towarzysze z innych fabryk, którzy z jakiś powodów strajkowali, albo oficjalnie odmawiali przyjmowania zup na miejscu swej pracy. Czasami zupy te były przeznaczone dla kogoś chorego z pośród naszego własnego grona. Wbrew pozorom - chodziło tu wszak tylko o jedną łyżkę - była to ciężka próba solidarności, której poddawaliśmy się dobrowolnie sześć dni w tygodniu.

Przynależność do grupy manifestowała się czasem w sposób nie dramatyczny. Na przykład 1 maja wykorzystywaliśmy półgodzinną przerwę w pracy dla odbycia okolicznościowej akademii. Wypełniały ją między innymi deklamacje wierszy Broniewskiego, Majakowskiego, czy też fragmenty ulubionego poematu Jasieńskiego *Słowo o Jakubie Szeli* oraz zbiorowe śpiewanie bojowych pieśni, w tym także własnego pomysłu. Nie brak było nawet rewolucyjnych plakatów, które malował zdobyty dla naszej sprawy Arie Eksztajn, dziś jeden ze znanych malarzy w Izraelu.

W skali całego getta, które w kulminacyjnym okresie swego istnienia zamieszkiwało przeszło 160 tysięcy ludzi, organizacja nasza była bardzo mała, gdyż liczyła chyba nie więcej niż kilkaset osób. Mimo to, łącznie z *luźnym aktywem* i sympatykami stanowiła liczącą się tu siłę polityczną.

W końcowym okresie istnienia getta, gdy armia radziecka utworzyła dwa przyczółki mostowe na lewym brzegu Wisły i mogło się zdawać, że ocalejemy, władze organizacji zaczęły snuć plany na wypadek wyzwolenia Łodzi. Nie przewidywały one żadnej próby atakowania Niemców, czy też stawienia zbrojnego oporu. Nie mogło też być inaczej, skoro dominującą zasadą tej organizacji było nie wykraczanie poza ramy związkowe. Założenie to przekreślało możliwość starania się o broń i poszukiwania kontaktu z ewentualnie istniejącym polskim ruchem oporu w mieście. Inna rzecz, że jakakolwiek próba zbrojnego oporu skończyłaby się najprawdopodobniej powszechną masakrą, a liczba tych, którzy przeżyli getto łódzkie byłaby jeszcze mniejsza.

Przygotowano natomiast dość zaawansowany plan zabezpieczenia fabryk i magazynów w getcie przed zniszczeniem i grabieżą w celu przekazania ich władzom polskim. Plan ten nie został jednak nigdy zrealizowany, ponieważ z wyjątkiem małej grupy ludzi, którzy zdołali ukryć się na terenie getta, wszyscy inni członkowie organizacji podzielili los reszty mieszkańców getta, którzy w sierpniu 1944 roku zostali deportowani do Oświęcimia.

Wśród tych, którzy przetrwali do końca w getcie, było kilku członków organizacji. Ocalenie swe zawdzięczali jednak własnej przedsiębiorczości, nie zaś organizacji. Jednym z ukrywających się był Edek Szykier, który poniósł śmierć w niewyjaśnionych okolicznościach.

Zagłada łódzkiego getta

Jeżeli abstrahować od skutków głodu i chorób, które w sposób niejako naturalny dziesiątkowały ludność getta, to niemal od samego początku kilka osób ginęło tygodniowo od kul policji, która patrolowała zewnętrzną stronę płotu okalającego getto. Wkrótce chodniki dla pieszych, wzdłuż których biegł ów płot, opustoszały od ludzi, mimo, że znajdowały się na terenie getta. Spowodowało to zmniejszenie liczby ofiar, choć do samego końca getta, od czasu do czasu ktoś ginął od kuli wartownika.

Na ogół wszyscy wiedzieli, że na terenie getta jest kilku żydowskich agentów *kripo*, którzy zresztą nie ukrywali tego faktu. Znano ich z nazwiska, wyróżniali się odkarmionym wyglądem, dobrym ubraniem i żółtymi gwiazdami przypiętymi agrafką do marynarki, lub do palta. Prawdopodobnie mieli sieć informatorów, którzy dostarczali im nazwiska osób posiadających dewizy, klejnoty albo cenne towary. Nazwiska te były z kolei dostarczane do *kripo*, które wzywało podejrzanego o ukrywanie majątku na przesłuchanie. Tutaj, biciem i torturami zmuszano go do oddania ukrytego skarbu. Jeżeli rzeczy ukryte były w mieście, to nieszczęśnik taki wożony był w asyście *kripowca* i agenta, który go wydał, na miejsce gdzie znajdowała się kryjówka. Wątpię, czy żydowscy agenci byli na jakimś procencie, ale z pewnością czerpali ze swego procederu korzyści materialne. Zarówno oni jak i ich rodziny żyli w dostatku, a ponadto korzystali

ze specjalnej ochrony w czasie, gdy sytuacja większości mieszkańców getta ulegała szybkiemu pogorszeniu. Agenci przywozili z wypraw do miasta między innymi leki, których nie było w aptece na Placu Kościelnym. Jeśli ktoś bardzo potrzebował takie lekarstwo i miał dostęp do agenta, to mógł je od niego dostać, czasem nawet za darmo. Dla tej chyba przyczyny agenci nie musieli się ukrywać i choć lękano się ich, nie byli obiektem powszechnego gniewu.

Jeżeli chodzi o osoby zadenuncjowane, to dzieliły się one na trzy kategorie, po pierwsze: na tych, którzy mieli co dać i z miejsca oddawali wszystko. Ci opuszczali *kripo* po krótkim pobycie i jeśli mieli szczęście nie byli nawet bici. Drugą kategorię stanowili ci, którzy mieli, ale usiłowali przetrzymać bicie. Ci z reguły również oddawali wszystko, ale dopiero po długim katowaniu. Trzecią kategorię stanowili ludzie, którzy niczego nie mieli. Ich sytuacja była najbardziej tragiczna, ponieważ kripowcy z zasady nikomu nie wierzyli. Ci, którzy nie mieli co dać, byli okrutnie i długo bici, a niektórzy ginęli w torturach.

Sprawy te były często omawiane w naszym mieszkaniu w miarę tego jak coraz więcej osób z kręgu znajomych trafiało na przesłuchanie w *kripo*. Wiedzieliśmy, że jest tylko kwestią czasu, kiedy ojciec otrzyma wezwanie do *kripo*. Przygotowując się na tę ewentualność ojciec zapowiedział, że bez żadnej zwłoki odda wszystko co ma. Stanowisko takie było uznane za ogólnie słuszne przez obie rodziny, z którymi dzieliliśmy mieszkanie oraz przez sąsiadów, którzy zachodzili do nas wieczorem po nastaniu godziny policyjnej.

W końcu nadszedł dzień, którego baliśmy się tak bardzo i ojciec poszedł na przesłuchanie. Przeżyliśmy dwa dni pełne najgorszych obaw, ale trzeciego dnia ojciec powrócił wymiżerowany i nie ogolony, ale cały po tym, gdy oddał dolary zachowane na czarną godzinę.

Inaczej potoczyły się jednak losy naszego sąsiada Gothelfa, który mieszkał z nami drzwi w drzwi i podzielał pogląd ojca na tę sprawę. Gothelf został wezwany do *kripo* w końcu listopada. Zarówno jego żona jak i wszyscy inni oczekiwali, że wróci do domu po upływie kilku dni. Dni jednak płynęły, a Gothelfa nie było, przy czym nie było sposobu, aby dowiedzieć się co się z nim dzieje. Zjawił się dopiero po Bożym Narodzeniu i był w strasznym stanie. Miał rozbie-

gane oczy i zachowywał się dziwnie, wybuchając od czasu do czasu histerycznym śmiechem. Opowieść jego była następująca: postanowił spróbować, czy wytrzyma bicie, wychodząc z założenia, że gdyby nie mógł, to zawsze zdąży oddać to, co jeszcze posiada. Pierwsza próba wypadła pomyślnie i następne też, mimo, że przesłuchujący go kripowiec bił go coraz mocniej. Po pewnym czasie Gothelf doszedł do wniosku, że warto wytrzymać do końca, bo przesłuchania nie mogły trwać w nieskończoność. Stało się jednak inaczej. Na kilka dni przed Bożym Narodzeniem, Niemiec powiedział mu, że robi przerwę, gdyż wyjeżdża do domu na święta, a wraca po Nowym Roku. Gothelf miał jednak pozostać dalej w celi i być maglowany przez innego kripowca. Gdyby okazało się, że Gothelf w tym właśnie czasie ujawnił posiadany przez siebie majątek, to przesłuchujący go Niemiec zagroził, że obedrze go żywcem ze skóry. Nowy funkcjonariusz okazał się bardziej okrutny od poprzedniego, albo być może Gothelf stracił już zdolność oporu. W każdym razie Gothelf skapitulował i na krótko przed powrotem swego pierwszego oprawcy z urlopu został zwolniony do domu. Teraz umierał ze strachu, wiedząc co go nieuchronnie czeka. Finał nastąpił przed Nowym Rokiem. Któregoś ranka zbudził nas przeraźliwy krzyk żony Gothelfa. Wybiegliśmy na klatkę schodową, gdzie nieszczęśliwa kobieta wykrzykiwała w kółko, że mąż się powiesił.

Inną formą uśmiercania był wyjazd na roboty poza granice getta, gdy nie było to jeszcze równoznaczne z wysyłką do gazu. Pierwsze transporty składały się z ludzi, którzy dobrowolnie zgłaszali się do punktu werbunkowego. Zakładali oni, że praca i reżym, który ich czeka na nowym miejscu będą bardzo ciężkie, ale nie wyobrażali sobie, aby jedzenia było tam mniej, niż w getcie. Przeciwnie, mieli nadzieję, że przestaną głodować. Okazało się, że nadzieja ta nie spełniła się. Oczywiście dowiedzieliśmy się o tym nie od razu.

Z początku przychodziły stamtąd karty pocztowe ze stereotypowym tekstem o dobrym zdrowiu i, że wszystko jest w porządku. Ze stempli pocztowych i skrawków przemycanych informacji wynikało, że pracują przy budowie autostrady, gdzieś na zachód od Poznania. Potem karty przestały przychodzić i nawet zapomniano o tych, którzy wyjechali. Któregoś dnia do getta wjechały dwie ciężarówki, z których wyniesiono kilkanaście dogorywających szkieletów ludz-

kich. Byli to byli budowniczo wie autostrady. Zanim umarli opowiedzieli o strasznych warunkach egzystencji, o głodzie większym niż w getcie i o brutalnym traktowaniu.

Wspominam o tym zdarzeniu szczegółowo ponieważ sądzę, że właśnie takie fakty wywarły wpływ na późniejszą, dość powszechną odmowę przyjmowania do wiadomości sygnałów, świadczących o tym, że ludzie deportowani z getta są z miejsca uśmierceni po przybyciu na miejsce przeznaczenia. To co wtedy zobaczono i usłyszano na temat obozów pracy było tak straszne, że zdawało się spełniać najstraszniejszy z dających się pomyśleć scenariuszy niemieckiego planu zagłady Żydów: obarczyć ich pracą ponad siły, zredukować do minimum kosztów ich utrzymania przez zagłodzenie i pozwolić nieleczonym chorobom dokonać reszty. Ta okropna wizja odrzucała jako rzecz nieprawdopodobną, bo nieracjonalną, możliwość zabijania ludzi przed tym, nim siły ich zostaną wykorzystane dla jakichś produktywnych celów. Chyba właśnie dlatego Niemcy mogli z takim powodzeniem i tak długo posługiwać się eufemizmem *deportacja* w miejsce *uśmiercanie*, gdy zarządzali kolejne przymusowe wyjazdy z getta. Naturalna, lecz wątpliwej wartości samoobronna reakcja psychiki ludzkiej na zarządzenia deportacyjne, odwoływała się w swym pobożnym życzeniu do okrutnej wiedzy o obozach pracy, gdzie owszem, zamęczano ludzi pracą i głodem, ale nie zabijano ich z miejsca.

Tym nie mniej od powrotu owych niedobitków skończyły się dobrowolne wyjazdy na roboty. Rumkowski musiał jednak od czasu do czasu dostarczać kolejny kontyngent ludzi na roboty. Zabrano się więc do opróżniania więzienia, gdzie odsiadawali ludzie, skazani wyrokiem sądu gettowego za przestępstwa kryminalne, najczęściej drobne kradzieże lub malwersacje. Gdy i tych zabrakło, sięgnięto do klauzuli, którą w swoim czasie podpisywali ci, którzy otrzymywali 9 marek zasiłku miesięcznego dla bezrobotnych. Zobowiązywali się oni do przyjęcia każdej oferowanej im pracy. Teraz tą pracą był wyjazd na roboty. Niektórzy ze skazanych na deportację próbowali ukrywać się, lub stawiać opór żydowskiej policji, która przymusowo odstawiała ich do punktu zbornego. Powstała nowa sytuacja, jakiej do tej pory w getcie nie było.

Nie wiadomo, jak sprawy potoczyłyby się dalej, gdy zabrakło już więźniów i tych, którzy brali zapomogę, a Niemcy raz po raz domagali się nowych ofiar. Na razie sprawa została rozwiązana przez przybycie Żydów niemieckich i czeskich, którzy w październiku 1941 zostali deportowani do getta łódzkiego z różnych miast Rzeszy, z Pragi i Luxemburga. Przybycie około 20 tysięcy ludzi w ciągu kilku zaledwie tygodni wystawiło żydowską administrację getta na ciężką próbę. Wsiedlone tu rodziny lokowano w opróżnionych salach szkolnych, instalując w nich piętrowe prycze, a niewystarczająca ilość umywalni i ubikacji przyczyniała się dodatkowo do zdegradowania ich egzystencji poniżej minimum.

Zrazu sytuacja ich nie zdawała się wyglądać tragicznie. Wielu z pośród nowoprzybyłych znajdowało się w dobrej kondycji fizycznej, przynajmniej w porównaniu z łodzianami. Byli dobrze ubrani, choć podobnie jak i my mieli przypięte żółte gwiazdy z wydrukowanym napisem *jude*. Mieli sporo bagażu, dobrych walizek i przyjechali wagonami osobowymi na bocznice kolejową getta Radegast. Obserwując ich, można było czasami odnieść wrażenie, że nie zdają sobie może w pełni sprawy gdzie trafili, albo, że rozpaczliwie nadrabiają miną. Byli pełni werwy i szczególnie młodzi z transportu czeskiego zachowywali się chwilami, jak gdyby trafili na jakiś turystyczny camping. Zaopatrzone ich w karty żywnościowe i jednorazowy, maleńki zasilek wypłacony w nieznanej im dotąd walucie: gettowych banknotach.

W pierwszych dniach swego pobytu starali się jakoś zorganizować swą egzystencję i zorientować w otaczających ich realiach. Odżywiali się w dalszym ciągu normalnie, czyli według naszych miar bardzo dobrze, zużywając przywiezione ze sobą zapasy. Gdy te się skończyły, a skończyły się szybko, zużyli przydziały kartkowe, a gdy i tych zabrakło, zaczęli kupować żywność na czarnym rynku. Otóż tej żywności było w getcie bardzo mało, bo pochodziła ona nie z kradzieży z magazynów ani nie ze szmuglu z miasta, którego właściwie nie było, ale z przydziałów kartkowych. Żywność ta była sprzedawana przez tych, którzy na przykład woleli wyrzec się chleba, bo nie mogli obejść się bez tytoniu lub tych, którzy potrzebowali pieniędzy na zakup lekarstw albo takich, którzy uważali, że osiągną stan sytości jedząc dużą ilość kupionej brukwi za pieniądze uzyskane ze sprzedaży kilku dekagramów cukru lub mąki. Ceny żywności na

czarnym rynku były zawsze bardzo wysokie, teraz stały się zawrotne. W tej sytuacji wysiedleni z Niemiec i Pragi wydali szybko posiadane pieniądze i zaczęli masowo sprzedawać przywiezione ze sobą rzeczy, głównie odzież. Gdy i to się skończyło, zaczął się głód i nędza, tym większa, że tylko niewielu z pośród nich zdobyło pracę w fabrykach i instytucjach *Der Älteste der Juden*. Ogromna ich większość zaczęła teraz wegetować na statusie ludzi otrzymujących zapomogę, tracąc resztki nadziei i sił. W bardzo krótkim czasie ludzie ci popadli w rozpacz i nie rzadko w stan apatii. Załamała się higiena, której dotąd skrupulatnie przestrzegali mimo bardzo trudnych warunków i coraz częściej padali ofiarą różnych chorób.

Gdy Niemcy zażądali kolejnych kontyngentów ludzi przeznaczonych na deportację z getta, przybysze z Rzeszy i Czech byli tymi, których teraz masowo wysyłano w nieznane. Nikt z nich nie stawiał oporu, ani nie próbował ukrywać się przed policją żydowską, między innymi chyba dlatego, że czuli się wyobcowani od reszty społeczności Żydów łódzkich. Kilku przesiedleńców z Rzeszy usiłowało uciec z getta, ale schwytani podczas próby forsowania płotu, zostali publicznie powieszani na placu Bazarowym, o czym w celu odstraszenia innych informowały plakaty rozlepiane na murach getta.

Późną jesienią 1941 roku Niemcy zarządzili opróżnienie szeregu domów na ulicy Brzezińskiej, które następnie odgrodzono od reszty getta płotem podobnym do tego, jaki otaczał getto. Wkrótce potem osadzono w tych domach, opróżnionych z wszelkiego sprzętu, dużą ilość rodzin cygańskich, w sumie około 5 tysięcy ludzi. Chociaż Cyganie ci byli ściśle izolowani, pewne wiadomości na ich temat przenikały jednak do getta, gdyż Niemcy posyłali tam od czasu do czasu jednego z lekarzy żydowskich, a pracownicy służby cmentarnej mieli polecenie transportowania i grzebania zwłok zmarłych Cyganów na terenie żydowskiego cmentarza.

Pochodzące z tych źródeł informacje budziły w getcie lęk, między innymi dlatego, gdyż przywodziły na myśl to, co może spotkało ludzi wysłanych z getta. Cyganie ci nie dostawali żadnego jedzenia, żyli w strasznych warunkach sanitarnych, a gdy wkrótce w obozie wybuchła

epidemia tyfusu, Niemcy kazali lekarzowi tylko uściślić kwarantannę, a nie zajmować się leczeniem chorych. Lekarz ten zresztą wkrótce zaraził się i zmarł.

Niezależnie od codziennej udręki, Cyganie padali ofiarą sadystycznych praktyk, gdy co pewien czas do obozu cygańskiego zjeżdżała grupa Niemców, aby pastwić się nad bezbronnymi ludźmi. Świadczyły o tym przeraźliwe krzyki dobiegające z tamtej strony. Kilkakrotnie zdarzyło mi się widzieć tych Niemców, którzy ubrani w granatowe kombinezony z kapturem na plecach, naciągnięte na jakiś mundur i uzbrojeni w pejczy, jechali bryczką ulicą Brzezińską w stronę getta cygańskiego. Po pewnym czasie do enklawy cygańskiej zajechała kolumna samochodów ciężarowych, która pozostałych przy życiu ludzi uwiozła w nieznanym kierunku.

Mimo tego co się działo, ciągle jeszcze nie czułem się bezpośrednio zagrożony. Zarówno ja, jak i moja rodzina, należeliśmy do większości, która miała oficjalną pracę i w związku z tym poczucie względnego bezpieczeństwa - przynajmniej na bieżąco. Poza tym w ogłoszeniach zapowiadających kolejne deportacje ciągle jeszcze zachowywano pewne pozory, wzywając ludzi, aby zgłaszali się na wyjazd na roboty i grożąc przymusem tylko, gdyby zabrakło ochotników. Podświadomie chwytałyśmy się nadziei, że chodzi tu o pracę, choć coraz więcej znaków na ziemi i na niebie wskazywało na coś innego. Za każdym razem woleliśmy wierzyć, że rozlepione na murach ogłoszenia są ostatnie w swoim rodzaju.

Do tej pory ci, których wysyłano, to byli oni, zawsze należący do jakiejś specjalnej kategorii, która nas nie obejmowała. Oczywiście żalowaliśmy ich szczerze, ale żal ten przypominał uczucie, jakiego doznaje większość ludzi uczestniczących w pogrzebie kogoś bliskiego. Oplakujemy zmarłego, ale nie możemy nie myśleć, że i nas to czeka, i że przynajmniej na razie jest to nam oszczędzone. Za każdym razem byliśmy więc szczęśliwi, że wzięto kogoś innego, a nie nas, choć oczywiście nikt nie ważył się formułować tego w myślach, a tym bardziej wypowiadać w głos.

Począwszy od maja 1942 roku sytuacja uległa drastycznej zmianie. W tym bowiem miesiącu Niemcy zaczęli przysyłać do getta duże transporty używanej odzieży oraz pościeli,

którą magazynowali w opróżnionym kościele NMP na Placu Kościelnym. Wkrótce potem Rumkowski uruchomił tam na ich polecenie placówkę pracy, gdzie kobiety sortowały materiał i pakowały puch i pierze dla dalszej przeróbki. Odzież natomiast - tę najlepszą - po wyczyszczeniu, lub praniu, Niemcy zabierali z powrotem, podobno przeznaczając na *Winterhilfe*. Resztę odzieży Niemcy pozostawili Rumkowskiemu, który przekazał ją do dyspozycji wydziału opieki społecznej. Otóż ta odzież poruszyła całe getto, gdyż wielu twierdziło, że należała do osób deportowanych. Gdyby tak było, to wiara w to, że deportacja oznacza wyjazd na roboty zostałaaby dodatkowo podważona.

Właśnie w tym czasie zdarzyło się, że natknąłem się na Łagiewnickiej na zupełnie nieznanego mi chłopca, który miał na sobie moje ubranie. Było to to samo ubranie, które moja matka kilka miesięcy wcześniej dała memu młodszemu kuzynowi. Nie mogłem się mylić, ponieważ pamiętałem je szczególnie dobrze jako moje pierwsze *cywilne* ubranie po okresie mundurków szkolnych. Byłem wstrząśnięty tym odkryciem, gdyż całkiem niedawno kuzyn ten został wywieziony z getta. Chciałem się jednak upewnić i poprosiłem nieznanego, aby rozpiął marynarkę i pokazał mi wewnętrzną kieszeń, na której powinien być być ślad plamy atramentowej z wiecznego pióra. Niestety, wszystko się zgadzało, także to, że ubranie dostał z opieki społecznej. Wiadomość o tym odkryciu wywarła w domu przygnębiające wrażenie, choć rzecz charakterystyczna nie stała się przedmiotem rozmów ani komentarzy.

1 września 1942 Estusia, która była pielęgniarką w szpitalu dla zakaźnie chorych na Wesolej, poszła jak zwykle rano do pracy. Ku ogólnemu zdziwieniu wróciła do domu po pół godziny, czerwona na twarzy od płaczu i drżąca na całym ciele. Opowiedziała, że zastała szpital pusty, ponieważ Niemcy zabrali wszystkich chorych. Niektórzy z pośród chorych próbowali uciekać, ale byli wyłapywani przez żydowską policję, innych stawiających opór Niemcy wyrzucali przez okno. W ciągu dnia dowiedzieliśmy się, że w podobny sposób opróżnione zostały wszystkie szpitale oraz Dom Dziecka.

Iluzja o wysyłce na roboty - jeśli ktoś ją jeszcze miał - przestała istnieć. Getto było wstrząśnięte jak nigdy dotąd i pełne pogłosek o zbliżających się wielkich deportacjach.

Istotnie, 4 września po południu dowiedziałem się o przerażającym przemówieniu, które wygłosił Rumkowski do tłumów zebranych przed remizą strażacką na Lutomierskiej. Najstraszniejszym fragmentem tego przemówienia był jego apel zwrócony do matek i zaczynający się od słów: *dajcie mi Wasze dzieci!* Rzuciło się w oczy, że Rumkowski był skrępowany i nie mógł powiedzieć wszystkiego, co wiedział, ale to co powiedział było wystarczające. Ta ofiara złożona z dzieci - mówił - jest konieczna, aby ratować całą pozostałą ludność getta. Odmowa współpracy w deportowaniu dzieci oznaczałaby, że akcję przeprowadzą Niemcy sami. Będzie ona brutalna, a liczba ofiar o wiele większa. Obiecywał, że tylko rodziny wielodzietne będą oddawały dziecko poniżej 10 lat, ci zaś, którzy mają jedno dziecko będą mogli je zachować; obietnica, której zresztą nie był w stanie dotrzymać. Mimo, że w świetle jego własnych słów nie mogło już być żadnych wątpliwości co do losu deportowanych dzieci, używał w dalszym ciągu słowa *wysiedlenie* w miejsce uśmiercenie. Tłum ignorował jednak całkowicie jego sposób wystąpienia i reagował wybuchem zbiorowej rozpacz, płaczem i krzykami.

Zaraz po tym pojawiły się na murach plakaty podpisane przez Rumkowskiego, wprowadzający powszechny zakaz opuszczania domów od 5 września aż do odwołania. Dozorcy domów mieli mieć w pogotowiu książkę lokatorów i odpowiadać za ścisłe wykonanie zarządzeń deportacyjnych.

Nazajutrz zaczęła się wielka akcja, w wyniku której w ciągu kilku dni wywieziono z getta około 20 tysięcy ludzi. Drugiego, lub trzeciego dnia przyszła kolej na nasz dom. Ostatniej nocy nie byłem w stanie zmrzyć oka. Stałem w otwartym oknie i rozczarowany patrzyłem w niebo, bo właśnie przebrzmiały syreny odwołujące alarm lotniczy w czasie którego nic się nie stało. Nie mogłem się uwolnić od myśli, że jutro rozstrzygnie się sprawa mego życia lub śmierci i, że właściwie pogrążony jestem w jakimś koszmarnym śnie, z którego powinienem obudzić się lada chwila.

Dzień rozpoczęliśmy wcześnie. Nikt nie mógł jeść śniadania i w milczeniu oczekiwaliśmy rozpoczęcia akcji. Kobiety uróżowały sobie lekko policzki i poszminkowały usta. Każdy przygotowywał jakieś papiery, które miały dowieść młodości albo wyjątkowej niezbędności w produkcji.

Ciotka Ida wraz z dziećmi podjęła trudną decyzję, aby mąż jej - Jakub, pozostał w mieszkaniu i nie schodził na dół. Zaawansowany obrzęk głodowy uniemożliwiał mu opuszczenie łóżka, a tym bardziej wystawienie się na selekcję. Wujek został położony na podłodze i z trudem wsunięty pod kozetkę. Był to ryzykowny krok, gdyż po opuszczeniu mieszkania należało zostawić otwarte drzwi. W czasie trwania selekcji mieszkania miały być kontrolowane, a osoby ukrywające się miały być zabijane na miejscu.

Około godziny 10 rano usłyszeliśmy hałas z zewnątrz. Dopadliśmy okna, które wychodziło na wyludnioną i martwą ulicę. Z zakrętu Stodolnianej wolno wtaczał się na Drewnowską szereg wozów transportowych, zaprzężonych w konie. Na platformach wozów były ustawione ławki. Za wozami jechał karawan. Pojazdy otoczone były dużą ilością policjantów żydowskich, którzy obstawili narożniki czworoboku ulic i zgrupowali się na chodnikach, naprzeciwko zamkniętych bram domów. Całością dowodziło kilku Niemców w cywilnych ubraniach.

Przenikliwy dźwięk gwizdka i okrzyki *Raus!* oraz *Schnell!* wprawiły ludzi w ruch. Zeszliśmy szybko na dół i zostaliśmy ustawieni na jezdni w podwójnym szeregu, zwróconym twarzą w stronę otwartej teraz bramy. Każdy z Niemców obchodził z wolna jeden z szeregów i wolno dokonywał lustracji. Co pewien czas skinieniem dłoni wskazywał kogoś w szeregu, którego żydowski policjant wyławiał i odprowadzał w stronę wozu. Ludzie ci wdrapywali się na platformę, ale wielu z nich, przede wszystkim starzy, chorzy i małe dzieci nie byli w stanie tego zrobić sami. Tym pomagali żydowscy policjanci i woźnica. W tym samym czasie kilku policjantów z jednym Niemcem weszło do domu w celu skontrolowania mieszkań.

Wszystko to odbywało się dość spokojnie i nikt nie stawiał gwałtownego oporu, w tym także matki, od których odłączano dzieci. Zdarzały się jednak wyjątki. Naprzeciwko nasze-

go domu mieszkał mój kolega, Olek Abramowicz wraz z matką i młodszą siostrą. Przechodzili oni selekcję prawie równocześnie z nami i gdy nadeszła ich kolej, matka Olka¹ - młoda jeszcze kobieta - odmówiła oddania dziecka i prowadząc dziewczynkę za rękę wstąpiła z nią razem na wóz. Byłem przejęty strachem, ale zarazem znajdowałem się w stanie, który porównałbym do odrętwienia spowodowanego znieczuleniem miejscowym. Odetchnąłem z ulgą, gdy Niemiec pominął mnie i po raz drugi, gdy zobaczyłem, że wszyscy z naszego mieszkania zostali oszczędzeni. Gdy wozy ruszyły w kierunku szpitala zamienionego na punkt zborny, z którego Niemcy wywozili swe ofiary ciężarówkami, pozwolono nam wrócić do mieszkania. Spojrzałem na zegarek i zadziwiłem się, upłynęły dwie godziny, a mnie zdawało się, że to trwało kilka minut.

Wujka Jakuba zastaliśmy nietkniętego, ale jego obrzęk powiększył się w ciągu tego krótkiego czasu do tego stopnia, że nie można go było wysunąć z pod kozetki, którą trzeba było podnieść do góry. W kilka dni potem, wujek zmarł.

Następnego dnia dowiedziałem się o tragedii, która spotkała jednego z lokatorów naszego domu. Chcąc ocalić swego maleńkiego synka zszedł z nim do włazu studni na podwórzu i zasunął nad sobą żeliwną klapę. W czasie przeszukiwania domu i podwórza dziecko zaczęło kasłać. Aby uciszyć je, nakrył swą szeroką dłonią jego twarz. Po zakończeniu akcji okazało się, że udusił dziecko.

Lepiej powiodło się memu kuzynowi Abramowi, którego akcja zastała w mieszkaniu naszej ciotki Miny. Gdy trzeba było zejść na ulicę, Mina i jej mąż wpadli w panikę nie wiedząc, jak ratować swego kilkuletniego syna. Abram wsadził wtedy ramiona chłopca w rękawy wiszącego na wieszaku w szafie palta. Poły palta i szal przykryły dziecko, które zawisło w szafie i nie wydało żadnego dźwięku przez cały czas trwania selekcji. Tym razem chłopiec ocalał.

14 września życie wróciło do normy. Ruszyły fabryki, warsztaty, sklepy wznowiły sprzedaż przydziałów kartkowych, ulice znów zapełniły się ludźmi. Ten powrót do normalności przyjęty był z uczuciem ogromnej ulgi, jak gdyby sam w sobie zawierał gwarancję, że najgorsze

¹ Błędna informacja. To była jej młodszą siostrą z córeczką Janką.

mamy za sobą. Na miejscu pozostał przecież głównie element produktywny, a wytwórczość getta musiała chyba być potrzebna Niemcom. Było to oczywiste złudzenie.

Po krótkiej przerwie wysiedlenia zostały wznowione, choć koszmarne wydarzenia z września 1942 roku nie zostały już powtórzone. Wkrótce więzienie w getcie wypełniło się nowymi więźniami, stanowiącymi stałą rezerwę, z której formowano kolejne transporty. Oprócz tego Niemcy osadzali w więzieniu grupy Żydów z likwidowanych w terenie obozów pracy, trzymając ich tam do swojej dyspozycji. Po krótkim czasie ludzie ci — na polecenie władz - byli deportowani.

Wysyłce podlegali też Żydzi z licznych miasteczek *Warthegau*, których wsiedlono tu w ciągu 1941 i 1942 roku. W większości wypadków przeżyli już oni likwidację getta w swoim miasteczku i byli świadkami masowych mordów popełnianych na tych, którzy nie kwalifikowali się do wysyłki do getta łódzkiego.

Ten stan rzeczy sprawiał, że strach przed tym, co przyniesie dzień jutrzejszy, nie opuszczał nas ani na chwilę. A jednak ludzie zachowywali się tak, jak gdyby wbrew wszystkiemu co widzieli zakładali, że jadą do obozu pracy. I tak na przykład ogłoszenia o wysiedlaniu zawierały postanowienie, że osoby deportowane mogą wziąć ze sobą 12 lub 15 kilogramów osobistych rzeczy. Z reguły wszyscy wysiedleńcy zabierali taki bagaż, który zawierał wyselekcjonowane i najbardziej wartościowe przedmioty. Chyba kryła się za tym jakaś rozpaczliwa nadzieja, że rzeczy te może będą potrzebne w przyszłości.

Od czasu do czasu docierały do nas różnego rodzaju plotki, dotyczące losu deportowanych, których z reguły nie można było sprawdzić. Niektóre dawały powód do optymizmu, inne wydawały się zbyt straszne, aby uznać je za możliwe. Taką nastrajającą optymistycznie informacją była wiadomość, że grupa kilkuset mężczyzn wysłana do Częstochowy została skoszarowana i zatrudniona w zakładach metalurgicznych *HASAG*. Ludzie ci jedli lepiej, niż w łódzkim getcie, o czym donosili w listach, tak długo jak poczta funkcjonowała.

Skąpa wiadomość o powstaniu w getcie warszawskim nie wywołała jednak szczególnego poruszenia, ponieważ z uwagi na potęgę Niemiec traktowana była jako mało prawdopodobna. Z dużym sceptycyzmem przyjmowano plotki na temat rywalizacji między *Gettoverwaltung* a gestapo w sprawie utrzymania lub likwidacji getta. Rzecz sama w sobie wydawała się mało prawdopodobna, ponieważ państwowo-partyjny aparat III Rzeszy zdawał się być monolitem bez skazy. Obserwowaliśmy jednak szereg niepokojących zmian w getcie, które przemawiały za tym, że mają rację ci, którzy widzą w nich przejawy owej walki.

Przede wszystkim getto zmniejszało się. Ubywali jego mieszkańcy w skutek nieustających deportacji, a także w wyniku coraz większej i bardzo dużej śmiertelności. Odpowiadały temu zarządzenia władz wyłączających z getta kolejne ulice. W coraz szybszym tempie likwidowano też pozory autonomii getta, usuwając jej zewnętrzne symbole. Zamknięto na przykład Dom Kultury, zlikwidowano wydawaną przez Rumkowskiego *Getto Cajtung*, usunięto szylidy ze standartowym niemiecko-żydowskim tekstem *Der Älteste der Juden in Litzmannstadt getto, Abteilung* taki i taki i zastąpiono numerem i niemiecką nazwą zakładu pracy. Zarządzenia dotyczące formy bywały niekiedy bardzo drobiazgowe i chyba zmierzały do tego, aby upodobnić getto do obozu koncentracyjnego. Tak na przykład zmieniono rutynę zachowania się robotników w przypadku pojawienia się na sali produkcyjnej niemieckiej inspekcji. Poprzednio, majster czy kierownik działu był zobowiązany dawać komendę *Achtung!*, po czym robotnicy stawali na baczność aż do chwili, gdy padał rozkaz: *Weiter machen!* Obecnie nie wolno było przerywać pracy, ale majster miał stawać na baczność przed Niemcem i składać mu raport o ilości zatrudnionych robotników i o rodzaju wykonywanej produkcji. Getto i zakłady pracy nawiedzały też coraz częściej różnego rodzaju komisje, składające się z cywilów oraz oficerów w mundurach Wehrmachtu, gestapo i SS. Pojawianie się ich budziło zawsze wielki niepokój i stwarzało grunt dla różnych domysłów.

Któregoś dnia, kuzyn pracujący na Radegaście opowiedział mi, że znaleziono kredowy napis *Assig* na ścianie wagonu, którym wywożono ludzi z getta. Prawdopodobnie była to nazwa stacji docelowej. Sprawdziłem w atlasie szkolnym, ale nie znalazłem niczego o tej na-

zwie ani na terytorium Polski ani Niemiec. Byłem jednak przekonany, że się nie mylę, a miejscowość jest chyba tak mała, że nie figuruje na żadnej mapie. Wkrótce miałem się przekonać, że w zasadzie domysł mój był trafny.

W końcu lipca i na początku sierpnia 1944 roku zaszły dwa wydarzenia, które przypieczętowały los getta. Pierwszym, było dotarcie armii radzieckiej do linii Wisły, drugim, wybuch powstania warszawskiego. Mimo izolacji getta wiedziałem o obu tych faktach, których prawdziwości nikt zresztą nie kwestionował. Zdawałem sobie doskonale sprawę z tego, że po raz pierwszy zarysowała się realna szansa ocalenia. Byliśmy oddaleni od Rosjan o niecałe 150 kilometrów.

Gdyby ofensywa trwała nadal, mogli tu być nawet za dzień, lub dwa. Oczywiście stwarzało to zarazem zwiększone zagrożenie ze strony Niemców, którzy dla tej właśnie przyczyny mieli szczególny powód, aby nas zgładzić. Także powstanie warszawskie, o którym nic właściwie nie wiedziałem, dawało Niemcom dodatkową motywację, aby zrobić z nami koniec. Ofensywa radziecka stanęła jednak w miejscu, umożliwiając Niemcom przeprowadzenie likwidacji getta w sposób systematyczny, to jest bez oporu deportowanych i pozwalający zagarnąć całość żydowskiego mienia w stanie nieuszkodzonym.

W pierwszych dniach sierpnia Rumkowski ogłosił, że na polecenie władz, getto zostanie całkowicie zlikwidowane, zaś jego mieszkańcy przesiedleni w inne miejsce, aby tam kontynuować niezbędną dla Rzeszy produkcję. Dawniej tego rodzaju ogłoszenie uspokoiłoby wielu, tym razem, nikogo. Równocześnie opublikowano zarządzenie redukujące w sposób drastyczny powierzchnię getta i, jak zwykle, grożące karą śmierci za nie wykonanie rozporządzenia. Odtąd też pojawiały się ogłoszenia gestapo, pomijające w ogóle instytucję *Der Älteste der Juden*.

7 sierpnia zdarzyła się rzecz bez precedensu: szef *Getto-verwaltung*, Hans Biebow wygłosił przemówienie do zwołanych na tę okazję tłumów. Apelował w nim, aby współdziałać z akcją przesiedleńczą, ponieważ front się zbliża, a praca Żydów jest potrzebna gdzie indziej. Zapewniał, że na nowym miejscu będzie lepsze wyżywienie, niż w getcie. Doradzał też, aby w

ramach dozwolonego bagażu zabierać pewną ilość naczyń kuchennych, ponieważ z początku mogą z tym być trudności. Widocznie mowa poskutkowała, albo też ludzie uznali, że nie ma innej alternatywy, ponieważ zgodnie z planem codziennie 5 tysięcy osób zgłaszało się na punkt wysiedlenia.

Właśnie w tym czasie udało mi się któreś nocy odebrać fragment polskiego dziennika BBC. Jeszcze dziś pamiętam słowa speakera, które wprawiły mnie w stan grozy. *Od dwóch tygodni znowu płoną ognie krematoryjne w Oświęcimiu*. Komunikat mówił wprawdzie o transportach Żydów węgierskich, nie zaś łódzkich, ale nie miało to dla mnie żadnego znaczenia. Używane były przemiennie dwie nazwy tej samej miejscowości: *Oświęcim* oraz *Auschwitz*, która nie mogła być niczym innym jak źle napisanym, albo źle odczytanym *Assig*. Dowiedziałem się strasznych rzeczy, których nie byłem w stanie zachować tylko dla siebie.

Było już po północy, ale zapaliłem światło, budząc rodziców i opowiedziałem to, co słyszałem. Pierwszą reakcją ojca był wybuch gniewu o to, że w długim ciągu czasu miałem radio i narażałem życie rodziny. Musiałem przyrzec, że pozbędę się odbiornika rano, ponieważ nie chciałem go zniszczyć. Jeżeli chodzi o samą wiadomość, to rodzice zachowali w tej sprawie rezerwę, gdyż - jak sądzę - były to rzeczy zbyt straszne, aby je mogli z miejsca przyjąć do wiadomości.

Następnego dnia przed południem spotkałem Natka i opowiedziałem mu o tym, co się zdarzyło. Ku mojemu zdziwieniu zdawał się tym być nieporuszony i jedyne co miał mi do powiedzenia, to przypomnienie o zakazie posiadania radia, nakazał mi też, abym natychmiast je przyniósł. Spodziewałem się zupełnie innej reakcji ze strony przedstawiciela organizacji, do której wprawdzie należałem, ale straciłem nagle cały pietyzm. Odpowiedziałem, że radia już nie mam, bo zniszczył je ojciec i na tym rozstaliśmy się na zawsze.

Proces likwidacji getta postępował zgodnie z planem. Zmniejszała się ilość ludzi na ulicach, stopniowo przestawały funkcjonować poszczególne instytucje, w tym także zaopatrzenie w żywność i służba zdrowia. W końcowej fazie pozostała już tylko policja oraz nie działające

już główne zakłady pracy, które mieściły się na pozostałym jeszcze skrawku getta. Pozostali jeszcze mieszkańcy getta mieli nakazane opuścić swoje mieszkania i przenieść się do swego zakładu pracy.

W przedostatnim tygodniu sierpnia, zaopatrzeni w plecaki, których waga nie przekraczała 15 kilogramów na osobę, zostaliśmy skoszarowani na Franciszkańskiej, na terenie fabryki obuwia, w której ojciec był instruktorem. Spędziliśmy tam jedną noc i następnego ranka wraz z resztą pracowników zakładu ruszyliśmy kolumną w stronę Radegastu. W wielkim baraku-magazynie spędziliśmy kilka godzin, siedząc na tobołach i wczesnym popołudniem weszliśmy - jak dziesiątki tysięcy ludzi przed nami - po pochyłej kładce do wagonu towarowego. Nie było tam ławek, ale w kącie stało wiadro mające pełnić funkcję ubikacji. Było ciasno, ale każdy miał dość miejsca, aby usiąść na podłodze, a nawet wyciągnąć się. Z trzaskiem zaryglowano drzwi wagonu i pociąg wolno ruszył. Byliśmy w drodze zaledwie godzinę, a wiadro było już przepelnione. Jeszcze obowiązywała dotychczasowa konwencja, wedle której ludzie korzystający z wiadra szukali separacji za zaimprovizowanym parawanem, a pozostali odwracali głowę w innym kierunku. Było jednak oczywiste, że wkrótce reguły te przestaną obowiązywać.

Przed opuszczeniem mieszkania spojrzałem raz jeszcze na mapę Polski. Wynikało z niej, że jeśli rzeczywiście wywozą nas do Oświęcimia, to z początku pociąg powinien jechać w kierunku zachodnim a po osiągnięciu Zduńskiej Woli skręcić na południe. W wagonie były dwa małe okienka, ale umieszczone tak wysoko, że aby przez nie spojrzeć musiałbym stanąć na palcach. Zapadła noc, pociąg na razie jechał w kierunku zachodnim. Może jedziemy więc jednak do Niemiec? Wokół panowały ciemności i nie sposób było dostrzec, jakie stacje mijamy. Gdy po dość długiej jeździe pisk kół wagonu zasygnalizował ostry skręt, spojrzałem na fosforyzującą strzałkę kompasu, który zabrałem ze sobą na taką okazję i zobaczyłem, że niestety wskazywała południe.

Resztę nocy spędziłem na podłodze w stanie pół snu, pół majaczenia. W wagonie panowała na ogół cisza przerywana od czasu do czasu płaczem dzieci, skarżących się na nie-

wygodę. Wiadro było od dawna przepelnione, ale ci, którzy musieli, korzystali z niego w dalszym ciągu.

Wczesnym rankiem pociąg stanął. Podłączono nową lokomotywę i zaczęło się przetaczanie wagonów na inny tor. Dopchnąłem się do okienka i stanąłem na czubkach palców, chwytając oburącz jego dolną krawędź. Pierwsze co zobaczyłem, to duży napis "Auschwitz" wymalowany na ścianie jakiegoś ceglanego budynku. Poniżej mego okienka, na schodkach wagonu stał kolejarz, który jedną ręką trzymał się uchwyty, a drugą, uzbrojoną w kolorową chorągiewkę, sygnalizował coś maszyniście. W pewnej chwili podniósł oczy do góry, spojrzał na moje ręce i powiedział po polsku: *Daj mi ten zegarek!* Ostupiałem zdziwiony, że mówi po polsku i poczułem się boleśnie dotknięty tym co powiedział. Spodziewałem się współczucia. Oburzony zapytałem *A dlaczego?*, na co odpowiedział: *Bo ci tam nie będzie potrzebny.*

Być może nie przeżywałbym tego tak boleśnie, gdybym wiedział, co nas czeka w Oświęcimiu. Dziś uznałbym może, że to co powiedział do mnie było racjonalne, choć pozbawione litości. Może trzeba było nawet dać mu ten zegarek, który zamierzałem wymienić w obozie na chleb, gdyby było już bardzo źle. Było to pierwsze gorzkie doświadczenie, jakich wkrótce miałem doświadczyć więcej.

Część trzecia. Obozy

Dwanaście dni w Birkenau

Wekslowanie wagonów dobiegło końca, bo nagle pociąg nabrał szybkości. Wjechaliśmy na chwilę w wiejski krajobraz i spodziewałem się, że lada chwila ukaże się obóz. Trwałem nadal przy oknie, chociaż kolejarza już nie było. Chciałem zobaczyć jak najwięcej licząc na to, że zobaczę coś co potwierdzi, że Auschwitz nie jest jednak miejscem kaźni.

Gdy tylko wjechaliśmy na teren obozu, zwróciłem uwagę na jego rozległość i niezliczoną ilość dużych baraków. Zinterpretowałem to spostrzeżenie na swoją korzyść: ogrom obozu tłumaczyłby, gdzie się podzieli wszyscy ludzie deportowani z łódzkiego getta. Szukałem wzrokiem tej masy ludzkiej, ale obóz sprawiał wrażenie wyludnionego. Wreszcie dostrzegłem zdała grupę ludzi kopiących rów. Byli zbyt daleko, aby móc ocenić kim są, ale byli to więźniowie o czym świadczyły nieznane mi dotąd pasiaste ubrania. Również i to spostrzeżenie było pozytywne, ponieważ wskazywało, że i tu potrzebni są ludzie do pracy. Gdy pociąg wtaczał się już na obozową rampę poczyniłem ostatnią obserwację, także i tę podnoszącą na duchu. Na peronie stali SS-mani, niektórzy z psami - czego oczywiście należało się spodziewać, ale większość oczekujących nas, stanowili więźniowie. Byli jednak czyści, wyglądali dobrze, opalone czy też ogorzałe twarze nie wykazywały śladu niedożywienia. Może więc tu skończy się przynajmniej nasze głodowanie ?

Od tej chwili sprawy zaczęły się toczyć z zawrotną szybkością nie pozostawiając chwili na najmniejszą choćby refleksję.

Gdy tylko pociąg stanął, zaczęto z zewnątrz odsuwać z łoskotem drzwi i wraz ze światłem dziennym i świeżym powietrzem wtargnęły do wnętrza wagonu okrzyki *Raus!* i *Schnell!!*. Byliśmy jednak na ten moment przygotowani. Członkowie poszczególnych rodzin stali skupieni obok siebie, wszyscy mieli założone plecaki, a w rękach paczki. Ale zanim ktokolwiek zdążył wyjść z wagonu, do jego wnętrza wskoczyło dwóch więźniów, którzy w brutalny sposób

wyrywali paczki z rąk oszołomionych ludzi i nakazując pozostawienie wszystkiego na miejscu, wypychali ludzi na peron. Tym razem nie było żadnych kładek i wszyscy musieli skakać z wysokości, albo na siedząco osuwać się na ziemię. Oczywiście szyki rodzinne zostały przy tej okazji załamane, choć po wylądowaniu na peronie ludzie znów próbowali grupować się według przynależności rodzinnej.

Inicjatywę przejęli jednak więźniowie, którzy krzykiem popędzając tłum do przodu, sprawnie formowali z niego kolejkę, posuwającą się wolno, ale bez przystawania. Nagle znaleźliśmy się twarzą w twarz wobec oficera SS, któremu towarzyszyło dwóch podoficerów. Skinieniem dłoni wskazał naszej trójce kierunek, gdy inni, głównie ludzie starzy, wyglądający choro i dzieci, kierowani byli w inną stronę. Spojrzałem na nich przez chwilę: więźniowie ustawiali ich w małe oddziały, które wolnym krokiem oddalały się w stronę ściany wysokiego żywopłotu. Posuwaliśmy się ciągle do przodu, gdy niespodziewanie zaczęło się wyławianie kobiet z naszego szeregu. Zaskoczone kobiety zaprowadzono następnie jakąś inną ścieżką w nieznanym kierunku. W ten sposób, zupełnie nieoczekiwanie ani ja, ani ojciec, nie zdążyliśmy się pożegnać z matką. Byliśmy porażeni tym co się stało i jedyną pociechą, której złapaliśmy się rozpaczliwie była świadomość, że matka, podobnie jak my została oszczędzona, ponieważ teraz nie mieliśmy już żadnej wątpliwości, co ta selekcja oznacza.

Stan w jakim się znajdowałem od czasu opuszczenia wagonu przypominał uczucie, jakiego doznawałem, stojąc na ulicy podczas selekcji wrześniowej 1942 roku. Byłem lekko otępiały, co w jakimś stopniu wyciszało poczucie śmiertelnego zagrożenia. Zaskakująca szybkość tego, co się działo, zdawała się odrealniać świat. Byliśmy w kompletnym szoku, ale zarazem w stanie pełnego alertu. Wszyscy zdawali sobie doskonale sprawę z tego, co się dzieje i dlatego starali się nie wpadać w oczy eskortującym nas więźniom i SS-manom, milcząc i zachowując się posłusznie w ciągu trwania tej ciągle jeszcze niezakończonych procedury.

Po niedługim marszu zaprowadzono nas przed duży, parterowy, nieotynkowany budynek i kazano sięść na ziemi. Odetchnęliśmy z ulgą. Najgorsze mieliśmy chyba za sobą. Był

czas by rozejrzeć się wokół. Przed nami, w odległości kilkudziesięciu metrów biegły naelektryzowane druty kolczaste, za którymi widać było baraki i postacie kobiet.

Był to, jak dowiedzieliśmy się, obóz kobiecy. Za nami stały zaparkowane wojskowe ciężarówki i ambulans ze znakami czerwonego krzyża. Jeszcze dalej, w głębi, za drutami kolczastymi rosły gęste krzaki, które przesłaniały widok. Z za tych krzaków biły w górę gęste kłęby czarnego dymu, pochodzące z kilku źródeł ognia. Ktoś powiedział, że to płoną stosy z ciałami zagazowanych ofiar, które nie dążą trawić piece krematoryjne. Ta informacja jak i inne pochodziła od jednego z więźniów, którzy kręcili się wokół nas, szukając w tłumie siedzącym na trawie znajomych z getta łódzkiego.

Po niedługim czasie pojawił się więzień, który rozpostarł obok nas na ziemi koc i powiedział, aby składać na nim zegarki, biżuterię, pióra wieczne, obcą walutę, złoto i szlachetne kamienie. Nawet nie groził, ale powiedział, że będziemy rewidowani. Wyglądało na to, że wszyscy zrozumieli groźbę sytuacji, bo bez ociągania wyzbywali się tego co mieli. Oczywiście i mój zegarek trafił do koca. Po pół godzinie przyszło dwóch więźniów, którzy nie bez trudu unieśli wypełniony cennieściami koc.

Siedzieliśmy nie wiem jak długo na ziemi i nic się na razie z nami nie działo. Niektórzy zgłodnieli i zaczęli jeść chleb, który mieli ze sobą. Myśmy nie mieli niczego, ale też nie czułem żadnego głodu.

Nagle zobaczyliśmy długi szereg kobiet w obozie kobiecym, które podeszły do drutów. Poderwaliśmy się na nogi chcąc zbliżyć się do nich, ale zostaliśmy osadzeni ostrym krzykiem dozoruującego nas więźnia. Wytężałem wzrok chcąc rozpoznać matkę, bo to musiały być kobiety z naszego transportu, skoro wyraźnie machały rękami w naszą stronę. Niestety, z tej odległości były wszystkie podobne do siebie. Były przyodziane w jakieś obce nam suknie-szmaty i co najważniejsze, miały ogolone głowy, co powodowało zmianę fizjonomii. Mimo to w pewnym momencie odniosłem wrażenie, że rozpoznałem matkę. Był to dla mnie bardzo wzruszający moment. Wymachiwałem do niej energicznie rękami, ale nie jestem pewien czy to do-

strzegła, bo wszyscy robili to samo. Trwało to zresztą krótko, gdyż wkrótce kobiety opuściły miejsce koło drutów i nie pokazały się już nigdy więcej.

Była już chyba druga połowa dnia, kiedy przyszła kolej na nas. Wprowadzono nas do budynku obok którego cały czas koczowaliśmy. W pierwszej sali kazano nam rozebrać się do naga i zatrzymać tylko buty oraz pasek na biodrach. Rzeczy zostawiliśmy na podłodze i formując kolejkę, zaczęliśmy posuwać się w stronę otwartych drzwi, prowadzących do dużego pokoju. Tam, w otoczeniu kilku więźniów i SS-manów spotkaliśmy znowu oficera SS, choć nie tego z rampy kolejowej. Dokonywał on kolejnej selekcji, poświęcając każdemu z nas długą chwilę, w czasie której badał nasze ciała wzrokiem.

Teraz dopiero dopadł mnie ogromny strach, bo wszystko to trwało dłużej niż poprzednio i nie odczuwałem już znieczulającego efektu, jaki przedtem powodował moment zaskoczenia. Bałem się, że zgubi mnie obnażona chudość i marna muskulatura, której nie mogłem zakryć ubraniem. Przede mną odstawiano na bok ludzi, którzy dotąd ukryli przepuklinę, wystające żebra klatki piersiowej, mały garb, lub po prostu byli za starzy, albo za młodzi. I tym razem przeszedłem z ojcem próbę, ale wiedziałem już, że nie ma żadnej ostatecznej selekcji, po której można czuć się bezpiecznie.

Z kolei znaleźliśmy się w bardzo dużym i długim pomieszczeniu, gdzie tłoczyła się masa nagich jak i my ludzi. Betonowa czy kaflowa podłoga pokryta była grubą warstwą niesprząniętych włosów ludzkich, wśród których wszyscy deptali. Na końcu tej sali zobaczyłem kilku więźniów, którzy strzygli głowy ludziom ustawionym w długie kolejki. Choć pracowali szybko, kolejki w których i my zajęliśmy miejsce, posuwały się bardzo wolno.

W pewnej chwili pojawiło się kilku rosyjskich więźniów w pasiakach, którzy zostali z radością rozpoznani przez dwie czy trzy osoby, z pośród czekających na strzyżenie. Okazało się, że są to ludzie, którzy jako kryminaliści zostali dawno deportowani z getta łódzkiego. Jako jedni z nielicznych zdołali przeżyć kilka lat kacetu i urządzić się wśród elity więźniowskiej, dobijając się intratnych funkcji. Teraz rozglądali się w tłumie nagich ludzi, szukając tych, którzy bezpo-

średnio przyczynili się do ich wysyłki z getta. Wkrótce znaleźli jednego: był nim policjant, który brał udział w akcji wysiedleńczej. Na szczęście staliśmy z ojcem stosunkowo daleko od miejsca, w którym ten człowiek był linczowany, ale to co słyszeliśmy było przerażające. Wiem tylko tyle, że zabijali go gołymi rękami, bez użycia jakiegokolwiek przedmiotu.

Zanim przyszła nasza kolej na strzyżenie, przyjrzałem się jak to wygląda. Każdy siadał na zydlu, a więzień uzbrojony w ręczną maszynkę starał się strzyc jak najbliżej skóry. Robota postępowała szybko, choć zużyte maszynki były tak tępe, że prawie każdy opuszczał zydel pokaleczony na głowie. Zaraz potem należało na rozkraczonych nogach pochylić się głęboko do przodu, wypinając tyłek do góry. Stojący obok więzień, z lampką w ręku, rozsuwał pośladki i świecąc w odbytnicę upewniał się, że nie ma tam schowanych dolarów albo brylantów.

Zapał już zmrok, gdy po strzyżeniu i rewizji zaprowadzono nas do wielkiego pomieszczenia, gdzie pod sufitem były umieszczone liczne wyloty pryszniców. Wygląd tej umywalni nie wzbudził we mnie żadnego podejrzenia, ponieważ wtedy nie wiedziałem jeszcze, że tak właśnie wygląda wnętrze komory gazowej. Tu jednak, po chwili połała się na nas zimna woda, ale tylko przez chwilę, gdyż za oknem rozległy się syreny alarmu przeciwlotniczego. Dopływ wody ustał, my zaś staliśmy mokrzy, drżący z zimna i wsłuchani w dźwięk wysoko nad nami przelatujących samolotów. Alarm trwał długo, choć Oświęcim nie był celem ataku. Zastanawiałem się czy chciałbym, aby obóz był bombardowany, w pierwszej chwili życzyłem sobie tego gorąco, ale po zastanowieniu doszedłem do wniosku, że gdybym został przy tej okazji ranny, nie zaś zabity na miejscu, to byłoby to najgorsze co mogło mnie tu spotkać. Gdy alarm się więc skończył, a nic się nie stało, przyjąłem to z ulgą.

Bez możliwości dokończenia mycia i wytarcia się, zostaliśmy pognani ku wyjściu, gdzie każdy dostał komplet, składający się z pogniecionych spodni, marynarki, koszuli i kalesonów. Była to różnoraka, używana, cywilna odzież, która miała tylko jedną rzecz wspólną: szeroki, kolorowy pas farby olejnej wymalowany od kołnierza do dolnej krawędzi pleców marynarki.

Uformowani w czwórki zaprowadzeni zostaliśmy na wielki dziedziniec, zamknięty czworobokiem drutu kolczastego. Tam kazano nam się na ziemi i zakazano jakichkolwiek rozmów. Była już głęboka noc i w czterech rogach dziedzińca, na wieżyczkach strażniczych zapalono reflektory, których światło zostało skierowane na nas, chociaż reszta obozu tonęła w ciemnościach z powodu zaciemnienia przeciwlotniczego. Po drugiej stronie drutów kolczastych były w niebo wielkie płomienie kilku ognisk, które za dnia dawały o sobie znać kłębamii dymu. Tę stronę obozu oświetlała różowa luna, unosząca się nad miejscem palenia zwłok. Byliśmy wyziębieni ostrym chłodem nocnym i steroryzowani widokiem płomieni.

Wczesnym świtem padła komenda, aby się podnieść z ziemi, skąd poprzez jakąś wewnętrzną bramę zostaliśmy wpuszczeni na teren obozu. Jeszcze kilka chwil i weszliśmy do pustego, słabo oświetlonego baraku. Wymiary tego baraku były o wiele większe od normalnie spotykanych budynków tego rodzaju. W rzeczy samej były to - jak się okazało - dawne stajnie kawalerii austriackiej. Środkiem baraku biegł metrowej wysokości mur ceglany, na którym kiedyś były ustawione żłoby. Mur dzielił barak wzdłuż na dwie równe części. Staliśmy w wielkiej ciasnocie, ponieważ nie pozwolono nam przejść na drugą stronę muru, po którym spacerowało kilku więźniów, uzbrojonych w grube pałki drewniane.

Nagle, po pustej stronie baraku pojawił się żydek na który wdrapał się muskularny więzień o wyraźnie żydowskich rysach twarzy. Ku ogólnemu zdziwieniu i wielkiej radości przemówił do nas w jidisz, rozniecając na ułamek sekundy nadzieję, że skoro to jest możliwe, to i sytuacja nasza może nie jest całkiem beznadziejna. Tym większy jednak był nasz szok i rozpacz, gdy docierać do nas zaczęły jego słowa.

Zaczął od tego, że jesteśmy w Auschwitz *dokąd przyjeżdża się pociągiem, a wychodzi tylko przez komin*. Po tym wstępie przedstawił się jako *Blokälteste* i w niewielu słowach opowiedział o obowiązujących tu regułach, dodając, że każde przekroczenie karane jest wysyłką do gazu. Wreszcie przeszedł do sprawy najważniejszej. Powiedział, że wie, iż ukrywamy w tyłku i w ustach brylanty, chociaż przeszliśmy kontrolę. Jeżeli chcemy zachować życie, mamy

natychmiast oddać je w ręce kapo, którzy stojąc na murze przyglądali nam się z uwagą. Na dany sygnał mieliśmy szybko przejść na drugą stronę muru, opróżniając tę część baraku, w której znajdowaliśmy się dotąd. Po tym, wszyscy mieli zostać poddani drobiazgowej rewizji, a ci u których zostanie coś znalezione zostaną ukarani śmiercią. Przeróżające była nie tylko to, co ten człowiek powiedział, ale jak mówił. Ton jego przemówienia był wrogi i pełen pogardy, czemu towarzyszył szyderczy uśmiech. Trudno było uwolnić się od wrażenia, że człowiek ten znajdował upodobanie w naszym strachu i upokorzeniu. Nie wyobrażam sobie, aby SS-man mógł powiedzieć coś bardziej nienawistnego, niż to co usłyszeliśmy od tego więźnia i Żyda zarazem. Wszystkie dotychczasowe wyobrażenia na temat tego, co jest możliwe, a co nie jest możliwe, waliły się w gruzy. W ciągu kilku najbliższych dni miałem zetknąć się z podobnymi, równie nieprawdopodobnymi sytuacjami.

Na dźwięk gwizdka zaczęliśmy przechodzić w pośpiechu na drugą stronę muru. Miejsce, w którym dotychczas tłoczyliśmy się zostało całkowicie opróżnione. Wtedy kapo, z lampkami w ręku zaczęli przeszukiwać ciemne kąty baraku. Przyglądałem się temu co robią i ze zdziwieniem zobaczyłem, że od czasu do czasu podnoszą coś z ziemi i oddają znalezione rzeczy blokowemu. Natomiast groźba szczegółowej rewizji nie została urzeczywistniona.

Kiedy akcja dobiegła końca, pozwolono nam zająć także drugą stronę baraku i zrobiło się luźniej. Byliśmy zmęczeni i śpiący, ale ponieważ nastał już dzień, nie było mowy o żadnym spaniu. Przeciwnie, wśród krzyków i wyzwisk, bici przez kapo, zostaliśmy wypędzeni z ogrzanego ciałami baraku na zimne powietrze oświęcimskie.

Zaczynał się właśnie drugi dzień naszego pobytu w Oświęcimiu, który w odróżnieniu od pozostałych dziesięciu dni, zapamiętałem bardzo dobrze.

Nie tylko my zostaliśmy wygnani na dwór. Wzdłuż całej ulicy obozowej, przed każdym blokiem gromadzili się zaspani, skurczeni z zimna ludzie w takich samych jak my ubraniach. Pojawili się też blokowi w otoczeniu kapo i zaczęła się normalna, męcząca procedura rannego apelu. Kazano nam ustawić się w dwuszeregu, bez względu na wzrost. Padły słowa

komend, które z początku nie były rozumiane przez wszystkich, a przez wielu wykonane w zbyt wolnym tempie. Wtedy do akcji wkroczyli kapo, którzy okładając pałką gdzie popadło, obrzucając niesprawnych obelgami, ustawili nas we właściwym porządku.

Potem zaczęło się liczenie. Nie było to odliczanie na modłę wojskową. Liczył bowiem blokowy, który stale się mylił, ponieważ rachunek się nie zgadzał, na przykład dlatego, że ktoś się spóźnił i ukradkiem stanął w szeregu, aby uniknąć bicia. Następnie zaczęło się długie czekanie na nadejście SS-manów. Jeżeli ktoś w tym czasie łamał szyk, to natychmiast był bity przez kapo, którzy nie spuszczaali z nas oczu.

Wreszcie poruszenie, bo przez bramę obozową wchodzi grupa oficerów i podoficerów SS, którzy kierują się w stronę poszczególnych bloków. Blokowy w postawie na baczność składa raport o stanie liczebnym bloku i odbiera polecenia SS-mana. Na tym w zasadzie apel się kończy i wszyscy rzucają się w stronę bloku, gdzie zaczyna się rozdział t.zw. kawy.

Byliśmy bardzo głodni, ponieważ od ostatniego posiłku minęły prawie dwie doby. Kawa nie mogła tu niczego zmienić, ale mimo to sięgnęliśmy po naczynia, aby przynajmniej ogrzać się gorącym, brązowym płynem. Koło kotła z kawą leżały na ziemi emaliowane nocniki i spluwaczki, z pewnością przywiezione przez dawno już pomordowanych ludzi. Naczynia te służyły nam także później, gdy około południa fasowaliśmy chochlę rzadkiej zupy. Kształt tych naczyń, czy też ich pierwotne przeznaczenie, nie miały żadnego znaczenia. To co się natomiast liczyło, to fakt, że czasami było ich mniej niż ludzi stojących w kolejce po zupę i wtedy do jednego naczynia wlewano dwie porcje, pozostawiając dwojgu głodnych ludzi problem równego podziału. Co gorsza nie mieliśmy łyżek, bo nie wolno ich było mieć, co dodatkowo komplikowało sytuację. Ten i ów z pośród tych, którzy byli tu już dłużej, miał schowaną blaszaną łyżkę bez trzonka, albo jakiś drewniany łyżko podobny przedmiot, ale większość piła zupę wprost z naczynia, kończąc jedzenie palcami, którymi wyławiano to, co zostało na dnie.

Nadszedł czas, aby pójść do umywalni i ubikacji, które mieściły się w oddzielnym murowanym baraku. Choć ilość punktów sanitarnych była dość duża, nie starczyło ich jednak

dla wszystkich, gdy w krótkim czasie między pobudką a apelem każdy próbował załatwić swą potrzebę.

Umywalnia składała się z długiej blaszanej rynny nad którą biegła rura wodociągowa z dużą ilością kranów. Woda była oczywiście zimna, ale umyć się było trudno, ponieważ brak było mydła lub sody i co ważniejsze nie było czasu, gdyż na zewnątrz trwała już zbiórka, a spóźnienie na apel groziło ciężkim pobiciem.

Ubikacja była wielką prymitywną latryną, gdzie nad dołem kloacznym zawieszona była długa żerdź, wsparta na kilku drewnianych kozłach. Żerdź służyła za siedzenie, które trzeba było szybko zwołać ze względu na tłum napierających ludzi, którzy natarczywie domagali się dostępu.

Zarówno umywalnia jak i ubikacja były zamykane na noc, natomiast w ciągu dnia można tu było przychodzić bez kontroli. Wiele osób szukało tu też schronienia przed zimnem, jako, że w dzień nie wolno było przebywać w baraku. Dla tej samej przyczyny zarówno umywalnia, jak i ubikacja, były nieoczekiwanie nawiedzane przez kapo, którzy przy pomocy drewnianych pałek wypędzali tych, którzy szukali tu azylu, choćby na chwilę.

Na ulicy obozowej panował ożywiony ruch, ponieważ - ku mojemu zdziwieniu, ale też i uldze - większość znajdujących się tu ludzi nie była brana na roboty. W ciągu dwunastu dni pobytu w Oświęcimiu byłem tylko jeden raz schwytyany do roboty. Polegała ona na dźwiganiu cegieł, które spiętrzone aż do podbródka, nosiłem na splecionych dłoniach. Przenosiliśmy te cegły na dość dużą odległość i po zakończeniu dnia zdałem sobie sprawę z tego, że chyba nie przetrwałbym tygodnia takiej pracy.

Chodząc więc po tej ulicy spotkałem znajomego z getta, którego deportowano tu przed nami i który opowiedział mi to, czego jeszcze nie wiedziałem. Dowiedziałem się, że obóz w którym się znajdujemy nazywa się Birkenau, albo obozem cygańskim i, że ma opinię najgorszego miejsca w wielkim kompleksie oświęcimskim. Swą złą sławę zawdzięcza Birkenau temu, że jest miejscem w którym selekcjonuje się ludzi do pracy, a pozostałych kieruje do komór ga-

zowych. W odróżnieniu od pozostałych obozów zespołu oświęcimskiego, gdzie więźniowie szli do stałej, określonej pracy, tu wykorzystywano pracę więźniów tylko sporadycznie, a ich pobyt traktowano jako tymczasowy.

Jedynym sposobem uniknięcia kamery gazowej był szybki wyjazd z Birkenau na roboty, do czego dążyli też wszyscy więźniowie. Co pewien czas zjawiali się tu t.zw. kupcy, czyli przedstawiciele wielkich zakładów pracy, którzy wybierali sobie siłę roboczą. Chodziło o to, aby nie zaprzepaścić takiej okazji i za wszelką cenę uciekać stąd.

Szereg faktów rzeczywiście zdawał się potwierdzać specjalnie złą sytuację więźniów Birkenau. Na przykład tylko my oraz jeńcy radzieccy nie mieliśmy pasiaków, ani numeru, który w obozie koncentracyjnym był jedynym znakiem identyfikacyjnym. W Birkenau nie było żadnych imiennych list nazwisk więźniów, a więc nie byliśmy objęci żadną ewidencją.

Pod tym względem status nasz przypominał sytuację tych, którzy po opuszczeniu wagonów trafiali do komór gazowych. Charakterystyczna była też niefrasobliwość blokowych, gdy przed wieczornym apelem przygotowywali raport o stanie liczebnym swego bloku. W porównaniu z liczbami porannego raportu, rachunek rzadko się zgadzał. Przyczyną tego nie była nigdy ucieczka więźnia z obozu, ale pogłoska, że jakiś blokowy jest lepszy, czy też mniej okrutny od innych. Powodowało to masowe przenoszenie się więźniów z bloku do bloku, a w czasie apelu anomalię polegającą na tym, że przed jednym blokiem gromadziła się mała grupa ludzi, a przed innym wielka. Blokowi wiedzieli o co chodzi i przyjmowali ten fakt ze śmiechem, posyłając swoich kapo do przeludnionego bloku, aby pałkami nagnać odpowiednią ilość więźniów w celu wyrównania rachunku. Czasami tego rodzaju deficyt wynikał stąd, że kogoś nieobecnego znajdowano później martwego w umywalni czy ubikacji, albo dlatego, że ktoś wybrał śmierć przez złapanie naelektryzowanego drutu kolczastego.

Trudności z doliczaniem się liczby więźniów były przyjmowane przez blokowych, ale także i przez SS-manów ze względny spokojem. Jak na obóz koncentracyjny było to zadziwiające, ponieważ brak choćby jednego więźnia w każdym innym obozie spowodowałby ogło-

szanie alarmu i natychmiastowe poszukiwania. Tu nic takiego się nie działo, gdyż możliwość ucieczki była żadna, a rzecz dotyczyła bezimiennej masy podludzi i tak skazanych na szybkie zagazowanie. Ta niesłychanie długa procedura liczenia mogła jednak mieć pewne praktyczne znaczenie. Z powodu braku ewidencji więźniów, administracja obozowa mogła w ten sposób ustalać ilość zupy i porcji chleba, które stosownie do aktualnego stanu więźniów dostarczano do bloków.

Wszystko wskazywało na to, że w Birkenau apele pełniły nie tylko funkcję porządkowo-administracyjną, ale były też sposobem dręczenia i niszczenia więźniów, tym, czym w innych obozach była ciężka, wielogodzinna praca. Przemawiałby za tym między innymi fakt, że mieliśmy tych apeli więcej niż dwa dziennie. Czasami zwoływano je bez żadnego powodu, a zawsze trwały niesłychanie długo. Niemożność utrzymania idealnie prostej postawy, lub załamanie dwuszeregu było powodem szykan, które graniczyły z torturą. Najczęściej stosowaną karą był rozkaz wykonania głębokiego przysiadu z rękami wyciągniętymi prosto do góry. Delikwent, albo cały szereg więźniów, który zaczynał się chwiać ze zmęczenia, był okładany pałkami kapo. Nie wspominam o wyzwiskach, bo te się zupełnie nie liczyły.

Częstość i intensywność bicia, na które byliśmy stale wystawieni, zależała w pewnym stopniu od osobowości blokowego. Wszyscy blokowi bili, bo to wchodziło w zakres ich funkcji i obowiązku. Ale byli tacy, którzy bili tylko wtedy, gdy znajdowali się w polu widzenia SS-mana. Ci uchodzili za dobrych, większość jednak biła ze szczerą ochotą, często bez jakiegokolwiek pretekstu i niezależnie od tego czy ktoś się temu przyglądał. W jeszcze większym stopniu da się to powiedzieć o kapo, których funkcja rzekomo polegała na utrzymywaniu porządku, a więc jak gdyby z urzędu zakładała stałe maltretowanie więźniów. Narodowość blokowego czy kapo nie miała wpływu na to czy któryś z nich znęcał się więcej, lub mniej nad więźniami. Większość blokowych to byli Niemcy - kryminalni albo polityczni, ale trafiali się także Polacy i był jeden Żyd. Różnice narodowościowe nie wpływały jednak na ich wzajemną współpracę, ani zażyłe stosunki. To samo można było również powiedzieć o kapo. Zdumiewające było to, że w narodowo- socjalistycznym obozie koncentracyjnym liczyło się jedynie miejsce zajmowane w

hierarchii obozowej, nie zaś przynależność narodowa czy rasowa członka elity więźniarskiej. Jeszcze dziwniejszą sprawą było to, że SS-mani, którzy wchodzili w codzienny kontakt z blokowymi, przyjmowali tę sytuację jako normalną.

Choć byłem już drugi dzień w Birkenau, ciągle jeszcze nie mogłem się oswoić z faktem, że to sami więźniowie zadreżali innych więźniów. Moje dotychczasowe romantyczne oczekiwania, że więźniowie będą się wspierać nawzajem, ponieważ ich kondycja jest podobna, z trudem ustępowały przed wymową faktów. Co gorsza, więźniowie nie byli tylko biernymi wykonawcami poleceń SS-manów, ale przejawiali w tym zakresie dużo inicjatywy i własnej inwencji. Oczywiście za wszystkim tym stali SS-mani, którzy podejmowali główne decyzje, przeprowadzali selekcje, obsługiwali kamery gazowe - choć nie krematoria, ale których obecność fizyczna na terenie obozu była dość ograniczona. Przede wszystkim byli oni twórcami perfidnego, deprawującego systemu, w którym z powodzeniem delegowali ludobójstwo tym, którzy w końcu sami padali jego ofiarą.

Oprócz głodu, który był większy niż getcie, cierpieliśmy także z powodu zimna. W sierpniu, w okresie likwidacji getta było, bardzo ciepło. Teraz natomiast, w pierwszej dekadzie września, w Oświęcimiu, zrobiło się chłodno. Nie wiem, czy nastąpiła wtedy ogólna zmiana pogody, czy też spowodowane to było bliskością Soły i podgórze karpackiego. W ciągu dnia wiał stale zimny wiatr, przed którym nie było schronienia, ponieważ do bloku wolno było wejść dopiero po apelu wieczornym. Szczęściem dni były bezdeszczowe. Jediną szansę ogrzania się mieliśmy tylko wtedy, gdy od czasu do czasu przez powłokę chmur przebijało się słońce, oświetlając kawałek terenu. Jeśli ktoś się ustawił w takiej plamie słonecznej, to przez pewien czas miał ciepło. Niedoskonałość tego rozwiązania polegała na tym, że nie wszyscy mieścili się na takim nasłonecznionym skrawku ziemi oraz, że po krótkim czasie chmury na nowo przesłaniały słońce.

Byłem jednym z wielu, którzy trzęśli się z zimna w cienkim szmatławym ubraniu i zarazem naocznym świadkiem spontanicznego pomysłu, dzięki któremu marzliśmy mniej. Teraz

po latach, kiedy rozpamiętuję, jak to się wszystko działo, znajduję w naszym postępowaniu zabawną analogię z tym, jak sobie wyobrażam powstawanie i zagładę światów w przestrzeni Kosmicznej. Mam na myśli schemat, wedle którego prawo ciężenia powoduje koncentrację rozproszonej materii, która osiągnąwszy ogromne rozmiary przekracza stan krytyczny, eksploduje, rozpadając się na maleńkie cząstki, aby znów powtórzyć cały cykl od początku. W naszym przypadku sprawa wyglądała inaczej, a jednak podobnie. Na początku dwoje ludzi staje na ciepłej plamie słonecznej. Przylegają do siebie plecami, aby się ogrzać i czują chłód już tylko z przodu, gdy powieje zimny wiatr. Ponieważ jest jeszcze trochę wolnego nasłonecznionego miejsca, więc wkrótce przyłącza się do nich kilka innych osób, które również grzeją swe plecy ustawiając się tyłem i jak najbliżej pierwszej pary, która teraz jest otoczona i ogrzewana ze wszystkich stron. Gdy do grupy tej dołączą inni, tworzy się coś w rodzaju jądra, które zaznaje nie tylko ciepła, jakie daje kilka warstw ciał ludzkich, ale również doskonałej ochrony przed wiatrem. W takim układzie wszyscy zyskują, choć najgorzej mają zawsze ci z zewnętrznego kręgu mimo, że mają ciepłe plecy.

Sytuacja zaczyna się zmieniać z chwilą, gdy chmury przesłaniają słońce. Pierwszym odruchem tego sporego już zgrupowania ludzkiego jest chęć rozejścia się. Jednak właśnie dlatego, że słońca już nie ma, wartość tej konstelacji jest tym większa, szczególnie dla tych w środku. Teraz wszyscy zaczynają gorliwie namawiać znajdujących się w pobliżu ludzi, aby przyłączyli się do grupy, to znaczy, utworzyli jej kolejną warstwę zewnętrzną. Głównym argumentem jest zapewnienie, że i oni za chwilę będą obmurowani przez kolejny szereg ludzi i zazną ciepła. Proces powiększania *pieca* - bo tak się wtedy ten twór nazywał po polsku, albo odpowiednio w jidysz *ojwyn* - trwa jeszcze przez pewien czas, ale chętnych jest coraz mniej, gdyż brak jest *wolnych ludzi*, tym bardziej, że podobne *piece* powstają w innych miejscach obozu. W końcu nadchodzi moment, gdy *piec* jest wielki, ale przestaje rosnąć. Ludzie z pierścienia zewnętrznego widzą, że nikt przed nimi nie stanie, że zatem będą tylko chronić innych przed chłodem a ciepło ich własnych pleców przestaje im wystarczać. Z początku powoli, potem coraz szybciej zaczynają opuszczać zewnętrzną warstwę, obnażając kolejny pierścień, który dla tej samej przy-

czynny rozpada się w błyskawicznym tempie. Po kilku chwilach z pieca nie pozostaje nawet ślad. Rozczarowani i skurczeni z zimna ludzie rozpraszają się na wszystkie strony, ale po pewnym czasie, nieustające zimno znowu skłania ich do tworzenia nowego jądra, które wkrótce obrasta kolejnymi pierścieniami tych, którzy szukają ciepła i t.d. i wszystko znów zaczyna się od początku.

Wreszcie zapadł wieczór. Stanęliśmy jeszcze raz na apelu, po czym nastąpił rozdział chleba: 10 - 12 dekagramów na następne 24 godziny. Teraz mogliśmy wejść do baraku, gdzie było przyjemnie, bo nie wiał wiatr, a nasze ciała ogrzewały wewnątrz. Na polecenie sztabowego zaczęliśmy rozkładać na cementowej podłodze deski, które do tej pory były ustawione wzdłuż ścian baraku. Gdy cała podłoga została pokryta deskami, położyliśmy się na nich, jeden obok drugiego, bo barak, choć duży, z trudem mieścił wszystkich. W kącie obok drzwi wejściowych stało kilka piętrowych prycz, osłoniętych zasłoną. Mieściła się tam sypialnia blokowego, kilku kapo, sztabowego i *szrajbera*.

Po przeciwnej stronie, z dala od tych prycz, ustawiona była beczka dla załatwiania potrzeb naturalnych. Było to konieczne, ponieważ przed zgaszeniem światła, blokowy zamknął drzwi na klucz. Po dwóch nieprzespanych nocach zapadliśmy w głęboki sen. Na szczęście ani tej nocy, ani w ciągu następnych nie musieliśmy korzystać z beczki, do której dojście było bardzo trudne z powodu ciemności i ciasno leżących obok siebie śpiących ludzi.

Następnego dnia zostaliśmy ukarani zbiorowo za jakieś rzeczywiste czy urojone przekroczenie. Gdy po wieczornym apelu weszliśmy do baraku nie pozwolono nam rozłożyć desek na podłodze, ale kazano położyć się na gołym betonie. Tej nocy spałem źle, jeśli w ogóle spałem, a rano wstałem z silnym bólem stawów. Od tej pory miewam bóle reumatyczne, które do tej pory były mi nieznanne.

Po upływie tygodnia od przyjazdu do Oświęcimia zaczęto mówić, że wkrótce i my będziemy wystawieni na sprzedaż, co wszyscy przyjęli z uczuciem ulgi. Istotnie, podczas któregoś z apeli, blokowy potwierdził to i przeczytał z kartki listę specjalności zawodowych, które

będą poszukiwane. Oczywiście nikt nie wiedział, o jaką fabrykę chodzi, ani gdzie się ona znajduje. Rozsądek nakazywał, aby zgłosić możliwie wysoko kwalifikowaną specjalność, gdyż to powinno ze wszystkich możliwych względów dać maksimum szans przeżycia. Niestety, ani ja ani ojciec nie mieliśmy poszukiwanych specjalności. Sądziliśmy, że ryzykowalibyśmy bardzo, gdyby wyszło na jaw, że kłamiemy, co ujawniłaby krótka rozmowa sprawdzająca naszą znajomość zawodu. Konsekwencje tego mogłyby być dla nas bardzo tragiczne. Nie potrafiliśmy sobie także wyobrazić co się z nami stanie, gdy prawda o braku kwalifikacji zostanie ujawniona po przybyciu na miejsce przeznaczenia. Ostatecznie przeważył pogląd, że nie należy cofać się przed niczym, byleby wydostać się z Birkenau. Dlatego też zgłosiłem swoją specjalność jako ślusarz warsztatowiec, zaś ojciec, jako mechanik precyzyjny. Wtedy też po raz pierwszy od czasu przyjazdu do Oświęcimia wpisano nasze nazwiska i imiona na liście wykwalifikowanych robotników.

Następnego dnia zostaliśmy wezwani na specjalny apel, który tym razem dotyczył tylko osób zarejestrowanych na liście zgłoszeń. Było słoneczne przedpołudnie, gdy stojąc w jednym szeregu, a nie dwóch jak zwykle, zobaczyliśmy zbliżającą się ku nam grupę cywilnych Niemców w asyście kilku oficerów SS. Zaczęła się procedura, chyba przypominająca to co musiało się dziać w Ameryce Północnej, gdy wystawiano na sprzedaż świeży transport niewolników z Afryki. Jedyne różnica polegała na tym, że tu nie było licytacji, oraz, że niewolnicy bardzo chcieli aby transakcja doszła do skutku.

Na rozkaz blokowego obnażyliśmy się do pasa, po czym kupcy przystąpili do oględzin. Na szczęście nie było żadnych rozmów i nikt nie usiłował sprawdzać nasze kwalifikacji zawodowe. Za to lustracja była dokładna. Każdego oglądano długą chwilę, niektórym macano mięśnie rąk lub ramion, innym kazano otwierać usta i zaglądano do środka. Czasami kupcy przerywali swoje oględziny i wdawali się w rozmowę między sobą, jak gdyby dyskutując walory poszczególnych więźniów. Kilku spośród nas zostało zdyskwalifikowanych z niewiadomych nikomu powodów. Większość została jednak kupiona, o czym dowiedzieliśmy się po odejściu

komisji. Przyjęliśmy tę wiadomość z wielkim zadowoleniem, jak gdyby wszelkie zło się dla nas skończyło.

Braunschweig / Brunszwik / - Vechelde. Połowa września 1944 - styczeń ? luty ? 1945

Wyjechaliśmy z Oświęcimia po dwunastu dniach. Dziś mogłoby się zdawać, że to okres krótki. Wtedy uważałem, że trudno byłoby tam wytrzymać choćby jeden dzień dłużej. Niestety, prawie niczego nie pamiętam z drogi do Braunschweigu. Zapamiętałem tylko, że w Birkenau po umyciu się wymieniono naszą szmatławą odzież na czystą bieliznę i nowe drelichowe pasiaki. Dostaliśmy także coś w rodzaju beretu oraz onuce. Pozwolono nam zachować własne buty i pasek do spodni. Nie wytatuowano nam jednak numeru na rękę, nie dostaliśmy też naszywki z numerem ani kolorowego trójkąta, oznaczającego rodzaj naszego przestępstwa.

Panował dobry nastrój, gdyż ogólnie panowało przekonanie, że w Oświęcimiu nie mieliśmy najmniejszej szansy przeżycia i że wyjazd, nawet w nieznaną, mógł oznaczać tylko zmianę na lepsze. Uważaliśmy, że staliśmy się jak gdyby obiektem czyjeś inwestycji, że ktoś się nami zajmował. Podczas ostatnich apelów w Birkenau przestaliśmy być zbiorem anonimów i po raz pierwszy sprawdzano naszą obecność według podanej przez nas listy nazwisk. Rutyna ta została zresztą porzucona zaraz po przybyciu do Braunschweigu, ale teraz wywoływano nas według osobistego numeru. Załadowano nas do wagonów o zmroku. Nie pamiętam jakie to były wagony, w każdym razie były kryte, może nawet osobowe. Podróż trwała dwie lub trzy doby. Konwojenci SS siedzieli w tych samych wagonach co my. Przed wejściem do pociągu dano nam po bochenku chleba na osobę, a wodę wydzielano w czasie jazdy. Załatwialiśmy się wewnątrz wagonu, choć nie pamiętam, jak to było zorganizowane. W każdym razie nie wypuszczano nas na zewnątrz, kiedy pociąg zatrzymywał się w polu.

Do Brunszwiku przyjechaliśmy pod wieczór. Duża część transportu pozostała w wagonach, które miały kontynuować jazdę do fabryki opon Continental w Hannoverze. Byliśmy przekonani, że los tych więźniów będzie gorszy od naszego, choćby tylko ze względu na zabój-

czy charakter chemicznego procesu produkcji. Nas zawieziono wielkimi ciężarówkami do dużego kompleksu budynków przemysłowych. Znajdowaliśmy się na terenie fabryki samochodów ciężarowych *Bussing NAG*. Podniosło to nas dodatkowo na duchu. Wierzyliśmy bowiem, że obsługując skomplikowane maszyny, nie będziemy wystawieni na brutalne traktowanie, które mogłoby zaszkodzić produkcji. Istotnie, część naszych oczekiwań sprawdziła się, ale to mogliśmy stwierdzić dopiero później, gdy porównywaliśmy warunki naszej egzystencji z relacjami ludzi, którzy przeszli piekło innych obozów koncentracyjnych. Najbliższe jednak dni zdawały się przeczyć naszym oczekiwaniom, czemu towarzyszył szybki spadek nastrojów.

W Brunszwiku okazało się, że większość więźniów pozostanie na miejscu, a mniejszość licząca sto kilkadziesiąt osób zostanie przeniesiona do innej fabryki - też *Bussinga* - ale położonej w odległości 10 kilometrów od miasta. Wśród tych, których zakwalifikowano do dalszego transportu znalazłem się i ja wraz z ojcem. Nie mieliśmy podstaw, aby zgadywać komu przypadł lepszy, a komu gorszy los, ale byliśmy pełni obaw i złych przeczuc. Ogrom otaczających nas budynków i instalacji zdawał się dawać poczucie większego bezpieczeństwa. Obawialiśmy się, że w nowym miejscu będziemy bardziej bezbronni. Pomyliliśmy się jednak ponieważ ci, którzy pozostali w Brunszwiku mieli znacznie gorzej.

W Brunszwiku spędziliśmy niecałą dobę. Zaczęło się od apelu pod gołym niebem. Przeglądu dokonywał *lagerfuhrer SS-Sturmfuhrer* Kiratein. Był to mężczyzna średniego wzrostu, wieku mego ojca. Zadziwiło mnie jego nazwisko, które występowało często wśród polskich Żydów. Z Żydami nie miał oczywiście nic wspólnego z wyjątkiem nienawiści, której dał wyraz w swym pierwszym wystąpieniu. Nie przypominam sobie co wtedy mówił, ale zapamiętałem jego późniejsze tyrady, które zawsze budziły lęk i przerażenie. Zapytał się jednak życzliwie, czy są wśród nas dyrektorzy banków i księgowi. Kilka osób, przeważnie starszych, wystąpiło naprzód. Kazał im dać łopaty i kilofy i pognął gdzieś do ciężkiej roboty.

Po apelu wróciliśmy do lokalu, którego nie opuszczaliśmy aż do wyjazdu z Brunszwiku. Zetknięcie z Kirsteinem przygnębiło nas, ale pozostawiło trochę nadziei na poprawę losu.

Pozytywne wrażenie wywierało pomieszczenie, w którym byliśmy ulokowani. W kontraście do potwornych baraków-stajen w Birkenau, znajdowaliśmy się w normalnym lokalu fabrycznym zaopatrzonego w centralne ogrzewanie. Korytarz prowadził do umywalni a zarazem ubikacji zaopatrzonej w WC. Nikt nas nie wyganiał na dwór jak w Oświęcimiu i w oczekiwaniu jutrzejszego transportu pozostawiono nas w spokoju. Zbliżał się czas pierwszego posiłku. Spodziewaliśmy się obfitszego jedzenia niż w Oświęcimiu, ale spotkał nas zawód. Rozdzielanie zupy odbywało się jednak w mniej dziki sposób i tym musieliśmy się na ten raz zadowolić.

Późnym wieczorem odbył się drugi apel, tym razem wewnątrz budynku i na komendę nowego *lagerälteste*. Kirstein był przy tym nieobecny. *Lagerälteste*, którego nazwiska ani imienia nie znam, był wysokim, przystojnym Niemcem w wieku około trzydziestu lat. Ubrany był w więźniarski pasiak, ale skrojony i uszyty na miarę. Tkanina była jak gdyby miększa i różniła się od naszego drelichu. Głowy nie miał ogolonej, a na ciemno blond włosach siedziała nieskazitelnie biała czapka narciarska z daszkiem, z tym, że przez wierzch czapki był przeciągnięty czerwony pas farby. Twarz miał zdrową, opaloną i chętnie się uśmiechał. A jednak kiedy przemówił do nas, zamarliśmy ze strachu. Mówił bowiem po żydowsku. Posługiwał się swobodnie dialektem używanym przez Żydów centralnej Polski. Mówiono mi, że pochodzi z Warszawy, że mieszkał wśród Żydów, że miał znajomych Żydów, że poznał ich obyczaje i język. Po wkroczeniu Niemców do Polski zadeklarował się jako *volkdeutsch* i zaczął pracować w gestapo. W Krakowie prowadził z jakimś Żydem czarnorynkowe interesy. Gdy Żyd wpadł, opowiedział w śledztwie o swoim wspólniku z gestapo. Wtedy to *lagerälteste* został zdegradowany i osadzony w obozie koncentracyjnym. Wyraził radość z tego, że będzie naszym szefem, gdyż dzięki temu będzie mógł wyrzucić na nas zemstę za to, co spotkało z ręki owego krakowskiego Żyda. Na zakończenie powiedział, że jeżeli siusiając w WC pozostawimy choćby jedną kroplę moczu na podłodze, to własnoręcznie obetnie jądra temu, kto to zrobi. Po tym apelu zgasła nadzieja na to, że w Brunzwicku mamy większą szansę przeżycia, niż w Oświęcimiu.

W nocy zanim zasnąłem rozległy się syreny alarmowe. Nie pędzono nas jednak do schronu i pozostawiono w spokoju. Nie słyszeliśmy samolotów ani kanonady artyleryjskiej.

Prawdopodobnie bombardowano jakąś pobliską miejscowość, gdyż zaczęły dochodzić do nas jak gdyby głuche stąpnięcia ziemi. Alarm odwołano dopiero nad ranem. Zaczęliśmy się szykować do dalszej drogi. Znowu załadowano nas na wielkie ciężarówki i po niedługiej jeździe zawieziono nas do Vechelde. Nie wiem jak wyglądało to miasteczko, gdyż burty samochodu były wysokie, a myśmy siedzieli na platformie, aby uniknąć obijania w czasie jazdy. Wysiedliśmy już poza granicami osiedla, w terenie prawie wiejskim. Miejscem naszej pracy i zakwaterowania miała być nieczynna od dawna fabryka, którą uruchomiono po tym, gdy zakłady *Bussinga* w Brunshwiku zostały w poważnym stopniu zdewastowane bombardowaniem lotniczym. Nieco później dowiedziałem się, że metoda decentralizacji produkcji była w tym czasie szeroko stosowana w Niemczech, jako sposób zmniejszania strat spowodowanych nalotami lotniczymi. Jeśli by efektywność fabryki Vechelde miała być miarą wartości tej metody, to trzeba by ją uznać za udaną. Z małymi przerwami spowodowanymi tylko nieregularną dostawą surowych odlewów, zakład w Vechelde wytwarzał kompletny tylny most z dyferencjalem oraz przednią oś z piastą dla najcięższego typu dieslowskich ciężarówek Bussing. Produkcja ta trwała nieprzerwanie do momentu ewakuacji obozu na początku 1945 roku.

Prosto z drogi skierowano nas do produkcji. W ciemnej hali fabrycznej znajdowały się różnego typu obrabiarki, otoczone starannie ustawionymi piramidami gotowych już części. Przenoszenie montowanych mostów odbywało się za pomocą elektrycznych dźwigów, sterowanych wyłącznikami umieszczonymi na zwisających z sufitu grubych kablach. Maszyny były obsługiwane przez włoskich jeńców wojennych ubranych w znoszone mundury wojskowe. Ludzie ci wyglądali zmęczeni, ale widać było, że nie zaznali żadnej nędzy. Poruszali się żwawo choć niezgrabnie, gdyż większość miała na nogach drewniane trepy. Nikt z nich nie próbował nawiązać z nami kontaktu i po kilku godzinach wspólnego przebywania w tej samej hali zniknęli, aby nigdy więcej się nie pojawić. Zostaliśmy sami z kilkoma majstrami niemieckimi, którzy pokazali nam, jak obsługiwać maszyny. Między liniami produkcyjnymi chodził stale wartownik SS, uzbrojony w karabin.

Odetchnąłem z ulgą, gdyż w Oświęcimiu podałem się za narzędziowca, nie mając najmniejszego pojęcia o tym zawodzie. Na szczęście dla mnie i mojego ojca cała produkcja w Vechelde opierała się na obsłudze maszyn, które były wyposażone w odpowiednie oprzyrządowanie. Dzięki temu instruktaż majstra mógł być krótki i zrozumiały, tak, że po niewielu minutach - obserwowany przez majstra - dawałem już pierwszą produkcję.

Obsługiwałem dwie maszyny: jedną, która skrawała gwint, drugą, która jednocześnie nawiercała kilka otworów. Praca była na pozór łatwa, ale miała też dwa negatywne aspekty. Po pierwsze obrabiane odlewy metalowe były bardzo ciężkie. Musiałem podnosić je z podłogi i ustawiać w piramidę, ale najbardziej męczące było podtrzymywanie obrabianego detalu jedną ręką, gdy druga zajęta była wsuwaniem odlewu w uchwyt obrabiarki i mocnym dociągnięciem kluczem śruby blokującej uchwyt. Oczywiście krawędzie odlewów były ostre i wkrótce miałem pokaleczone obie dłonie. Najgorszy był jednak ciężar odlewu, który dziś spowodowałby u mnie przepuklinę brzuszną, a wtedy przyczyniał się do szybkiej utraty sił. Brak doświadczenia powodował, że w trakcie wiercenia dziur często łamały się stalowe wiertła, które pozostawały zakleszczone w częściowo nawierconym otworze. Istniał specjalny, żmudny sposób pozwalający wydobyć taki uwięziony, złamany bor. Potrafił to robić majster, natomiast mnie udawało się to z trudem i nie zawsze. Uszkodzone wiertło trzeba było wyjąć szybko, gdyż inaczej obrabiany detale uznawany był za szmelc. Gdy ilość w ten sposób zepsutych odlewów przekraczała kilka sztuk na jedną zmianę, podnoszono groźny zarzut sabotażu. Praca moja była więc ciężka i obarczona napięciem spowodowanym obawą złamania wiertła.

Ojciec mój został ustawiony przy innej linii produkcyjnej i obsługiwał tylko jedną maszynę. Była to bardzo precyzyjna szlifierka, wyposażona w czujniki, które zmuszały go do nieustannego śledzenia przyrządów pomiarowych. Ze zrozumiałych względów był z tego powodu stale napięty, ale na szczęście pracę miał czystsza od mojej, a obrabiane przez niego detale ważyły mniej od moich.

Pierwszego dnia pracy zdarzyło się coś, co wprawiło mnie w ogromne zdumienie i świadczyło o mojej lekkomyślności, albo raczej głupocie. Gdy już przepracowałem godzinę lub dwie zauważyłem kątem oka, że majster, który był moim bezpośrednim zwierzchnikiem stoi oddalony o krok za moimi plecami i śledzi moje ruchy. Nie dziwiło mnie to, choć denerwowałem się, że popełnię jakiś błąd. Nagle odezwał się i przytłumionym głosem zapytał kim jesteśmy i skąd przyjeżdżamy. Dodał przy tym, że poinformowano ich, że jesteśmy żydowskimi kryminalistami ze wschodniej Europy. Nie zastanawiając się nad możliwymi konsekwencjami zacząłem ściszym głosem, ale ze swadą dementować kłamstwo o naszej przestępczej przeszłości i odpowiedziałem w skrócie, że przyjechalśmy z Oświęcimia, gdzie gazuje się i pali Żydów. Zesztywniał słuchając tego. Pomyślałem sobie, że prawdopodobnie nie wie o istnieniu jakiegoś Auschwitz, ani tym bardziej czym jest to miejsce. W końcu wydał jakiś sceptyczny dźwięk i na tym zakończył rozmowę. Nigdy później nie wrócił do tego tematu. Unikał w ogóle rozmów ze mną, ale w tydzień później znalazłem w szafce z narzędziami duży przyłepek starego chleba. Była to dla mnie prawdziwa uczta, która przytrafiła mi się trzykrotnie w pierwszym okresie naszego pobytu w Vechelde. Nie odważyłem podziękować mu za to, bojąc się, że mógłbym go w ten sposób skompromitować. Dozorujący pobliską linię produkcyjną, inny majster imieniem Eryk, który zachodził w okolicę mego miejsca pracy manifestował swą nienawiść do nas. Był jednym z niewielu majstrów, którzy na fartuchu roboczym nosili znaczek "T" *Deutsche Arbeitsfrontu*. Nie chciałem, aby zaskoczył mego majstra w trakcie rozmowy ze mną. Zazwyczaj siadywali niedaleko mnie w czasie przerwy śniadaniowej. Jedli wtedy kilka kromek chleba obłożonych wędliną i popijali kawą z termosu. Widać było, że mimo kilku lat wojny, blokady i bombardowań Niemcy w dalszym ciągu jedli dobrze. Gorzej było z paleniem. Mój majster przed zapaleniem fajki wyciągał z kieszeni coś co wyglądało na cienki, biały patyk. Kładł to na deseczce i ostrym scyzorykiem kroił cienkie plasterki, którymi napychał cybuch. Zapalone, dawało to dym o zapachu tytoniu. Prawdopodobnie były to ususzone łądygi tytoniu, które w normalnych warunkach nie były używane przez palaczy.

W grudniu Eryk, który był znacznie młodszy od mojego majstra, zniknął. Mówiono, że został zmobilizowany do wojska. Nigdy potem nie wrócił już do fabryki.

Pierwszy dzień pracy trwał 10 godzin, ale po kilku tygodniach przedłużono go do 12 godzin. Po zakończeniu pierwszej zmiany weszliśmy do wyznaczonego nam pomieszczenia mieszkalnego. Nie był to barak, ale stary, murowany lokal nieczynnej fabryki. Na szczęście był położony zaledwie o kilkadziesiąt metrów od hali produkcyjnej. Uniknęliśmy dzięki temu losu innych więźniów, którzy oprócz ciężkiej pracy byli także skazani na długi i wyczerpujący marsz do miejsca pracy i z powrotem. Zamieszkaliśmy w dużej sali o cementowej podłodze, na której ustawione były jednopiętrowe prycze. Z sufitu zwisało kilka gołych żarówek. Niewielkie okna fabryczne nie do otwierania, zasłonięte były czarnym papierem do zaciemnienia. Całość umeblowania dopełniała pewna ilość ciężkich zydli. Do sali przylegał mały pokój, w którym znajdowała się prycza *lagerälteste*. Z krótkiego korytarza wchodziło się do umywalni, zaopatrzonej w blaszane koryta i krany, a także umieszczone pod sufitem prysznice. Obok znajdowało się wejście do ubikacji, gdzie zainstalowany był rząd toalet pozbawionych desek sedesowych z urządzeniem do splukiwania wody. Kuchnia znajdowała się w przedłużeniu naszego budynku, ale nie miała bezpośredniego połączenia z pomieszczeniem mieszkalnym. Wchodzili do niej tylko tam pracujący i wprost z dworu.

Wszystkie te budynki oraz składy i szopy oraz hala fabryczna były otoczone wysokim płotem z drutu kolczastego, który z zewnątrz był strzeżony przez wartowników SS. Do kompleksu fabryka-obóz prowadziła szeroka brama, którą rzadko otwierano, gdyż większość odlewów metalowych i innych części niezbędnych dla produkcji wyładowywano na placu na zewnątrz obozu. Wydzielona grupa, zwana *Transport-komando*, a złożona z najsilniejszych więźniów, zajmowała się wnoszeniem tych materiałów na teren fabryki. Koło bramy znajdowała się budka wartownicza obsadzona przez SS-mana. Poprzez druty ogrodzenia widać było znajdującą się nieopodal dużą stodołę, o której mówiono - i słusznie - że jest magazynem wytloków buńczucznych, pozostałych po zlikwidowanej cukrowni. Jeszcze dalej rozpościerały się pola uprawne - o tej porze roku puste - a na horyzoncie las. Byłem spragniony widoku wiejskiego krajobra-

zu, ale sytuacja sprawiała, że nie wywarło to na mnie takiego wrażenia, jakiego bym się dziś ¹¹ spodziewał po sobie.

Przed wydaniem jedzenia zarządzono wieczorny apel. Na szczęście odbył się on w pomieszczeniu mieszkalnym, a nie pod gołym niebem. Wtedy też zobaczyliśmy po raz pierwszy naszego *blokälteste*. Był to Niemiec o imieniu Hermann. Nie wiem, skąd to było wiadome, ani czy odpowiadało to prawdzie, ale po kilku dniach znaleźliśmy w zarysie jego historię. Być może sam opowiedział któremuś z więźniów, ale biorąc pod uwagę sposób, w jaki nas traktował, wydaje mi się to mało prawdopodobne. Z zawodu był podobno marynarzem. Do obozu trafił skazany za morderstwo, co zdawał się potwierdzać kolor trójkąta, t.zw. winkla, przyszytego u góry, z lewej strony więźniowskiej marynarki. Podobno był jednym z tych, którzy na bagnach podhamburskich budowali obóz koncentracyjny Neungamme. Odbywało się to w strasznych warunkach i Hermann był jednym z nielicznych, którzy przeżyli ten okres. Fakt ten nie mógł zadziwić nikogo kto go widział nagim w ubikacji. Był to silny, prawdopodobnie trzydziestoletni mężczyzna o niezwykle atletycznej budowie ciała. Był szalenie umięśniony i przypominał z wyglądu rycinę z atlasu anatomicznego, pokazującą system mięśniowy człowieka. Oczywiście nie było po nim widać śladu głodu, co da się zresztą powiedzieć o wszystkich funkcyjnych w obozach. Podobno kara Hermanna, zwanego w obozie przydomkiem *Bokser*, kończyła się we wrześniu 1939 roku, ale z powodu wybuchu wojny władze zdecydowały się nie wypuszczać go na wolność. Od tego czasu stał się on bardzo agresywny i niebezpieczny dla otoczenia, o czym przekonaliśmy się już pierwszego wieczoru przy fasowaniu zupy. Tym razem pretekstem dla bicia było jego niezadowolenie ze sposobu, w jaki więźniowie ustawiali się przy odbiorze zupy. Chodziło o taki drobiazg jak odległość krawędzi miski od krawędzi kotła, z którego czerpał i nalewał zupę. Krawędzie te powinny według Hermanna ściśle do siebie przylegać, tak aby ani jedna kropla zupy nie padła na podłogę, lub z powrotem do kotła. Wymierzał silny cios chochlą w głowę każdemu, kto pochylony wyciągał oburącz miskę do przodu i starając się spełnić jego żądanie, nie był tego w stanie zrobić. Właściwie nie było to trudne, ale cała procedura pobierania zupy musiała odbywać się biegiem. Przynaglani ciągłym wrzaskiem *Schnell!, Schnell!* więźnio-

wie wiedzieli, że w biegu nie zdołają precyzyjnie utrzymać miski przy kotle, co oczywiście pogarszało sprawę.

Hermann bił mocno. Prawie każdy, kto dostał cios w głowę, krwawił. Biciu towarzyszyły wyzwiska, ale to nie miało żadnego znaczenia. Liczyło się natomiast coś innego. Bijąc chochlą, Hermann rozlewał część zupy, która nie trafiała do miski bitego. A to już była tragedia. Liczyła się bowiem każda łyżka zupy. Po drugie, bijąc metalowym czerpakiem o kształcie półkuli, który był osadzony na długim drzewcu, Hermann powodował odkształcenie chochli. Zewnętrzna powierzchnia czerpaka wgniatała się w skutek uderzeń do środka, zmniejszając jego pojemność. Przyglądałem się temu z rozpaczą, wiedząc, że nikt nigdy nie będzie wyklepywał czerpaka w kierunku zewnętrznym i, że w ten sposób zmniejsza się na przyszłość ilość zupy - jedynego gotowanego posiłku. Byłoby z nami o wiele gorzej, gdyby chochla ta była odkształcana każdego dnia. Na szczęście Hermann rzadko zajmował się rozdawaniem zupy, zlecając tę funkcję sztubowemu. Nie zmienia to jednak faktu, że każdego dnia byliśmy wystawieni na jego szaleństwo, mogące każdego przyprawić o kalectwo.

Po otrzymaniu drugiego i ostatniego w tym dniu posiłku nadszedł czas spoczynku. Wraz z ojcem zajęliśmy jednoosobową, górną pryczę. Nie mogło być inaczej, ponieważ ilość prycz była o połowę mniejsza od liczebności naszej grupy. Tylko kilka, odseparowanych i na razie nie zajętych prycz, przeznaczonych na t.zw. rewir - czyli izbę chorych, pomyślanych było na jedną osobę. Na każdej pryczy leżał siennik wypełniony słomą, za poduszkę służyło zwinięte ubranie, a za przykrycie dwa szare koce, po jednym na osobę. Było ciasno na tej jednoosobowej pryczy, ale nie było niewygodnie. Właśnie wąskość pryczy i podwójne koce sprawiały, że łatwiej było się rozgrzać, a zmęczenie działało jak środek nasenny.

To spanie we dwójkę nigdy nie doprowadziło w naszym obozie do homoseksualnych ekscesów. Prawdopodobnie przyczyną był chroniczny głód i wyczerpanie, które wygaszały wszelki popęd. Seks nie był też nigdy tematem zwierzeń, rozmów czy żartów - rzecz dość popularna w męskim towarzystwie w normalnych warunkach. Praktykował go jedynie Hermann,

który podebrał sobie dwóch młodych chłopców. Był to fakt powszechnie znany, ale nie budził żadnego zainteresowania. Wiedzieliśmy już, że ta forma homoseksualizmu występuje często wśród uprzywilejowanych, dobrze odżywianych i pozbawionych kobiet *blokälteste*. To czego nie rozumiałem ani wtedy ani dziś, to sposób, w jaki ci bardzo młodzi chłopcy mogli z życiem przejść przez selekcję - a w przypadku Oświęcimia nawet dwukrotną - po wyładowaniu na rampie kolejowej obozu. Skoro jednak znaleźli się wśród tych, którym na razie zezwolono żyć, to *pipie* - jak ich nazywano - mieli zapewnioną egzystencję. Byli czyści i odkarmieni, a praca ich, poza nocami spędzonymi w pokoiku *blokälteste*, polegała na wykonywaniu błahych czynności gospodarczych w bloku. Mieli poczucie swojej ważności, bo korzystali z ochrony potężnego protektora. Na ogół nie zadawali się z nikim, ale przyjmowali pochlebstwa tych, którzy w ten sposób próbowali zdobyć dodatkową porcję zupy, lub chleba.

Dźwięk gwizdka budził nas o szóstej. Odtąd robiliśmy wszystko w dużym pośpiechu, aby zdążyć do pracy na siódmą. Do tego czasu powinniśmy byli pójść do ubikacji, umyć się, stanąć na apelu oraz zafasować i zjeść śniadanie. Apel poranny był zawsze ważnym a niekiedy groźnym wydarzeniem. Za czasów Hermanna rozpoczął się od zbiorowego odśpiewania hymnu pochodzącego z Neungamme. Po komendzie *Mutzen ab!* ściągaliśmy gwałtownym ruchem ręki nasze bereto-czapki i zaczynaliśmy głośno intonować:

Dicht bei Hamburg

Steht ein Lager

Mit dem Stahldraht verzaunt

Drei Mai Tausend jungę Manner

Konzentrationaler sind genant

Fruh am Morgen

Los zu Arbeit ..i t.d.

Melodia do hymnu obozowego *Dicht bei Hamburg*



Potem następowały zwykłe rutynowe czynności apelu jak sprawdzanie stanu liczebnego, sprawy chorych, rozkazy i zakazy na dzień bieżący i t.p. Apel dawał Hermannowi często pretekst do skatowania kogoś, kto według niego ruszał się zbyt wolno albo popełnił jakieś rzeczywiste lub urojone drobne przekroczenie.

Przy akompaniamencie dzikich wrzasków i plugawych wyzwisk Hermann chwycił oburącz pierwszą z brzegu pryczę i na ślepo okładał nią uciekającą przed nim ofiarę, którą w końcu zapędzał do kąta. Nieszczęsny człowiek siedzący na ziemi podkurczał nogi i rękami starał się osłonić głowę, na którą spadał grad ciosów. W trakcie bicia prycza z reguły rozpadała się na kawałki. Dlatego też po każdym takim apelu malała ilość prycz, a zwiększała się ilość sienników wykładanych na podłodze. Ofiara bicia zmuszona była oczywiście pójść do pracy. Tu jednak okazywało się, że część pobitych nie była w stanie obsłużyć maszyn. Niektórzy mieli tak wielkie obrzęki wokół oczu, że nie byli zdolni do obserwacji przyrządów pomiarowych. Inni nie mogli ruszać ramion wskutek pobicia, wszyscy zaś krwawili i wyglądali przerażająco. Żaden z majstrów nie dopytywał się, co się stało, ale nikt z pobitych tego dnia nie pracował. Niektórzy nie mogli pracować nawet przez kilka dni.

Było oczywiste, że sprawa zakłóceń w produkcji dotarła do kierownictwa fabryki. Kilkakrotnie pojawiali się jacyś nieznani cywile, którzy dyskutowali z majstrami. Raz przy takiej okazji zawołano kilku pobitych, których demonstrowano w milczeniu. Pewnego dnia zjechał również Kirstein w towarzystwie kilku oficerów SS oraz znanego nam *lagerälteste* z Brunszwiku. Czuliśmy, że coś się stanie. Istotnie, wkrótce potem Hermann został przeniesiony do obozu w Brunszwiku. Jego miejsce zajął nowy *blokälteste*, także Niemiec o imieniu Willi, który zaprowadził inny reżym. Przestaliśmy śpiewać podczas apelu porannego i było trochę łatwiej żyć.

Willi był mężczyzną w średnim wieku. Silny, choć nie tak muskularny jak Hermann, wyróżniał się początkami łysiny i dużym, mięsistym nosem o kolorze ciemno czerwonym, często spotykanym u alkoholików. Pochodził podobno z Dortmundu, a do obozu trafił za sutenerstwo. Willi oczywiście też bił, ale widać było, że w przeciwieństwie do Hermanna nie wyżywał się w

tym zajęciu. Bił przede wszystkim w obecności SS-manów, gdy widzieli, że wykonuje swe obowiązki jak należy. Przy takich okazjach nie bił więcej, niż wymagała tego sytuacja. Był raptusem i grubianinem w tym sensie, w jakim można się tego spodziewać po ciężko obciążonym kryminaliście. Zirytowany byłe głupstwem popełnionym przez więźnia mógł mu wymierzyć tęgi kopniak, albo na odlew uderzyć w twarz.

Oto charakterystyczne epizody, które ukazują stosunek Willego do bicia. Grupa tragarzy, która pracowała poza drutami, miała niekiedy szansę zbliżenia się do stodoły, gdzie przechowywane były wytloki buraczane. Bardziej przedsiębiorczy członkowie tej grupy ryzykowali wślizgnięcie się do magazynu, gdzie napychali kieszenie wytlókami, przeznaczonymi na karmę dla bydła. Stanowiły one cenny środek wymienny, za który można było dostać kawałek chleba, zupę, a przede wszystkim najeść się do syta. Pojemność kieszeni była jednak mała i dlatego tragarze zaczęli podwiązywać sznurkiem nogawki spodni, sypiąc w nie wytloki. Z początku nikt nie zwracał na to uwagi. Na dworze było zimno i podwiązane spodnie mogły chronić przed chłodem. Któregoś dnia jeden z tragarzy został zrewidowany przy wejściu do obozu przez wartownika, który zwrócił uwagę na jego wypchane nogawki spodni. Po doraźnym pobiciu delikwent został wpuszczony na teren obozu, a finał sprawy rozegrał się podczas wieczornego apelu.

Byliśmy ustawieni w dwa szeregi, zwróceniu ku sobie twarzami. Na wolnej przestrzeni między nami przechadzał się *Kommandofuhrer* z rękami założonymi do tyłu. Był to najwyższy rangą SS-man na terenie obozu, który wygłaszał teraz pełne gróźb przemówienie na temat kradzieży wytlóków. Karą miało być przysłowiowe *Funf und zwanzig am Arsch*. Uzbrojony w gruby pas i stojący dotąd na uboczu Willi postawił na środku zydel. Wskazany przezeń, wystraszony więzień wystąpił z szeregu, spuścił spodnie i kalesony i położył się brzuchem na zydlu. Willi zamachnął się z całej siły i uderzył. Zgodnie z obowiązującą procedurą więzień zawołał *Eins*. Biciu przyglądał się *Kommandofuhrer* z uśmiechem na twarzy. Po piątym uderzeniu i odliczeniu, opuścił miejsce egzekucji, a Willi natychmiast przerwał bicie. Upewniwszy się, że nikt z zewnątrz nie patrzy, poderwał brutalnie nieszczęśnika na nogi i kazał wciągnąć spodnie. Zbity i

oszołomiony więzień robił to wolno i niezgrabnie, powodując, że zniecierpliwiony tym Willi we- 16
pchnął go, kopiąc kolaniem w tyłek do szeregu.

Zwrócony ku nam Willi, wsadził ręce do kieszeni spodni i zgodnie ze swym ulubionym zwyczajem, rytmicznie ugiął i wyprostowywał oba kolana w takt swego monologu. Opowiedział, że gdy mu w Dachau - bo stamtąd przyjechał - zakomunikowano, że będzie *blockälte*ste nad Żydami w Vechelde, ucieszył się zrazu. Myślał, że będzie miał do czynienia ze sprytnymi ludźmi, za jakich przecież Żydzi uchodzą. Spotkał go jednak zawód. Jak się okazało - dodał - nie jesteśmy Żydami, a głupimi dupami (*Arschlöcher*) Tu głos jego przeszedł w gniewny krzyk: *Nie umiecie kraść!* - wrzeszczał. *Jak się nie umie kraść, to się nie kradnie* - zakończył.

Drugi epizod dotyczył mego kuzyna Abrama, który wraz ze swym młodszym bratem znajdował się w tym samym co my obozie. Abram był w stosunkowo niezłej kondycji fizycznej i przez pewien czas był nawet wyznaczony do pracy w *Transportkommando*. Zaliczał się do małej grupy więźniów, którzy gotowi byli podjąć ryzyko, gdy tylko nadarzy się sposobność zdobycia czegoś do jedzenia. Któregoś dnia w czasie pracy postanowił wrócić do naszego pomieszczenia, gdzie z wyjątkiem grupy więźniów odsypiających nocną zmianę nikt nie miał prawa przebywać. Tym razem nie chodziło o jedzenie, ale o możliwość dodatkowego spania. Przypadek sprawił, że podczas nieobecności Abrama miała miejsce wizytacja z udziałem między innymi Kirsteina. Gdy grupa Niemców doszła do opuszczonego stanowiska pracy, Willi szepnął najbliższemu więźniowi, aby natychmiast pobiegł na blok i poszukał Abrama. Kilka chwil później zjawił się obudzony i przerażony Abram. Na jego widok Willi bluznął wyzwiskami, krzycząc między innymi: *Czego tak długo siedzisz w sraczu? Czy masz sraczkę?* Trudno przewidzieć, jaką cenę zapłaciłby Abram, gdyby nie uratowała go interwencja Willego.

Trzeci przypadek odnosi się do mnie. Którejś niedzieli wolnej od pracy przyjechał Kirstein, który wraz z *Kommandofuhrerem* i Willim zajął się sprawami ewidencyjnymi więźniów. Przy tej okazji otrzymaliśmy blaszki z wytłoczonym numerem, które odtąd mieliśmy nosić zawieszane na szyi. Oprócz numeru dostaliśmy kolorowe oznaczenie, klasyfikujące rodzaj popeł-

nionej przez nas zbrodni. Miało ono być umocowane na górnej lewej stronie naszych pasiaków. Znak ten składał się z dwóch trójkątów: żółtego, który oznaczał Żyda i czerwonego, oznaczającego kryminalistę. Gdy się nakładało te trójkąty jeden na drugi, do góry nogami, powstawała t.zw. gwiazda Dawida. Była to więc po prostu dawna *łata* żydowska z dodatkiem kryminalnym, choć tym razem przyczepiana tylko z przodu, a nie jak w getcie, również na łopatce. Wszystkie inne znane mi oznaczenia obozowe składały się zawsze tylko z jednego barwnego trójkąta.

Kiedy nadeszła moja kolej zgłoszenia się po numer i oznaczenie, musiałem się chyba zagapić, bo zareagowałem na wezwanie z pewnym opóźnieniem. To wystarczyło, aby Willi rycząc *Du Schweinhund!* wymierzył mi tyłem dłoni silne uderzenie w twarz. Byłem tym zaskoczony i po raz pierwszy w obozie poczułem się poniżony. Po dziś dzień nie wiem, dlaczego tak na to zareagowałem. Byliśmy przecież upokarzani przez cały czas i często w sposób bardziej dotkliwy, niż to co mnie właśnie spotkało, a jednak nie wywierało to na nas żadnego wrażenia. Po prostu nie liczyło się. Prawdopodobnie poczucie stałego zagrożenia życia i głód eliminuje ból powodowany poniżeniem.

Willi różnił się od Hermanna nie tylko mniejszą gotowością do bicia. W przeciwieństwie do niego nie był homoseksualistą. Co więcej, umiał nawiązywać kontakty z kobietami a nawet - co w warunkach obozu musiało być czymś wyjątkowym - miewał stosunki seksualne. Poruszając się swobodnie po hali produkcyjnej Willi poznał jakąś biuralistkę, która zachodziła tu w sprawach służbowych. Każdy z nas widywał go uśmiechniętego w rozmowie z tą kobietą. Niekiedy znikali razem w którymś z małych magazynów, przylegających do hali fabrycznej i wtedy mówiono, że ma z nią stosunek. Innego na to dowodu nie było.

Willi pozbył się także od razu *pipli*. Jego zainteresowania - po za seksem - zwracały się w inną stronę. Był próżny i przykładął wielką wagę do elegancji. Dzięki staraniom jednego z naszych krawców jego więźniowski pasiak został przekształcony w dobrze skrojoną dwurzędową marynarkę. Wokół szyi wiązał czerwoną chusteczkę, która kokietyjnie wybrzuszała się z otwartego kołnierza białej koszuli à la Słowacki. Pasiakowe spodnie, zawsze odprasowane, były

na dole poszerzone kloszowo zgodnie z wymogami mody przedmieścia. Palce zdobił pierścień i sygnet wypilowany z miedzi przez jednego z naszych grawerów. Także szewc zarabiał dodatkowe zupy za zelowanie pantofli Willego oraz za ozdobne blaszki miedziane, którymi kazał sobie obić kanty obcasów.

Panowało przekonanie, że względna łagodność Willego spowodowana była faktem, że potrafił sobie zorganizować normalne życie seksualne. Wątpię czy dałoby się to naukowo uzasadnić, ale kontrast z czasami rządów Hermanna był tak uderzający, że ulegliśmy temu złudzeniu.

Nasza egzystencja w Vechelde zależała nie tylko od zmiennych nastrojów Hermanna i Willego, ale także od jedzenia, a właściwie od braku jedzenia. Dostawaliśmy jeść dwa razy dziennie. Rano - kromkę ciemnego chleba o wadze 12 do 15 dkg, kawałek margaryny wielkości kostki cukru, albo łyżkę marmolady z buraków. Do tego kubek gorącej kawy, ugotowanej na jakieś namiastce. Porcje chleba nie były ważone. Kroił je kucharz, dzieląc na oko podłużny bochenek na dwie części, potem każdą taką część znowu na dwie części i td. Zakładając, że nie kierował się złą wolą, nie był on w stanie kroić tak, aby wszystkie porcje były identyczne. W naszym odczuciu różnice między poszczególnymi porcjami były olbrzymie. Ktoś komu trafiła się trochę większa kromka odchodził w dobrym nastroju, ten komu przypadła mniejsza, opuszczał kolejkę zgnębiony.

Po odbiorze chleba trzeba było zdecydować jak nim gospodarować. Większość z nas dokonała wyboru już dawno, ale mimo to każdego ranka trzeba było ten wybór ponawiać. Rozstrzygano ten problem w sposób dwojaki. Niektórzy - a tych była chyba mniejszość - zjadali cały chleb od razu. Twierdzili, że w ten sposób najedzą się. Nie do syta, gdyż to było niemożliwe, ale zjedzą wszystko. Argumentowali także, że w ten sposób zabezpieczają się przed kradzieżą. Istotnie, kradzieże chleba zdarzały się, choć bardzo rzadko. Przyczyną było chyba to, że chleb trudno było ukraść. Ktoś, kogo przyłapano na kradzieży chleba, spotykał się z powszechnym potępieniem i surową karą, wymierzaną przez współwięźniów. Spałem kiedyś w

dzień po nocnej zmianie, gdy zbudziło mnie łomotanie i krzyk bólu. Nieopodal dwóch więźniów biło drewnianymi trepami po głowie kogoś, leżącego na górnej pryczy obok. Wszyscy byli z tej samej nocnej zmiany, a jednemu z nich zginął kawałek chleba, przechowywany pod wezgłowiem. Zrozpaczony poniesioną stratą, obudził kolegę i we dwóch zaczęli obszukiwać zawiniątka, służące śpiącym za poduszkę. U jednego znaleźli skradziony chleb, który był oznaczony w specjalny sposób. Nie wiem, czym by to się skończyło, ponieważ nikt nie starał się przerwać tego bicia, gdyby na salę nie wpadł *Pfleger*, zaalarmowany krzykiem bitego.

Większość zjadała połowę chleba na śniadanie, a drugą zachowywała na wieczór. Niektórzy zjadali zachowaną część chleba około południa, kiedy majstrowie mieli przerwę w pracy i zabierali się do drugiego śniadania, które nam dodatkowo zaostrzało głód.

Wieczorem fasowaliśmy zupę. Była wodnista, zawierała trochę warzyw, głównie brukwi i niewielką ilość kartofli, które były prawdziwym rarytasem. Zupa mogła być w jeszcze większym stopniu niż ranny chleb powodem radości lub upadku ducha. Miara zupy była dla wszystkich ta sama, ale jej gęstość decydująca o pożywności mogła być bardzo różna. Wszyscy doskonale znali mechanizm, powodujący to zróżnicowanie i starali się postępować tak, aby dostała im się jak najgęstsza zupa. Gdy dwaj więźniowie stawiali przyniesiony z kuchni kociołek, formowała się natychmiast kolejka czekających z miskami w rękach. Nigdy jednak początek kolejki nie znajdował się przy parującym kociołku. Pierwszy w kolejce stawał zawsze w odległości kilku starannie odmierzonych kroków od miejsca wydzielania zupy. Gdy *blokälteste* lub inny funkcyjny zabierał się do nalewania zupy, przekonywał się, że nie ma nikogo, kto stałby z gotową miską. Wiadomo było bowiem, że pierwsze zupy zaczerpnięte z wierzchu kociołka będą bardzo rzadkie, gdyż wszystko co gęste znajdowało się na dnie. Opisana tu sytuacja powtarzała się każdego wieczoru, doprowadzając *blokälteste* do wściekłości. Miotając obelgi i groźby, popychając rząd ludzki do przodu, wymierzając tu i ówdzie kopnięcie lub uderzenie w głowę, zmuszał w końcu kolejkę do przyjmowania zupy. Nie wszyscy jednak godzili się z tym od razu. Niektórzy usiłowali raz jeszcze uciec z przodu kolejki na jej koniec, nawet jeżeli ściągali na siebie

dodatkowe ciosy *blokälteste*. Tym którym udało się zainkasować zupę, gdy kociołek był opróżniony do połowy, powiodło się dobrze.

Ale nie wszystkim. Największe rozczarowanie przeżywali jednak ci, którzy pewni, że na nich przypadnie gęsta zupa, zostali w ostatniej chwili zatrzymani przez Willego. Nie było to jednak pomyślane: jako szykana, ale jako sposób sprawiedliwego dzielenia zupy. Gdy poziom zupy osiągał połowę zawartości kociołka, a zupa nabierała pożądanej gęstości, Villi przerywał na chwilę rozdzielanie i przywoływał z kuchni nowy kociołek, który dolewał do poprzedniego. Przez to zupa znów stawała się rzadsza. Rozpacz tych, na których to wypadło, nie miała granic.

Zmartwienia związane z rozdzielaniem zupy nie były dla nas nowe. Występowały one także i w getcie. Tam jednak presja robotników fabrycznych była na tyle skuteczna, że nikt z personelu kuchni nie odważyłby się postępować tak jak Willi. Tak było przynajmniej u nas, na warsztacie elektrotechnicznym. Rozdzielający zupę wyławiał z kotła 3 małe kawałki kartofla, które pokazywał na dnie czerpaka odbierającym zupę, a następnie dobierał resztę płynnej substancji. Cała procedura trwała kilka chwil i była wykonywana z wielką wprawą.

Nie ulega wątpliwości, że byliśmy zafiksowani na punkcie głodu i jedzenia. Cierpieliśmy głód również w getcie, ale nie znosiliśmy go tak źle, jak w obozie. Myślę, że gdyby porównać ilość jedzenia, to okazałoby się, że w obozie dostawaliśmy mniej niż w getcie. Ale trzeba także uwzględnić dwa inne fakty: do getta weszliśmy jako normalnie odżywieni ludzie, do obozu zaś trafiliśmy osłabieni i wyniszczeni głodem. Działał tu także pewien moment psychologiczny. W getcie istniała świadomość, że może się zdarzyć coś nieprzewidzianego, co da nam trochę dodatkowego jedzenia. Mieliśmy tam wprawdzie ściśle reglamentowany system kartkowy, ale przydziały z tygodnia na tydzień nie były identyczne i czasami mogły być trochę lepsze, choć najczęściej bywały gorsze. Część ludzi miała maleńkie działki, które latem dawały trochę zielenizny. Niekiedy getto obiegała wiadomość, że nadszedł niespodziewany, dodatkowy transport brukwi. Część takich pogłosek istotnie sprawdzała się. W getcie rozwinięto także sztuki wykorzystania każdego jadalnego odpadka dla zaimprovizowania jakiejś potrawy. Wreszcie w

getcie istniał przez pewien czas system talonów specjalnych dla chorych, który pozwalał lekarzowi wypisać receptę na 2 kilogramy obierzyn kartoflanych, realizowanych w kuchniach publicznych.

W obozie dawano jeść dwa razy dziennie. Nie było przy tym żadnej nadziei, że cokolwiek może się pod tym względem zmienić na lepsze. Tylko raz, dosłownie jeden raz, wszyscy otrzymali dodatkową zupę.

Było to 3 dni po wielkim bombardowaniu Hildesheim. Przywieziono wtedy kompletnie skisłą, lecz pożywną zupę, który prawdopodobnie pozostała po akcji dożywiania tego miasta. Smak przyprawy maggi przypominał mi wrzesień 1939 roku, kiedy to Niemcy z *Hilfszug Bayern* rozdzielali na ulicach Warszawy zupę po kapitulacji stolicy. Prawda, można było przy dobrych znajomościach uzyskać prawo oskrobania łyżką ścian kociołka po zakończonym rozdawaniu zupy. Staranne oskrobanie, które wymagało głębokiego skłonu w głąb kociołka mogło dać powyżej pół talerza, ale za to gęstej zupy. Niestety, z przywileju tego korzystała tylko jedna osoba i najczęściej ta sama.

Co się mnie tyczy, to jeśli abstrahować od nielicznych przypadków, gdy majster podrzucił mi kawałek chleba, nic nigdy mi się nie przytrafiło. Nękany głodem, dwukrotnie próbowałem jeść rzeczy niejadalne, ale musiałem tego zaniechać. Raz wypilem trochę bezbarwnego i bezwonnego oleju dla celów technicznych. Złakłem się jednak zatrucia, gdyż wiedziałem, że nie mogę liczyć na żadną pomoc medyczną. Innym razem próbowałem żuć świeże, pachnące żywicą wióry stolarskie. Czytałem kiedyś, że w okolicach dotkniętych głodem ludzie ratowali się jedząc korę z drzew. Liczyłem na to, że może wióry będą miały podobną wartość odżywczą. Zrezygnowałem z tego, ponieważ żucie wiórów było obrzydliwe, a głód nie znikał. Jedno przynajmniej było mi oszczędzone. Nie cierpiałem głodu nikotynowego. Sytuacja nałogowych palaczy była najgorsza. Pozbawieni tytoniu zbierali opadłe liście dzikiego grona, porastającego jedną ze ścian fabryki. Po skruszeniu, wsypywali je w tutki skręcone z pergaminowego papieru, w jakie pakowane były łożyska kulkowe. Smród takiego palenia był obrzydliwy. Biedacy, nie mogli

nawet zbierać niedopałków z podłogi, ponieważ Niemcy sami cierpieli niedostatek tytoniu. Zresztą większość z nich, łącznie z SS-manami paliła fajkę, nie pozostawiając żadnych niedopałków. Palacze byli jednak zawsze gotowi wymienić kawałek chleba lub zupę na odrobinę tytoniu, jeżeli okazja taka w ogóle się zdarzyła.

Przyfabryczny obóz w Vechelde obejmował zrazu głównie Żydów z getta łódzkiego oraz z Węgier, z wyjątkiem kolejnych *blokälteste* i jednego sztubowego, którzy byli Niemcami. Z biegiem czasu wsiedlono do nas kilku nie-Żydów, z których zapamiętałem tylko Francuza Jacques'a oraz dwóch Rosjan. Jacques był kucharzem obozowym. Z nieznanymi mi przyczyn nie sypiał w tym samym pomieszczeniu co my, ani nie stawał na apelu. Podobno był członkiem ruchu oporu we Francji. Starszy z Rosjan był majorem armii radzieckiej, którego przeniesiono do nas z obozu jenieckiego za jakieś przewinienie. Drugi z Rosjan, imieniem Iwan, był młodym lekko flegmatycznym człowiekiem, który w armii radzieckiej pełnił funkcję sanitariusza. Iwan kulał w wyniku odniesionej rany frontowej. Jako jeńiec był zesłany do jednej z kopalń węgla w Zagłębiu Ruhry, skąd usiłował zbiec. Schwymano go i posłano do nas. Było rzeczą oczywistą, że osadzenie nie-Żyda w naszym obozie oznaczało gwałtowne pogorszenie jego sytuacji, z czego przynajmniej zdawali sobie sprawę obaj Rosjanie.

W odróżnieniu od wszystkich znanych mi obozów koncentracyjnych nasz obóz nie miał pełnej obsady funkcyjnych. Przede wszystkim nie było tu kapo, który gdzie indziej siał postrach i grozę. Jego funkcję, polegającą na terroryzowaniu więźniów przejął u nas *blokälteste*. Nie było też *szrajbera* który przejąłby administrację i ewidencję. Te nieskomplikowane czynności wykonywał w Vechelde *blokälteste*. Poza nim było tylko dwóch sztubowych, którzy działali na jego zlecenie. Był także żydowski lekarz, doktor Friedlander z Berlina. Ten niskiego wzrostu i antypatyczny człowiek demonstrował wobec SS-manów swój oschły stosunek do chorych. Być może, że w ten sposób chciał sobie zaskarbić jakieś ich względy. Lekarzowi pomagał *pflieger* Iwan, będący czymś w rodzaju pielęgniarza i felczera. Jego stosunek do chorych był dobry. Funkcyjni nie cierpieli głodu i żyli życiem chronionym, jeżeli to w ogóle było możliwe w obozie

koncentracyjnym. Było rzeczą dobrą mieć jakąś funkcję, albo przynajmniej mieć dobre stosunki z którymś z funkcyjnych. Niestety, ani ja ani ojciec nie mieliśmy takich znajomości.

Także ilość i postura SS-manów w obozie w Vechelde odbiegała od tego, co do tej pory widziałem gdzie indziej. Nie wiem, ilu ich było, ale zapamiętałem kilku. Prawdopodobnie było ich mniej, niż w innych obozach, co być może tłumaczy się tym, że teren przez nich dozorowany był dość mały, a ilość więźniów nie przekraczała 150. To co było najbardziej uderzające, to różnica wyglądu. SS-mani z Oświęcimia a także z *Sonderkommando*, którzy deportowali do komór gazowych dziesiątki tysięcy Żydów z getta łódzkiego byli na ogół młodzi i uosabiali typ wyidealizowanego Germanina, spotykanego na okładkach propagandowych czasopism hitlerowskich. Załogę w Vechelde stanowili SS-mani w średnim i starszym wieku, którzy sprawiali wrażenie jak gdyby nie nadawali się do służby frontowej. Oczywiście byliśmy dla nich podludźmi, godnymi pogardy, ale nie manifestowali tego w sposób tak agresywny, jak robił to Kirstein, wartownicy z Oświęcimia albo SS-mani z *Sonderkommando*.

Szefem w Vechelde był podoficer SS, nazywany *Kommandofuhrer*. Był to mężczyzna około 50 lat o nie-wojskowej postawie. Szpakowaty i średniego wzrostu miał twarz o drobnych rysach. Gdy przemawiał do nas, często się uśmiechał, ale towarzyszyły temu zawsze złośliwości. Robił co do niego należało, ale nie był sadystą. Pamiętam też wartownika, któremu należało w porę ustąpić z drogi. Kto tego nie zdążył obrywał kilka ciosów, albo był skopany jego podkutym butem. Był to zwalisty i jak gdyby pochylony, ciemny typ o ponurej twarzy, w niczym nie przypominający wyglądem wzorcowego aryjczyka. Z innym wartownikiem znalazłem się kiedyś w hali fabrycznej, gdy pracowałem na nocnej zmianie. Musiał się chyba bardzo nudzić, gdyż przysiadł koło mojej maszyny i przyglądał się, jak pracuję. Należy dodać, że w hali było prawie pusto, gdyż podczas nocnej zmiany czynna była tylko część maszyn. Najpierw upewnił się, że nikt nas nie widzi, po czym zaczął ze mną rozmawiać. Nie pamiętam dokładnie przebiegu rozmowy, ale w pewnym momencie, gdy powiedziałem mu, skąd pochodzę, ożywił się wyraźnie. Opowiedział mi wtedy, że we wrześniu 1939 roku zajmował Litzmannstadt, i, że tam właśnie w czasie walk stracił palec u ręki. Pokazał mi przy tym swą dłoń rzeczywiście po-

zbawioną jednego palca. Tym razem nie popełniłem błędu i nie wdałem się w żadne wyjaśnienia na temat tego, kim jesteśmy, co nas spotkało i t.d. Przez moment zaistniała jednak dziwna sytuacja, w której on jak gdyby odnalazł coś, co jest nam wspólne, to jest to, że obaj byliśmy kiedyś w tym samym miejscu. Wprawilo go to w taki nastrój, że trzymając karabin między kolanami, rozpiął szynel i wydobyl portfel. W chwile później pokazal mi. dwie fotografie, przedstawiające jego zone i kilkoro malych dzieci. Epizod ten nie mial zadnych nastepstw sie i ten SS-man nigdy juz wiecej z niczym do mnie nie zwracal.

Trzeci SS-man, ktorego pamietam, to rosly, nieco podstarzaly podoficer o zlosliwym usposobieniu, ktory zawiadywal obozowa kuchnia. Byl taki moment okolo poludnia, kiedy w kuchni spuszczano pare z kotlow. Nie wiem, dlaczego to bylo robione, ale wtedy okna i drzwi kuchni byly otwarte na ościez, a wydobywajaca sie przez nie gesta para tworzyła przez kilka minut nieprzenikliwa zaslonę. Wiadomo bylo takze, ze obok drzwi znajduje sie stol, na ktorym byly ulozone bochenki chleba. Fakt ten byl od czasu do czasu wykorzystywany przez smialkow, ktorzy ryzykujac wiele, wpadali do kuchni i porywali porcje chleba, zanim para zdazyła sie rozwiac. Wiedzial o tym takze szef kuchni, ktory od czasu do czasu staral sie schwytac sprawce kradziezy chleba. Ktoregos razu nakryl na goracym uczynku jednego z ryzykantow, ktory kilkakrotnie karany byl chlosta za tego rodzaju przewinienie. Byl to mlody czlowiek o nazwisku Adam Mehl, ktory w czasie apelu wieczornego zostal wywolany z szeregu przez szefa kuchni. Tym razem nie bylo bicia. Po przemowieniu szefa na temat zbrodni kradziezy chleba, Mehl musial wejsc na zydel i z polecenia SS-mana zjesc ochlap surowego, zylastego miesa w calosci, przy uzyciu tylko jednej reki. Spektakl ten trwal dosc dlugo, a Mehl zalany potem i lzami z trudem przeleykal twarde, przeroznięte scięgnio, dlawiac sie i wstrzasany ciaglymi torsjami. Obecny przy tym *Kommandofuhrer* oraz szef kuchni zasmiowali sie serdecznie.

Innym typem byl *SS-Sturmfuhrer* Kirstein, ktory wprawdzie normalnie przebywal w Brunszwiku, ale jako najwyzszy lokalny zwierzchnik SS mial pod soba miedzy innymi oboz w Vechelde, do ktorego czesto zajezdzal w celu dokonywania inspekcji. Byl on fanatycznym antysemita i wygladal na niezle ocytanego w przedmiocie. Przypominam sobie charakterystyczne

zdarzenie na krótko przed ewakuacją z Vechelde, gdy coraz częstsze naloty aliantów - teraz także w dzień - powodowały wielogodzinne alarmy lotnicze i równie długie przerwy w produkcji.

Jeden z takich alarmów zastał Kirsteina na terenie fabryki. Zamiast udać się z resztą personelu niemieckiego do specjalnego bunkra przeciwlotniczego, zszedł on wraz z nami do piwnicy fabrycznej, przeznaczonej na nasz schron. Bombardowania były gdzieś daleko i w piwnicy zaległa cisza. Siedzieliśmy na podłodze możliwie z dala od Kirsteina, który uśmiechając się złośliwie rozpoczął monolog. *Wojna się kończy, nieprawda? Pewnie się uda przeżyć tych Niemców? Wiem dobrze, jak to sobie wyobrażacie. Po wojnie wybierzesz się do Ameryki, do Nowego Yorku. Gdzie byłoby ci lepiej? Na początku będziesz skromnie sprzedawał krawaty na ulicy. Za rok można cię będzie zobaczyć jak pchasz wózek załadowany towarem. Ale patrzcie co się dzieje po trzech latach? Oto goj ciągnie żydowski wózek, a Żyd przechadza się jak hrabia po chodniku. Za kilka lat będziesz milionerem, a potem panem całej Ameryki!* W tym miejscu Kirstein przerywał swą przepowiednię i roztoczył obraz zagłady, która będzie nam zgotowana przed końcem wojny. Uświadomiłem sobie wtedy, że nie ma na co liczyć, aby w nadciągającym chaosie klęski wojennej Niemcy o nas zapomnieli. Wierzyłem każdej jego groźbie, bo czułem jego nienawiść i pogardę. Znamienne było, że gdy zwracał się do któregoś z nas, rzadko używał słowa *Żyd*, które być może kojarzyło mu się z naszą przynależnością do gatunku ludzkiego. Chętniej używał w takich przypadkach terminu *figura*. *Dwie figury do mnie!* - wołał, gdy przyzywał do siebie dwóch więźniów.

Kiedyś dwaj zdesperowani więźniowie uciekli. W obozie zapanował napięty nastrój, który ustąpił po trzech dniach. Mówiono, że nieszczęśnicy leżeli pod deszczem kilka dni w kartoflisku, po czym sami zgłosili się na policję. Nie wrócili nigdy do obozu i przekazano ich w ręce Kirsteina. Przy najbliższej inspekcji powiedział nam, że zostali powieszani.

Zarówno hala fabryczna jak i pomieszczenie mieszkalne nie miało ogrzewania, mimo chłodnej jesieni i zbliżającej się zimy. Była to dość normalna sytuacja dla kraju prowadzącego wojnę i od pewnego czasu intensywnie bombardowanego. Bieda w tym, że nasza odzież

składała się tylko z bielizny i dwuczęściowego drelichu, szczególnie zimno było w hali produkcyjnej, której wrota były wielokrotnie w ciągu dnia otwierane na oścież podczas przyjmowania metalowych odlewów i wysyłki gotowej produkcji. Niemcy znosili ten chłód dobrze. Byli przecież syci, a przede wszystkim odpowiednio ubrani.

Po wieczornym apelu było trochę lepiej. Byliśmy rozgrzani miską gorącej zupy, a resztę czasu przed spaniem spędzaliśmy siedząc lub leżąc na pryczach. Ciepło wydzielane z ciał zgromadzonych tu ludzi powodowało, że temperatura była tu wyższa, niż w fabryce. Na szczęście było nam oszczędzone wielogodzinne wystawanie na apelu pod gołym niebem, które w innych obozach siało spustoszenie wśród więźniów. Apele pod gołym niebem zdarzały się również i u nas, ale z reguły tylko w niedziele, jeżeli tego dnia nie szliśmy do pracy.

Po kilku tygodniach od wyjazdu z Oświęcimia nasza odzież zaczynała ujawniać pierwsze ślady zniszczenia. Część więźniów ignorowała te sygnały, natomiast inni - wśród nich ja i mój ojciec - starali się - przyszywać odpadające guziki i prujące się ścięgi oraz reperować co tylko się dało. W obiegu znajdowała się jedna, lub dwie igły, ale nici do szycia trzeba było wyciągać z własnego koca. Inny kłopot sprawiała bardzo brudna bielizna, choć na razie brud nie zagrażał całości naszej odzieży. Trzeba dodać, że myliśmy się samą wodą, gdyż mydła nie mieliśmy. Po pewnym niezbyt długim czasie zarysowała się różnica między tymi, którzy starali się dbać o swą odzież, a tymi, którzy tego zaniechali. Ci ostatni - a była to mniejszość - przestali się myć, stawali się apatyczni i szybko przekształcali się w ludzi naznaczonych piętnem bliskiej śmierci, nazywanych w obozie *muzułmanami*. Upadek tej grupy więźniów wkrótce przestał być ich tylko wyłączną sprawą, bo wszy, które wprawdzie pojawiły się u nich, zaczęły przenosić się na innych. Myślę, że Niemcy pracujący z nami w tym samym lokalu musieli to zauważyć i podnieść jakiś alarm. W każdym razie, którejś niedzieli wolnej od pracy, zamiast apelu zarządzono coś w rodzaju akcji odwyszawienia. Kazano nam rozebrać się do naga i położyć na podłodze odzież zwiniętą w węzełek. Po raz pierwszy i jedyny został uruchomiony dla nas ciepły prysznic i dostaliśmy kawałek szarego mydła. Ciepłej wody starczyło tylko dla pierwszej grupy

kąpiących, reszta musiała poprzestać na zimnej. Jedna szmata służyła za ręcznik dla wszystkich, który od razu też napęczniał wodą.

Tymczasem na dziedzińcu fabrycznym ustawiono duży blaszany kocioł na ruszcie. Kilku odkomenderowanych więźniów rąbało stare deski na szczapy, inni zaś dbali, aby ogień nie wygasł, a woda w kotle zaczęła się gotować. Niestety dzień był deszczowy i zimny. Po kilku godzinach okazało się, że zła pogoda i mokre drewno uniemożliwiają zagotowanie się wody. Na domiar złego zaczęło się ściemniać i dzień zbliżał się ku końcowi. Mimo to Willi zdecydował się wrzucić węzełki z odzieżą do nie-gotującej się wody. Oczywiście zimna odzież wrzucona do cieplej, ale nie wrzącej wody obniżyła tylko jej temperaturę. Mimo rozpaczliwego dokładania do ognia nie udało się doprowadzić kotła do stanu wrzenia. Było już ciemno, gdy deskami wyciągano ociekające wodą szmaty, które jeszcze niedawno były naszą odzieżą. Zawieszono je na krótko na drutach kolczastych, otaczających obóz, prawdopodobnie w nadziei, że wyschną, ale ponieważ deszcz w dalszym ciągu padał zaniechano i tego. Owinięci w koce przyglądaliśmy się temu ponuro z poczuciem pełnej bezradności. Kiedy wreszcie wniesiono te szmaty pod dach i rzucono na kamienną podłogę, wszyscy rzucili się na ociekający wodą stos, aby wyrwać dla siebie możliwie najlepsze rzeczy. O odnalezieniu własnych rzeczy nie mogło być mowy, ponieważ węzełki rozwiązały się w kotle. Wśród wrzasków i popychania każdy łapał tyle, ile był w stanie. Wielu przeżyło prawdziwą tragedię, gdyż zamiast jako tako zadbanej odzieży przypadły im w udziale zapuszczone i podarte łachmany. Komuś w tłumie spadły okulary, które zostały natychmiast rozgniecione nogami. Człowiek, którego to spotkało nie miał żadnych szans uzyskania zastępczych szkielec, wskutek czego jego niewielka szansa przeżycia zmniejszyła się dodatkowo.

Jeżeli chodzi o mnie i o mojego ojca, to wyrwaliśmy ze sterty rzeczy gorsze od tych, które mieliśmy jeszcze rano, ale w porównaniu z innymi wyszliśmy obronną ręką. Nasza obecna bielizna była w gorszym stanie od poprzedniej, ale jeszcze jako tako cała. Gorzej było, że zamiast długich kalesonów dostały nam się tym razem krótkie. Skutki tego nieszczęsnego prania

okazały się dalekosiężne, ponieważ wszy z zapuszczonej odzieży zainfekowały wszystko, co znajdowało się w kotle. Po upływie kilku dni wszyscy byli kompletnie zawszeni i od tej pory żadne wysiłki zmierzające do zachowania osobistej czystości nie miały już znaczenia. Pojawił się natomiast nowy rytuał, gdy wieczorem przed pójściem spać wszyscy obnażali się do pasa i tłocząc pod zapalonymi żarówkami czyścili bieliznę od wszy. Podobnie jak inni doszedłem w tym do dużej wprawy. W czasie krótszym niż pół godziny potrafiłem wykryć i zgnieść między paznokciami większość wszy ukrywających się w szwach i fałdach. Było tego zawsze powyżej setki sztuk, nie licząc jajeczek, które oblepiały cienki sznurek zawieszony na szyi i przewleczony przez blaszkę z moim numerem. Po tym zabiegu odczuwało się wyraźną ulgę, ale następnego dnia od południa wszystko wracało do stanu poprzedniego i wieczorem trzeba było wszystko zacząć od nowa. Byliśmy natomiast zupełnie bezradni wobec wszy pasożytujących na miejscach owłosionych.

Wbrew potocznemu mniemaniu, wszy nie są najgorsze z pośród europejskich pasożytujących insektów. Ukąszenie wszy jest dość słabe, a obrzydzenie, którego doświadcza każdy, kto ich nie ma, zanika u człowieka zawszonego. Wszy bardziej swędzą niż gryzą, a jeśli zapomnieć o niebezpieczeństwie tyfusu plamistego, to w ostateczności akceptuje się ich obecność. O wiele gorsze są pluskwy, o czym przekonałem się w getcie, ale których w obozie nie było. Najgorsze są jednak pchły. Ukąszenie pchły jest nie tylko bolesne, ale przypomina porażenie prądem elektrycznym. Trudno jest też schwytać pchlę, a oczyszczenie odzieży czy pościeli metodą łapania ich, jest absolutnie niemożliwe. Wspominam o tym dlatego, ponieważ tuż przed likwidacją obozu w Vechelde dopadła nas prawdziwa klęska pcheł. Pojawiły się one nie wiadomo skąd i zrazu dokuczały tylko sporadycznie. Pewnej jednak nocy wszyscy zostali zaatakowani przez inwazję pcheł. Nie bacząc na to, że za kilka godzin czekał nas dzień pracy, zapalono światło i wszyscy wyskoczyli z prycz. Po dwóch chwytałyśmy koc z obu stron i wytrząsałyśmy go energicznie, podobnie jak to się robi, gdy pozbywamy się piasku na prześcieradle kąpielowym, po pobycie na plaży. W słabym świetle żarówek widać było jak z koca odpada wielka liczba małych, czarnych ziarenek. Nie wiem, co byśmy poczęły z tą nową, okropną plagą, gdyż

wytręzione z koca wracały natychmiast na to samo miejsce. Następnego dnia jednak nastąpiła ewakuacja obozu, a wraz z tym koniec tego nieszczęścia.

Z nastaniem zimy marzliśmy coraz bardziej, szczególnie w czasie długich godzin pracy. Wkrótce ktoś dokonał wynalazku. Jeżeli w grubym, papierowym worku po cemencie wyrwać trzy dziury: jedną na głowę i dwie po bokach na ręce, to powstawało coś w rodzaju bezrękawnika, który wepchnięty pod więźniarski pasiak dawał dobrą ochronę przed wiatrem i chłodem. Niestety dostęp do tych worków mieli tylko ci, którzy pracowali w *Transportkommando*. Worek taki można było kupić u nich, ale płacić trzeba było porcjami chleba. Niektórzy decydowali się na to, dla mnie nie wchodziło to jednak w rachubę. Szukając materiału zastępczego postanowiłem wykorzystać t.zw. papier pergaminowy, w jaki były zawinięte sprowadzane ze Szwecji łożyska kulkowe. Były to dość duże łożyska, to też papier ten po rozprostowaniu miał powierzchnię trochę większą od chustki od nosa. Każde łożysko było opakowane w dwa papiery, z których jeden był powleczony grubą warstwą tawotu i nie nadawał się do użytku. Musiałem rozpakować wiele pudełek z łożyskami, aby nagromadzić odpowiednią ilość papieru. Właściwa praca polegała na tym, aby podwójnie złożone arkusze zeszyt - również pergaminowymi cienkimi paseczkami - w większe płaszczyzny, które z kolei zszywałem w rodzaj bezrękawnika. Dawało to nie gorszą ochronę od wiatru i zimna, niż worek od cementu, ale było o wiele mniej trwałe. Do czasu likwidacji obozu w Vechelde sporządziłem kilka tego rodzaju kamizelek, które pomogły mi przetrwać pierwszy czas zimy.

Zdarzyło to się w drugiej połowie grudnia. Wróciłem z pracy bardzo zziębnięty i postanowiłem, że tym razem zrezygnuję z próby zdobycia gęstszej zupy, byle by była bardzo gorąca. Nie miałem z tym żadnej trudności, ponieważ każdy chętnie ustępował mi miejsce na początku kolejki, wiedząc, że pierwsze zupy są zawsze najzadsze. Zacząłem łapczywie pochłaniać zupę, aby ogrzać się wewnątrz. W pewnej chwili zachłysnąłem się i zacząłem kasłać. Nagle poczułem, że mam w ustach grudę jakiejś galaretowatej substancji wielkości dużej śliwki. Kiedy obejrzałem to na dłoni, okazało się, że była to krew. Ogarnęło mnie przerażenie. Właściwie powinienem był się tego spodziewać, zważywszy, że na rok przed likwidacją getta miałem już rozpoznaną gruźlicę płuc i od czasu do czasu odpluwałem krwią. Z przyczyn dla mnie zu-

pełnie niezrozumiałych te objawy gruźlicy całkowicie ustąpiły w końcowym okresie getta, w Oświęcimiu a także w Vechelde. Tak źle jak teraz nigdy to jednak nie wyglądało. Opowiedziałem co mi się zdarzyło ojcu, z którym naradziłem się, co robić. Zdecydowaliśmy, że za-³₄ ryzykuję zgłoszenie choroby, licząc na to, że uzyskam czasowe zwolnienie z pracy.

Według obowiązujących w Vechelde norm, o zwolnienie z pracy można się było ubiegać, gdy termometr wykazywał powyżej 39,5 stopnia. Ci którym pozwolono zostać przeniesili się z dotychczasowej dwuosobowej pryczy na jednoosobową w rewirze. Rewir był mały i składał się z 15 - 20 prycz, również ustawionych piętrowo. Na górnych pryczach leżeli chorzy, którzy nie mogli już wstawać; na dolnych, ci w lepszym stanie. W rewirze nie było żadnego basenu ani innego naczynia do którego chorzy mogli by się załatwiać. Zakładano, że każdy musi o własnych siłach dostać się do ubikacji. Niekiedy, chorzy leżący na parterowych pryczach byli zanieczyszczani, tym co ściekało z góry. Ten stan rzeczy zdarzał się jednak rzadko i trwał krótko. Ci z górnych pryczy albo się szybko poprawiali i schodzili na dół, albo umierali, lub też odjeżdżali najbliższym transportem samochodowym, który co tydzień dowoził nam żywność i zabierał z powrotem dużą skrzynię ze zwłokami. Co się działo z tymi, którzy wyjeżdżali z obozu, tego nikt nie wiedział. W każdym razie żaden z nich nigdy nie pojawił się już w Vechelde. Oczywiście podejrzewaliśmy najgorsze, tym bardziej, że podczas swoich inspekcji, Kirstein kilkakrotnie złowrogo reagował na raport Willego o aktualnej liczbie chorych w rewirze. Wyrażając niby zdziwienie z powodu zbyt wielkiej liczby zwolnień z pracy, dodawał, że doktor Mengele dopytuje się o nasze zdrowie i że chętnie weźmie naszych chorych do swego sanatorium.

Zgłosiłem się więc do Iwana, który po zmierzeniu mi gorączki uzyskał dla mnie zwolnienie u doktora Friedlandera. Po porannym apelu, gdy wszyscy pomaszerowali do pracy położyłem się na dolnej pryczy. Zażywałem rozkoszy odpoczynku i spokoju. W południe przyniesiono z SS-mańskiej kuchni wielki aluminiowy garnek na dnie którego znajdowała się odrobina gęstej manny, ugotowanej na ocukrzanej wodzie. Iwan starannie wybrał te resztki i rozdzielił między chorych. Na każdego przypadło pół talerza tej dobroci, oprócz normalnego, dziennego przydziału zupy i chleba. Ulegałem złudzeniu, że jestem syty. Muszę dodać, że przed położeniem się w rewirze nie byłem ważony, jako, że nie było wagi. Przyjrzałem się swej wychudzonej

klatce piersiowej, na której ostro rysowały się żebra. Od tego czasu aż do końca pobytu w rewirze, t.zn. przez siedem dni zaczęły w moim organizmie zachodzić cuda. Po upływie dwu dni ustąpiła gorączka i krwioplucie. Każdego dnia obserwowałem, jak wypełnia się powierzchnia mojej klatki piersiowej, a rysunek żeber staje się coraz mniej widoczny. Czułem się silniejszy, gdy po tygodniu opuściłem rewir. Było to pod koniec 1944 roku i aż do pierwszej połowy kwietnia roku następnego byłem wolny od symptomów choroby. Nie wiem jak to było możliwe, ale powtarzam raz jeszcze, że tak było naprawdę.

Rewir nie miał żadnych leków. Wyposażony był tylko w kilka żyłek, jakiś żółty płyn dezynfekujący oraz rolki papieru toaletowego, które używane były wyłącznie jako bandaże. Przypadek sprawił, że nikt w Vechelde nie złamał żadnej kończyny. Wielu z nas cierpiało natomiast na nieogające się i powiększające rany oraz ropnie, które nie leczone mogły okazać się groźne. Była to też jedyna dziedzina, w której chirurgia doktora Friedlandera, któremu asystował Iwan okazywała się często skuteczna. Mimo, że operował żyłką i pozbawiony był prawie wszystkiego, uzyskiwał niezłe rezultaty. Jeżeli chodzi o internę, to po za zwolnieniem z pracy, leżeniem na pryczy i dodatkowym talerzem manny, medycyna obozowa nie miała niczego do zaofiarowania. Czasami wystarczało jednak nawet to.

Wyjeżdżając z Oświęcimia do Brunszwiku mieliśmy bardzo krótko ostrzyżone głowy. Po kilku miesiącach w Vechelde włosy podrosły na tyle, że przeciągając dłonią po głowie wyczuwałem gęstą, miękką szczotkę. W tym samym mniej więcej czasie, kiedy nieudana próba odwyszawienia odzieży doprowadziła do powszechnego zawsznienia, zarządzono strzyżenie głów. Tym razem robiono to inaczej, niż w Oświęcimiu. Strzyżono nas podobnie jak tam tępą maszynką, ale pozostawiono włosy długości mniej więcej ćwierć centymetra. Ponadto środkiem głowy, od czoła ku potylicy wystrzyżono pas szerokości maszynki, dochodzący do samej skóry. Powstało coś, co nazywano Lausepromenade, choć nigdy nie udało mi się palcami wyczuć, czy wszy rzeczywiście wędrowały tą przesieką.

Nie bardzo przypominam sobie, jak w owym czasie wyglądałem. Byłem tym - w sposób dziś dla mnie niepojęty - zupełnie niezainteresowany. Prawda, w umywalni był jakiś kawałek lusterka, którym posługiwali się golący, ale ja z powodu słabego zarostu i tępych żyłek

korzystałem z przywileju niegolenia się, a więc i nie oglądania swej twarzy w lusterku. Na uparte tego można się było przejrzeć w szybce okna fabrycznego, lub w kałuży wody, ale było mi to obojętne. Natomiast ilekroć znajdowałem się na dworze, a słońce choć trochę przyświecało, nie mogłem oderwać wzroku od mego cienia na ziemi, a ściślej, od cienia głowy. Z początku zdumiewał mnie kontur mojej czaszki z regularnym wycięciem w środku. Po kilku tygodniach przywykłem jednak do tego i nie robiło to na mnie większego wrażenia, niż kiedy spoglądałem na głowę ojca, lub innych więźniów.

Ze zrozumiałych względów sprawy bytowe absorbowały niemal całkowicie moją świadomość, podobnie jak świadomość ojca i wszystkich innych. Mówi się, że człowiek żyje nie samym tylko chlebem, ale ma także potrzeby duchowe, które stara się zaspokoić. Jeszcze dziś trudno mi powiedzieć, w jakim stopniu twierdzenie to odnosiło się do mnie, a także jakie te potrzeby były. Łatwiej jest przywołać z pamięci te przejawy życia duchowego, których w Vechelde nie było, albo znaczyły niewiele, a występują u ludzi żyjących w normalnych warunkach. Mam tu na myśli nie tylko ewentualną potrzebę konsumowania sztuki, lub jej tworzenia, ale w ogóle wszelkie myślenie, które nie odnosi się do pragmatyki sposobu przeżycia.

Czytałem wspomnienia byłych więźniów obozów koncentracyjnych, którzy twierdzą, że wiara w Boga pomogła im przetrwać najgorsze próby. Inni opowiadali o modłach w obozie, a nawet o obchodzeniu świąt, w najbardziej niesprzyjających warunkach. Byli i tacy, którzy właśnie na skutek przeżyć obozowych oskarżali Boga o pasywność, albo tracili zupełnie wiarę. Wspólne dla nich wszystkich było to, że myśli ich były w ten czy inny sposób zaabsorbowane sprawami religii. Nie wiem, w jakim stopniu ten stan rzeczy był typowy dla innych obozów koncentracyjnych, ale w Vechelde sprawy wyglądały inaczej. Sprawom Boga i wiary nie poświęcałem żadnej myśli. Było to logiczne, zważywszy, że jako komunista byłem ateistą. W getcie problematyka religii nie była mi obojętna, ponieważ stanowiła część składową walki ideologicznej, zwróconej przeciwko religii, pojmowanej jako, opium dla ludu. Ten aspekt religii stracił jednak dla mnie wszelkie znaczenie w Oświęcimiu i Vechelde, a inne aspekty religii dla mnie po prostu nie istniały, albo nie podejrzewałem ich istnienia.

Ale jak to wyglądało u innych? Odpowiedź na to pytanie nie jest zupełnie pewna, ponieważ nie prowadziłem na ten temat z nikim rozmów. Mogę natomiast stwierdzić, że nikt nie obchodził sabatu ani innego święta, które miały niezauważone, nikt też się nie modlił, przynajmniej w sposób dający się zaobserwować z zewnątrz. Ważniejsze jednak było to, że taka tematyka jak: Bóg, wiara, nadzieja w opiekę boską, rozterki czy też gniew z powodu braku interwencji boskiej nie były przedmiotem rozmów między ludźmi. Istnieją więc powody, aby sądzić, że sprawy religii nie zaprzętały umysłów ludzi w Vechelde, mimo, że nie byli oni ateistami z przekonania i że w normalnych warunkach wielu z nich wierzyło i praktykowało.

Polityka natomiast absorbowwała mnie, choć w stopniu ograniczonym w porównaniu z tym jak to było w getcie. Teraz zainteresowanie moje koncentrowało się na wydarzeniach frontowych, gdyż w rozwoju sytuacji wojennej szukałem odpowiedzi na pytanie, jakie mamy szanse przeżycia. Pod tym względem nie różniłem się od reszty więźniów, choć uważałem, że moje analizy są bardziej kompetentne. Przekonanie, że rozumiem lepiej wynikało stąd, że jako członek organizacji w getcie byłem szkolony ideologicznie i uczestniczyłem w odprawach poświęconych aktualnej sytuacji politycznej. Oceny te były robione w sposób inteligentny i oczywiście naświetlały wydarzenia z punktu widzenia interesów ZSRR. Nie mniej ważny był fakt, że autorzy tych ocen dysponowali okruciami informacji z prasy niemieckiej i być może z radia, które były niedostępne dla większości mieszkańców getta. Ten właśnie szerszy aspekt polityki światowej, obejmujący takie sprawy jak na przykład sprzeczność interesów wewnątrz koalicji antyfaszystowskiej, stracił dla mnie wszelkie znaczenie. Inna sprawa, że pozbawiony dostępu do źródeł informacji, nie miałbym możliwości zajmowania się tymi sprawami, nawet gdybym tego pragnął. Gazety niemieckie przenikały do nas w Vechelde gorzej niż w getcie. Być może personel niemiecki miał zakaz zabierania gazet do pracy. Raz tylko owpadł mi w ręce kawałek *Braunschweiger Zeitung*, z którego dowiedziałem się o ofensywie niemieckiej w Ardenach i to w czasie przełamania linii amerykańskiej. Byłem zgnębiony tą wiadomością, gdyż zdawała się przekreślać nasze szanse przeżycia. Jest rzeczą zdumiewającą, że gdy rozważałem prawdopodobieństwo przetrwania wojny brałem pod uwagę tylko czynnik czasu. Wojna się przedłużała, a my traciliśmy resztki sił w przyspieszonym tempie. Czy wytrzymamy? Nie brałem natomiast

pod uwagę możliwości, że możemy po prostu zostać zlikwidowani na chwilę przed końcem. Znamienne było także to, że nikt inny nie brał jakoś tej możliwości pod uwagę, mimo, że wielu Żydów zamordowano właśnie tuż przed samym końcem wojny, w tym także w Niemczech północnych. Spraw tych nie dyskutowałem z nikim, uważając, że z nie-marksistami nie miałyby to sensu. Jedynym partnerem moich rozmów na tematy polityczne był wspomniany już rosyjski major, który odnosił się do mnie życzliwie, ale i bardzo powściągliwie. Głównym tematem naszych rozmów nie były jednak sprawy polityki światowej. Nie ukrywałem przed nim mego entuzjazmu wobec Związku Radzieckiego i pragnąłem dowiedzieć się w szczegółach, jak wygląda codzienne życie w jego kraju. Domyślając się jakich relacji oczekiwałem od niego, dostarczał mi je chętnie, ale zachowywał umiar w opisie realiów, powstrzymując się od wszelkiej krytyki systemu.

Wiadomo, że w oficerskich obozach jenieckich w Niemczech dopuszczano coś w rodzaju legalnego życia kulturalnego. Prowadzona bywała np. akcja odczytowa, niektórzy uczyli się języków obcych, a nawet organizowano amatorskie imprezy rozrywkowe.

Według niektórych wspomnień więźniów gułagu, czasami w łagrach występowały jakieś skromne przejawy życia kulturalnego. Ktoś przemycił książkę, która była czytana. Niektórzy prowadzili tajne dzienniczki, a nawet pisali utwory literackie. Mogło się zdarzyć, że po pracy ktoś zagrał na organkach, lub zanucił piosenkę. W książce *Amerykanin w gułagu*, obywatel USA więziony w sowieckim łagrze wspomina, że opowiadając treść filmów amerykańskich ztwardziałym recydywistom-urkom, zyskał ich opiekę i dostawał jedzenie.

W niemieckim obozie koncentracyjnym nie było miejsca na żadne przejawy życia kulturalnego. Egzystencja nasza była bowiem tak marna, że wykluczała wszelką potrzebę kulturalną, jaka mogłaby się ujawnić w naszym środowisku, niezależnie od zakazu władz. Chyba, że za przejaw życia duchowego uznać rozmowy prowadzone w piwnicy fabrycznej podczas coraz częstszych i dłuższych alarmów lotniczych. Cechą wyróżniającą te rozmowy od zazwyczaj prowadzonych było to, że nie dotyczyły one obozowego życia. Miały one charakter wspomnień nostalgicznych, z których duża część obracała się wokół spraw kulinarnych. Muszę wyznać, że i ja, podobnie jak inni byłem zafascynowany opowieściami o wspaniałych ucztach, które w grun-

cie rzeczy składały się z prostych potraw. Bezpośrednim skutkiem tych opowiadań była wzmożona gra wyobraźni, która wyczarowywała ulubione jedzenie sprzed wojny, albo zestawiała menu na teraz. Przy tej okazji dokonywałem odkrycia, jak mało kosztowało jedzenie w przedwojennej Polsce. Na tej podstawie robiłem drobiazgowo kalkulacje, w jaki to sposób będę w przyszłości jadł obficie i tanio, wychodząc z milczącego założenia, że ceny żywności będą wtedy takie same jak latem 1939 roku. Bo istotnie, jeżeli bułka kosztowała 5 groszy, a kilogram kartofli mniej więcej to samo, to było rzeczą oczywistą, że za kilka groszy można będzie jeść po królewsku. Pod tym względem przyszłość rysowała się obiecująco, choć trochę niepokoiliła myśl, dlaczego nikt tego przedtem nie zauważył. Mogłoby się zdawać, że zapomniałem nauki szkolenia ideologicznego w getcie oraz obrazy wielkiej nędzy, jaką spotykałem w Łodzi przed wojną.

Oczywiście, to myślenie i rojenie nie miało nic wspólnego z zaspakajaniem jakichkolwiek potrzeb kulturalnych. Było jedynie próbą oderwania się od realiów egzystencji obozowej. Ale nie jedyną.

Gdy życie nasze weszło już w utartą koleinę rutyny obozowej i pracy fabrycznej, wynalazłem swój własny, prywatny sposób ucieczki od rzeczywistości. Praktykowałem to dość często, ale tylko w godzinach pracy, gdyż jedynie wtedy nie byłem nagabywany przez nikogo.

Najczęstszą ucieczką w krainę fantazji było marzenie o budowie własnego jachtu żaglowego, zdolnego do dalekomorskich podróży. Robiłem to bardzo skrupulatnie i zdarzało się, że wielokrotnie wracałem do rozwiązanego już problemu technicznego, aby wprowadzić jakieś udoskonalenie. Czasami - jeżeli okoliczności na to pozwalały - szkicowałem na pustych pudełkach po łożyskach kulkowych fragmenty jachtu i jego wyposażenia. Nie mniejszą przyjemność dawało mi planowanie marszrut żaglowca, które zawsze wiodły w kierunku mórz południowych. Aby to fantazjowanie dawało jak największe złudzenie rzeczywistości starałem się nie unikać trudnych sytuacji, które w tego rodzaju przedsięwzięciu musiały nieuchronnie występować. Pomijałem jednak w tej grze dwa istotne problemy, w jaki sposób finansować taką żeglugę oraz, jak przeżyć długotrwały sztorm na morzu.

Innym tematem mych marzeń i gry wyobraźni była wycieczka, jaką przed wojną odbyłem w czasie wakacji letnich na trasie Rabka - Turbacz - Krościenko. Nie wiem dlaczego, ale właśnie ta - zresztą bardzo ładna trasa - zapadła mi szczególnie w pamięci, mimo, że odbyłem kilka o wiele bardziej atrakcyjnych wycieczek w Tatrach, Gorcach i Czarnohorze. Wraciałem jednak na tę trasę wielokrotnie w myślach, odtwarzając z fotograficzną dokładnością piękne krajobrazy, szum wiatru i zapach lasu.

Istniała jednak pewna sprawa o której ani ja, ani nikt nie mówił i której nie dopuszczałem do świadomości. Zmowa milczenia otaczała losy naszych najbliższych, z którymi w sposób nagły zostaliśmy rozłączeni w czasie selekcji, zaraz po wyjściu z wagonów na rampie oświęcimskiej. Na szczęście widziałem przez krótką chwilę matkę po tym, gdy przeszła już przez czysciec, a więc gdy znalazła się wśród tych, którym na razie pozwolono żyć. Tego trzymaliśmy się z ojcem mocno, ale powstrzymywaliśmy się spekulacji na temat jej późniejszych losów. Ta niepełna wiedza o Oświęcimiu, którą wtedy mieliśmy i o obozach koncentracyjnych w ogóle, była wystarczająco przerażająca, aby nie ważyć się na jakąś próbę przewidywania jej szans przeżycia. Po dziś dzień nie jestem w stanie pojąć, dlaczego rozmowa na temat matki była obłożona przez nas jakimś tabu, chociaż nigdy nie umawialiśmy się co do tego. Nie byliśmy też na tyle przesądni, aby wierzyć, że mówienie o niej może jej w jakiś sposób zaszkodzić. Jedno jest jednak absolutnie pewne: to nasze zdumiewające zachowanie na pewno nie było spowodowane nieczułością. Być może działał tu jakiś mechanizm obronny organizmu, który półświadomie wypierał z naszych głów straszne przewidywanie, którego nie byliśmy w stanie przyjąć do wiadomości. Zakładając oczywiście, że taki mechanizm w ogóle istnieje.

Nigdy z nikim nie poruszałem tej sprawy i nie przypominam sobie, aby ktokolwiek wypowiadał się na ten temat wobec innych. Nie potrafię też potwierdzić lub zaprzeczyć czy ludzie w swej samotności borykali się z myślami o swych najbliższych, których lękali się stracić.

Po powrocie do Łodzi w sierpniu 1945 roku dowiedzieliśmy się z ojcem, że matka została zabita przez hitlerowców w styczniu - lutym tegoż roku w Wejherowie na Pomorzu. Do styczniowej ofensywy radzieckiej była osadzona w obozie w Sztuthofie. W czasie odwrotu niemieckiego została wraz z innymi kobietami zmuszona do morderczej ewakuacji w kierunku za-

chodnim. Później szczątki tych kobiet zostały ekshumowane i pochowane na cmentarzu żydowskim w Łodzi.

Ewakuacja z Vechelde przyszła zupełnie nieoczekiwanie, choć coraz częstsze przerwy w produkcji zdawały się wskazywać, że musi to nastąpić. Mimo niedostatku informacji na temat tego co się dzieje na świecie, wyczuwaliśmy, że wojna zbliża się ku końcowi, choć na pozór wszystko toczyło się po staremu. Któregoś ranka, a mogło to być w lutym 1945 roku, zjechały wielkie ciężarówki, te same, które produkowaliśmy i zabrały nas w kierunku, z którego kiedyś przyjechaliśmy. Wyszadzono nas w zakładach *Bussing NAG* w Brunszwiku i połączono z innymi więźniami, już uformowanymi czwórkami w kolumny marszowe. W trakcie tej reorganizacji zniknął z naszych oczu Willi i SS-mani z Vechelde. Bezpośrednią władzę objęli nieznani konwojenci SS, którzy poprowadzili nas ulicami miasta w nieznanym kierunku. Tym razem nie dostaliśmy żadnego prowiantu na drogę. Szliśmy jezdnią w biały dzień, a chodnikami śpieszyli ludzie odwracający głowę na nasz widok. Obecność nasza była niemal całkowicie ignorowana, mimo, że wyglądaliśmy okropnie i akompaniował nam donośny stukot drewnianych trepów.

Przyglądałem się miastu z zainteresowaniem, gdyż nigdy dotąd nie byłem zagranicą, jeśli nie liczyć dwudniowej wycieczki szkolnej do Gdańska w 1938 roku. Prowadzono nas prawdopodobnie przez centralną część miasta, gdyż mijaliśmy bardzo ładne domy w stylu secesji, których zewnętrzne mury pozostały prawie nieuszkodzone, natomiast wnętrza były całkowicie wypalone. Tu i ówdzie można było dostrzec ładną tapetę czy ozdobny piec, lub kominek przyczepiony do ściany. Szerokie ulice wysadzone były rozłożystymi, liściastymi drzewami. Środkiem jezdni jechały tramwaje o innych kolorach, niż łódzkie. Wkrótce wyszliśmy z miasta i kontynuowaliśmy marsz asfaltową szosą, w dalszym ciągu nie wiedząc dokąd idziemy. Po pewnym czasie zaczął padać zimny deszcz i poczułem narastające zmoczenie. Na szczęście, tempo marszu nie było zbyt duże, choć z drugiej strony nie zarządzono żadnego postoju. Tu i ówdzie szyk kolumny zaczął się łamać, gdyż wielu nie było w stanie dotrzymać kroku. SS-mani stawali się coraz bardziej rozdrażnieni, aż w końcu padła komenda *Einhaken!* Zaczepiliśmy się nawzajem zgiętymi łokciami, dzięki czemu słabsi mogli wesprzeć się na silniejszych, a rozsypana się kolumna znów przybrała pierwotny kształt.

Po drodze mijaliśmy kilkakrotnie grupy angielskich i amerykańskich jeńców wojennych, prowadzonych pod konwojem w kierunku przeciwnym od naszego. Byli jak i my przemoczeni do nitki i wyglądali żałośnie, choć nie tak okropnie jak my. W pewnym miejscu, w pustym polu, od szosy którą szliśmy odłączyła się nowo zbudowana droga, prowadząca jak gdyby do nikąd. Skręciliśmy na nią i szliśmy tak długo, aż zaczęło cię ściemniać. Byliśmy kompletnie przemoczeni i wyczerpani, gdy dotarliśmy do wielkiej bramy z napisem *Hermann Goering Werke*, Watenstedt. Po wojnie ustaliłem, że przebyliśmy około 20 kilometrów, choć wtedy droga wydawała się dłuższa.

Watenstedt – Ludwiglust, Luty 1945 – 2 maja 1945

Największe luki w mojej pamięci występują w okresie między ewakuacją z Vechelde a zakończeniem wojny. Nie dotyczy to z reguły chronologii, ale czasu trwania poszczególnych zdarzeń jak również niemożności przypomnienia sobie wielu faktów. Przypuszczam, że przyczyną mógł być szybko pogarszający się stan zdrowia oraz początek apatii, która powodowała spadek zainteresowania otaczającym mnie środowiskiem.

Na razie jednak Watenstedt wywarł na mnie duże wrażenie. To co widzieliśmy nie było żadnym miastem ani osiedlem. Był to gigantycznych rozmiarów kombinat metalurgiczny, który wielkością oraz rozwiniętą siecią kolejową przypominał przemysłowe miasto. Mijaliśmy wielkie budynki fabryczne oraz biurowce, konstrukcje mostowe i dźwigi, przekraczaliśmy wiele torów kolejowych. Na pozór urządzenia te były nietknięte, ale znajdowały się w stanie bezruchu. Dopiero bliższy ogląd ujawniał, że wszystko to było uszkodzone nalotami bombowymi. Panowała powszechna cisza nie oczekiwana w takim ośrodku przemysłowym.

W końcu dotarliśmy do obozu. Był to normalny obóz koncentracyjny przypominający wyglądem bardziej Oświęcim niż Vechelde, choć nieporównanie mniejszy. Przydzielono nas do jednego z baraków, na środku którego znajdował się żelazny piec z rurą wpuszczoną w dach.

Oprócz kilku stołów i zydli, były tam ustawione piętrowe prycze, z których każda przeznaczona była dla dwóch więźniów.

Nie pamiętam, jak wyglądali, ani kim byli funkcyjni tego bloku. W przeciwieństwie do Vechelde był ich tu pełny komplet: a więc prócz *blokälteste* był kapo, sztabowi i szrajber. Nie było tu natomiast rewiru, ponieważ rewir znajdował się w oddzielnym bloku, do którego zgłaszani byli chorzy ze wszystkich baraków. Z napięciem oczekiwaliśmy pierwszego posiłku, ponieważ zawsze istniała teoretyczna możliwość, że w nowym miejscu będzie trochę lepiej z jedzeniem, niż poprzednio. Okazało się, że było gorzej. Zupa była równie rzadka jak w Vechelde, ale tu nikt nie zadawał sobie trudu, aby przy jej rozdzielaniu zachować jakiś standard gęstości. Chleb i margaryna przynoszone tu były w całości z kuchni i dzielone na porcje przez funkcyjnych w baraku. Ci nie krępowali się naszą obecnością i kroili chleb w ten sposób, aby zachować dla siebie nieograniczoną ilość kromek i margaryny. Oznaczało to, że porcje chleba wydawały się tu mniejsze niż w Vechelde. Przydział margaryny został również zredukowany. Nie mogło być inaczej, skoro każdego dnia około południa funkcyjni gotowali, lub smażyli na piecu zawsze tę samą wonną potrawę: duży garnek do którego kładli dwie lub trzy ćwierć kilowe kostki margaryny, a gdy się stopiła, sporą ilość surowych, obranych kartofli. W moich oczach była to wspańska perwersja kulinarna i solennie obiecywałem sobie, że po wojnie będę robił to samo; przyrzeczenie, którego nigdy nie spełniłem.

Budzono nas tu nie przy pomocy gwizdka, ale uderzeniami młotka w kawałek szyny żelaznej, zawieszanej przy wejściu do baraku. W nocy blok był zamykany i potrzeby naturalne trzeba było załatwiać do dużej, wysokiej beczki. Co pewien czas na każdego przypadała kolej w opróżnianiu tej beczki, która rano była pełna po brzegi. Chociaż robotę tę wykonywało zawsze dwoje ludzi, była to prawdziwa męka, gdyż oślizgłą, ciężką i pozbawioną uchwytych beczkę trudno było ruszyć z miejsca.

Plagą miejscową były wielogodzinne apele pod gołym niebem. Liczono nas tam bez końca i wydaje się, że rachunek nigdy się nie zgadzał.

W Watenstedt nikt nie wychodził do produktywnej pracy, bo zakłady były nieczynne. Każdego dnia formowano jednak kilka grup, które wyposażone w kilofy i łopaty prowadzone

były przez kapo w jakieś ustronne miejsce, gdzie jedni zajmowali się kopaniem dołów, a drudzy ich zasypywaniem. Bałem się być złapany do takiej roboty, ponieważ w skutek osłabienia nie byłbym tego w stanie robić. Kombinacja szczęścia i nieustającej czujności sprawiła, że udało mi się - podobnie zresztą jak i ojcu - uniknąć tego.

Podobnie jak w Vechelde i tu zarządzono akcję odwyszawienia. Tym razem woda zagotowała się i wszy w odzieży zostały wybite. Skutki tej akcji okazały się dla nas mimo to dewastujące. Zwinięta w węzłki odzież, zanim ją włożono do kotła była tak bardzo zniszczona, że w skrajnych przypadkach trzeba było się liczyć, że w trakcie gotowania rozpadnie się na kawałki. Tak też się i stało. Kiedy rzuciliśmy się na parujący stos mokrych szmat, aby wyrwać dla siebie coś możliwie dobrego, wiedzieliśmy, że nie dla wszystkich starczy tych łachmanów. Walka o te szmaty była też bardziej zacięta, niż w Vechelde. Po jej zakończeniu, kilka osób pozostało nago lub pół nago, wśród nich mój ociec, któremu przypadła w udziale tylko kamizelka. Podczas apelu wieczornego byłem pełen lęku o ojca. Nikt nie był w stanie przewidzieć co się stanie z tymi, którzy owinięci tylko w koce wyprężyli się na baczność, gdy padła komenda *Achtung!* Apel trwał wyjątkowo długo, gdyż zaistniała sytuacja łamała normalną rutynę. Skończyło się jednak dobrze, gdyż każdemu z tych, którzy nie mieli odzieży przydzielono coś do ubrania. Ojciec dostał kombinezon roboczy z cienkiego materiału pod którym zachował kamizelkę. Inna sprawa, że gotowanie odzieży przyniosło dużą ulgę jeżeli chodzi o wszy. Nie znaczy to, że zniknęły całkowicie, ale teraz borykaliśmy się tylko z pojedynczymi insektami, z którymi łatwo było się uporać.

Straciłem zupełnie poczucie czasu jak długo byliśmy w Watenstedt. Gdy teraz próbuję zrekonstruować ten czas, to wydaje mi się, że byliśmy tam od kilkunastu dni do kilku tygodni. Byliśmy bardziej niż w Vechelde odcięci od świata. Nie wiedzieliśmy, gdzie przebiegają linie frontów, a w związku z tym, jak bliskie lub jak odległe jest nasze ocalenie. Fakt, że nie było dla nas pracy sprawiał ulgę, ale w jeszcze większym stopniu wzmagał strach, gdyż wiedzieliśmy, że na dłuższą metę nie będzie to tolerowane przez SG.

W Watenstedt nastąpiło też nagle i gwałtowne pogorszenie stanu zdrowia ojca. Do tej pory nie chorował i nigdy nie tracił nadziei, że przeżyjemy obóz. Natomiast podobnie jak inni,

chudł coraz bardziej i powoli tracił siły. Mimo, że nie wychodziliśmy do roboty, ojciec stawał się coraz słabszy i po raz pierwszy pojawiły się u niego, znane mi z getta objawy choroby głodowej - obrzęk nóg. Zaczęło się od spuchniętych stóp i kostek, ale obrzęk posuwał się z każdym dniem wyżej. Ojciec znosił coraz gorzej wielogodzinne wystawanie podczas apelu i stało się oczywistym, że taki stan rzeczy nie da się długo utrzymać, tym bardziej, że zwierzył mi się, że cierpi na dolegliwości serca. Było tylko jedno wyjście: pójść do rewiru. Zgłoszenie własnej choroby zawsze było czymś bardzo ryzykownym, ponieważ następstwem mogła być selekcja i uśmiercenie chorego. Istniejąca w Watenstedt sytuacja, charakteryzująca się brakiem pracy i bezczynnością zaostrzała to ryzyko dodatkowo. Po naradzie postanowiliśmy jednak, że nie ma innej alternatywy jak rewir. Gdy następnego dnia odprowadzałem ojca, miałem pełną świadomość, że być może tracę go na zawsze. W Watenstedt nie było lwana ani żadnego innego *pfliegera*, więc ojciec po prostu zgłosił się do szpitalnego baraku, gdzie bez żadnych formalności został wpuszczony do środka. Ta uproszczona procedura nie zwiastowała jednak niczego dobrego, tym bardziej, że zanim drzwi zamknęły się za ojcem zdążyłem zobaczyć, że nie ma tam żadnych pryczy, a chorzy leżą pokotem na podłodze, jeden obok drugiego. Jediną dobrą stroną pobytu w rewirze było to, że znajdujący się tam ludzie byli zwolnieni od wystawania na apelu. Otrzymywali taką samą jak wszyscy rację żywnościową i nie byli poddawani żadnym próbom leczenia. Pozwalano im po prostu leżeć spokojnie i nic więcej. Zamierzałem odwiedzać ojca tak często jak tylko to będzie możliwe, ale okazało się, że barak był zamknięty i nikogo doń nie wpuszczano. Byłem pełen najgorszych myśli ze względu na to co zobaczyłem wewnątrz rewiru.

Tak upłynęło kilka dni, aż któreś nocy zostaliśmy zbudzeni gwałtownymi uderzeniami młotka w szynę. W całym obozie panował wzmożony ruch, drzwi baraków były otwarte na oścież, a światło z wnętrza rozjaśniało uliczkę obozową, rzecz dotąd nie do pomyślenia ze względu na zaciemnienie przeciwlotnicze. Panowało ogromne podniecenie, ponieważ mieliśmy zaraz być ewakuowani. Mimo, że przed naszym barakiem funkcjonjaci zaczęli już ustawiać więźniów w dwuszeregu, pobiegłem co sił do rewiru. Trwało długą chwilę zanim wzrokiem odnalazłem ojca wciśniętego między kilku leżącymi postaciami. Przedostałem się do niego z trudem, gdyż nie chciałem deptać po nikim. W różnych punktach baraku znajdowali się ludzie, którzy

podobnie jak ja, przyszedli pożegnać się z kimś bliskim. Ludzie obejmowali się, całowali i płakali. W powietrzu krzyżowały się nawoływania, krzyki i szloch. Wszyscy wiedzieli, że obóz zostanie zaraz ewakuowany, ale chorzy zostaną na miejscu. Co się z nimi stanie? Trzeba było czegoś w rodzaju cudu, aby nie zostali zgładzeni. A jednak nikt z tego baraku nie próbował przyłączyć się do tych, którzy szykowali się do wyjścia, chociaż wskutek panującego bałaganu nikt rewiru nie pilnował. Ludzie ci byli w tak złym stanie, niektórzy wręcz umierający, że zrezygnowali z dalszej walki o życie. Nigdy nie uwierzyłbym, że taka sytuacja jest możliwa, gdybym sam nie stał się jej podmiotem kilka tygodni później.

Teraz jednak objęliśmy się z ojcem, który podniósł się z podłogi i płacząc żegnaliśmy się. W pewnym momencie ojciec uwolnił się od mojego objęcia, rozpiął kombinezon i zdjął kamizelkę, którą kazał mi włożyć. Byłem tym wstrząśnięty i z początku odmówiłem przyjęcia, ale do naszego sporu wmieszali się obcy ludzie, leżący koło ojca, którzy namawiali mnie usilnie i przyłączyli swoje argumenty do perswazji ojca, tak, że głęboko poruszony i zawstydzony przyjąłem w końcu kamizelkę.

Wybiegłem z baraku oszołomiony i niezdolny do oswojenia się z myślą, że straciłem ojca, a także niepewny własnego zachowania w rewirze. Przed naszym barakiem wszyscy byli już ustawieni i wśród głośnych pokrzykiwań odbywało się kolejne przeliczanie. Zdażyłem niezauważony przyłączyć się do kolumny marszowej i spodziewałem się, że lada chwila ruszymy w drogę. Okazało się jednak, że czas upływa, a my stoimy ciągle w tym samym miejscu. W pewnej chwili na ulicze obozowej pojawiło się kilka wolno jadących autobusów. Z daleka widać było, że pasażerami są więźniowie, ubrani w pasiaki. Już sam fakt, że więźniów transportowano autobusami wydawał się zupełnie nieprawdopodobny. W momencie, gdy autobusy zrównały się z naszym blokiem zrozumiałem, że stał się cud. W jednym z okien autobusu zobaczyłem ojca, ubranego w nowy pasiasty drelich. Dostrzegł mnie i śmiejąc się zamachał do mnie ręką.

Niedługo potem rozdzielono żywność na drogę; każdy dostał po małym bochenku ciemnego Chleba. Nikt nie wiedział na jak długo ma on starczyć, ale w panującej atmosferze miłego podniecenia, jak gdyby to był koniec wojny, nikt się tym nie przejmował. Wreszcie ruszy-

liśmy w stronę bocznic kolejowej. Pociąg był bardzo długi i składał się z wagonów towarowych, z których niektóre były platformami o wysokich burtach bez dachu. Zaczął się załadunek.

W tym miejscu przerwę, aby poruszyć sprawę, która wprawdzie pośrednio, ale w sposób istotny wpływała na egzystencję obozową, a teraz na rozpoczynającą się podróż w nieznaną. Chodzi o układ stosunków między ludźmi, którzy znaleźli się w tym samym obozie. Istniejące przed deportacją do Oświęcimia związki między ludźmi bywały po wyładowaniu w Brzezince /Birkenau/ często zrywane i zastępowane nowymi. Niektóre więzy rodzinne przestawały istnieć dlatego, że mnóstwo ludzi kierowano z miejsca do komór gazowych. Szybko okazało się **też**, że najtrudniej jest przeżyć w obozie pojedynczemu, samotnemu człowiekowi. Lepsze szanse przetrwania miały dwuosobowe zespoły, w których można było sobie nawzajem pomagać. W ten sposób wspierali się najczęściej ojciec i syn, dwaj bracia czy dwaj kuzynowie. Ginęły natomiast inne więzy rodzinne typu bratanek-wujek, teść-zięć czy nawet związek między dwoma kuzynami, jeśli jeden z nich był stowarzyszony z kimś z poza kręgu rodzinnego. To właśnie tłumaczy dlaczego w Vechelde i później aż do wyzwolenia, ani ja ani ojciec nie utrzymywaliśmy prawie żadnych stosunków z dwoma moimi kuzynami, którzy byli braćmi i z których jeden był bardzo zaradny. Znamienne było to, że ich stosunek do nas był taki sam, i że zarówno my jak i oni traktowali ten stan rzeczy za naturalny. Podobnie mogło się też dziać z ludźmi, których w getcie nie łączyły więzy rodzinne, ale przyjaźń lub jakaś wspólnota interesów, która po przybyciu do Oświęcimia traciła nagle na znaczeniu i zastępowana była nowym partnerstwem, wynikającym z nowych interesów zaistniałych w obozie, a nie występujących w getcie. Oczywiście i tu bywały wyjątki od reguły. Zdarzało się, że dawna przyjaźń z czasów getta, czy dawna wspólnota interesów wytrzymywała próbę egzystencji obozowej. Szczególnie prawdziwe było to w odniesieniu do członków organizacji komunistycznej w getcie, którzy jeżeli zdołali wyjechać razem z getta, to starali się później nie rozdzielać i żyć razem. Inna rzecz, że takich ludzi w naszym obozie nie było.

Wśród więźniów w Watenstedt znajdował się między innymi nieco starszy ode mnie kolega, który przez pewien czas udzielał mi korepetycji z matematyki. W pierwszym okresie getta mieszkaliśmy po obu stronach tej samej ulicy, co przyczyniało się do umacniania przed-

wojennych więzi. Kolegę tego znali również moi rodzice i darzyli go sympatią. Był to bowiem kulturalny młody człowiek, zdolny, z dobrą znajomością kilku języków. Ta okoliczność, żeśmy nawzajem odnaleźli się w Watenstedt nie wywarła ani na nim, ani na nas żadnego wrażenia i nie spowodowało chęci kontynuowania bliskich stosunków z okresu getta. Było to do pewnego stopnia nawet zrozumiałe, zważywszy, że ja z ojcem stanowiliśmy jeden zamknięty zespół, podobnie jak on z pewnym nieznanym mi Żydem budapeszteńskim, stanowili drugi. Ów Żyd węgierski był również młodym, inteligentnym mężczyzną. Zarówno on jak i mój kolega szkolny byli w stosunkowo dobrej kondycji fizycznej. Zawdzięczali je intratnej funkcji *dolmetschera*, czyli tłumacza, którą wspólnie zdołali sobie zapewnić w kierownictwie obozu. W przeciwieństwie do Vechelde, gdzie w zasadzie byli sami Żydzi, obóz w Watenstedt obejmował przedstawicieli bardzo wielu narodowości. Stąd też i potrzeba tłumaczy. Było czystym przypadkiem, że zarówno ja, jak i mój kolega razem ze swym partnerem zostaliśmy skierowani do tego samego wagonu, o czym z początku wcale nie wiedziałem. Nie wiedziałem także, w jakim wagonie znajduje się mój ojciec. Na razie wystarczała mi świadomość, że żyje i nie został w obozie.

Trwała jeszcze noc kiedy weszliśmy do wagonu. Na zewnętrznej ścianie wymalowany był napis, głoszący, że wagon jest przeznaczony dla kilku koni i pewnej liczby ludzi. Z nami było inaczej. Zaprzestano wpuszczania dopiero wtedy, gdy wszystkie miejsca stojące zostały zajęte. Zaniepokoiłem się, co będzie dalej, gdyż zrozumiałem, że po pewnym czasie trzeba będzie usiąść, a nawet położyć się, i nie wiedziałem jak da się to zrobić. Gdy wagon został wypełniony, pojawił się konwojent SS, który wszedł do środka, zabierając ze sobą oprócz karabinu małą skrzyneczkę, którą postawił koło otwartych drzwi i na której usiadł. Zmusiło nas to do dodatkowego ścieśnienia się, pogarszając i tak już złą sytuację. Wreszcie pociąg ruszył.

Z początku było przyjemnie. Przez niedomknięte drzwi wpadało świeże powietrze, pod pachą mieliśmy nietknięty bochenek chleba i nareszcie coś się działo. Nagłość ewakuacji nasuwała przypuszczenie, że front albo fronty są już blisko, i że w krótkim czasie możemy być uratowani. Stąd też dobry nastrój, który po upływie godziny zaczął się szybko pogarszać. Przyczyną było zmęczenie spowodowane wielogodzinnym staniem, które zaczęło się dla nas już podczas nocnego apelu. Do zmęczenia dołączył się wkrótce ból stóp, a potem nóg i pleców.

Oczywiście nie wszyscy byli tym dotknięci w jednakowym stopniu. Najślabi zaczęli się jednak już osuwać na podłogę, zmniejszając tym samym powierzchnię dostępną dla naszych stóp. Spowodowało to natychmiastową gniewną reakcję tych, którzy jeszcze mogli stać. Wkrótce również i oni osunęli się na podłogę, a ciasnota stała się tak dotkliwa, że rozpoczęła się walka wszystkich przeciwko wszystkim o zdobycie odrobiny przestrzeni. Działo się to w ciemnościach, rozświetlanych od czasu do czasu żarem papierosa esesmana, który ignorował to co działo się u jego stóp i towarzyszące temu wrzaski bitych i bijących.

W tym rozgardiaszu przebił się donośny głos mego kolegi szkolnego i jego węgierskiego partnera, którzy siedząc na podłodze i wspierając plecami o ścianę wagonu żądali dla siebie wolnej przestrzeni długości wyciągniętych nóg. Ludzie siedzący najbliżej nich, albo nie byli w stanie się cofnąć, albo nie chcieli tego zrobić. Za chwilę rozległ się dźwięk tępych uderzeń i krzyki bitych. Tych dwóch biło trepami swoich sąsiadów, zmuszając ich do odwrotu. Aby przełamać opór bezwładnej masy ludzkiej, która hamowała to cofanie, zaczęli na oślep rzucać trepy. Niektóre chybiały celu, uderzając z łoskotem o ścianę wagonu. Niektóre jednak lądowały na głowie lub twarzy ludzi krzyczących z bólu, ale ścieśniających się coraz bardziej. Wszystko to trwało kilka minut, ale po tym ustanowiony został nowy ład. Dla nas oznaczał on okropną ciasnotę, a dla nich komfort swobodnego leżenia na podłodze wagonu. Jeżeli o mnie chodzi, to tak jak wszyscy bałem się trafienia w głowę i jak reszta, skurczyłem się jeszcze bardziej. Natomiast ani przez chwilę nie przyszło mi na myśl, że mógłbym zaapelować do mego kolegi, prosząc go, aby przyjął mnie do swego kąta. Nie zrobiłem tego, ponieważ było dla mnie oczywiste, że nic bym w tej sprawie nie wskórał. Znamienne jednak jest, że zaistniałą sytuację i świadomość, że dawna przyjaźń nie ma znaczenia traktowałem jako coś naturalnego.

Teraz wszyscy siedzieli już na podłodze, ale było tak ciasno, że kotłowanina ludzi nie mogących znaleźć dla siebie miejsca nie ustawała. Znalaziono jednak doraźne rozwiązanie. Siadaliśmy jeden za drugim, z szeroko rozkraczonymi nogami, w które wpasowywał się ktoś siedzący przed nami. Każdy miał więc przed sobą czyjeś plecy i sam opierał się o czyjąś klatkę piersiową. Ostatni w tym szeregu spoczywał plecami na ścianie wagonu. Niedoskonałość tego systemu była oczywista. Nikt nie był w stanie przez czas dłuższy znosić ciężaru ciał ludzkich

napierających na piersi. Nie było też możliwości zmiany położenia rozkraczonych do przodu nóg, jeżeli cała konstrukcja, którą można by przyrównać do wzoru tkaniny, zwanej *jodełką* nie miała się rozsypać. Na razie wszyscy odczuliśmy ogromną ulgę, ale było kwestią niezbyt długiego czasu, aby piekło rozpętało się od nowa.

Nie wiem ile czasu upłynęło, ale zaczęło mi być bardzo niewygodnie, choćby dlatego, że nie sposób było się poruszyć, a tym bardziej zmienić pozycję ciała. Obserwowałem także narastające wokół mnie objawy zniecierpliwienia i zmęczenia innych. Nagle ktoś się podniósł i stanął wyprostowany. W wagonie było ciągle ciemno, ale jego sylwetka była widoczna. Wiedziałem dokładnie, co się z nim stanie i ze mną, gdy zdecyduję się zrobić to samo co on. Czekałem jak długo się dało, ale w końcu ból mięśni zmusił mnie do powstania. Rozkosz rozstawienia nóg i wyprostowania się była nieopisana, ale nie mogłem nie odczuć, że miejsce na którym przed chwilą siedziałem przestało istnieć, wypełnione natychmiast przez najbliższych sąsiadów. Radość z powodu stania była krótsza niż się spodziewałem, ponieważ zajmowałem miejsce gdzieś w środku wagonu i nie miałem nawet możliwości oparcia się ręką o ścianę. Osłabienie spowodowane ostatnimi przejściami sprawiało, że szybko traciłem resztę sił, a powracający ból mięśni zapowiadał zbliżający się koniec. Zacząłem osuwać się w dół, próbując usiąść w miejscu, które niedawno zwoleń. Miejsca tego oczywiście nie było i gdy mimo to chciałem się usiąść, spotkał mnie szereg uderzeń oraz wyzwiska. Nic w tym dziwnego skoro usiadłem na czyjeś twarzy, albo może brzuchu. Od tej chwili byłem odrzucany jak piłka, padając raz za razem na kogoś, kto nie szczędząc bicia i złorzeczeń starał się pozbyć mnie w ten sam sposób. Nie wiem jak długo to trwało, ale w końcu zepchnięty zostałem w dół przez jakichś ludzi, którzy po prostu na mnie usiedli i dotknąłem zbawczej podłogi wagonu. Byłem wtedy pół przytomny, dzięki czemu odczuwałem coraz mniej. Miałem świadomość, że dźwigam na sobie ciężar ciał ludzkich, i, że jest mi trudno oddychać, ale przestałem z tego powodu cierpieć.

Od tego momentu straciłem rachubę czasu, a także pamięć o wielu faktach. Zachowałem jednak garść wspomnień, choć nie jestem pewien ich chronologii. Przede wszystkim nie

wiem, ile dni i nocy trwała nasza jazda. Nie wiem czy zjadłem mój bochenek chleba, czy też go straciłem. Nie przypominam sobie, abym w tym czasie cierpiał głód, choć wiem, że po za chlebem nie dostaliśmy żadnego innego jedzenia. Dokuczało mi natomiast ogromne pragnienie i miałem halucynacje, że piję mocną, osłodzoną i zimną herbatę. Raz czy dwa razy w czasie postoju pociągu na jakichś stacjach dostałem trochę wody, choć nie pamiętam, kto i jak tę wodę organizował. Pewnemu złagodzeniu uległy też cierpienia spowodowane ciasnotą, ponieważ po pewnym czasie wszyscy osłabli do tego stopnia, że uprzednie agresje prawie zanikły. Ludzie leżeli teraz pokotem, częściowo jeden na drugim i od czasu do czasu zmieniali położenie swoich ciał.

Czasami, gdy pociąg zatrzymywał się w polu, esesmani pozwalali nam opuszczać wagony i załatwiać potrzebę po jednej stronie toru. Byłem w tym czasie tak słaby, że nie byłem w stanie o własnych siłach wdrapać się do wagonu, gdy czas postoju mijał. Korzystałem wtedy z pomocy tych, którzy byli już w środku i wciągali mnie do góry.

Jedno zdarzenie zapamiętałem jednak dokładnie. Którejś nocy, gdy pociąg toczył się w ciemnościach usłyszałem narastający dźwięk silników lotniczych. Zanim uświadomiłem sobie, co się dzieje, pociąg został ostrzelany z broni maszynowej. Pierwszy raz w życiu zobaczyłem strumień świetlnych pocisków, które poprzez ścianę wagonu zdawały się lecieć prosto w moją twarz. Po chwili salwa została powtórzona i wagon wypełnił się zapachem prochu i krzykiem ludzi. Atak trwał krótko i po chwili samoloty zniknęły. Wewnątrz wagonu panowała kompletna ciemność, uniemożliwiająca zorientowanie się, kto zginął a kto żyje. Przerażeni ludzie wykrzykiwali głośno imiona swych bliskich, aby upewnić się, że przeżyli atak. W większości wypadków obawy ich były płonne. Kilka osób nie doczekało się żadnej odpowiedzi. Jedną z nich był niejaki pan Minc z Łodzi, który razem ze swym kilkunastoletnim synem Olkiem zdołał przetrwać obóz i znaleźć się w tym samym wagonie. Teraz krzyczał w kółko *Olesiu, Olesiu!*, ale nikt nie odpowiadał. Dopiero o świcie pociąg stanął w szczerym polu. Esesman odsunął drzwi i w słabym świetle zaczynającego się dnia zobaczyliśmy martwego Olesia opartego plecami o

ścianę wagonu i przeciętego w pół serią karabinu maszynowego. Oprócz niego zabitych było jeszcze kilka osób, ale nikt nie został ranny. Przekonaliśmy się także, że siedzimy na podłodze mokrej od krwi ofiar.

We wszystkich wagonach odsunięto teraz drzwi i wynoszono zabitych, których bez przykrycia pozostawiono u podnóża nasypu kolejowego. Przy niektórych wagonach liczba zabitych była większa, niż u nas, ale były także wagony, gdzie nie było żadnych ofiar. Z niezrozumiałych dziś dla mnie powodów nie miałem wtedy żadnych wątpliwości, że Ojciec przeżył atak bez szwanku. Po wyniesieniu zabitych, w wagonie zrobiło się luźniej i pociąg ruszył w dalszą drogę.

Któregoś popołudnia pociąg wtoczył się na teren obozu koncentracyjnego Sachsenhausen. Byliśmy wyczerpani drogą i każda zmiana wydawała się tylko zmianą na lepsze. Również konwojent nie ukrywał swego zadowolenia z końca wędrówki. Trzymano nas jednak nadal w wagonie aż do wieczora, po czym pociąg wyjechał z obozu. Po raz pierwszy - rzecz dotąd bez precedensu - esesman powiedział nam, że nie przyjęto nas, ponieważ obóz był przepelniony.

Na jednej z podberlińskich stacji nastąpiła wymiana konwojentów. Dotychczasowych, zastąpili młodzi ukraińscy esesowcy. W tym czasie nic nie wiedziałem o roli, jaką odegrali oni przy likwidacji gett oraz mordowaniu Polaków na ziemiach na wschód od Bugu. Byłem jednak bardzo zaniepokojony ich hałaśliwym zachowaniem się, a przede wszystkim ich młodością, która nie zdawała się zapowiadać dla nas niczego dobrego. Pociąg jechał teraz bardzo wolno i często przystawał w drodze, tak, że dopiero rano zajechaliśmy do Ravensbrück. Tu, zaraz po wyładowaniu połączyłem się z ojcem, którego znalazłem w lepszym stanie, niż gdyśmy się żegnali w Watenstedt.

Ravensbrück był to duży obóz, o którym dowiedziałem się, że jest przeznaczony dla kobiet. W tej części obozu, do której zostaliśmy zaprowadzeni, nie było jednak na razie nikogo i tylko na pryzkach znajdowaliśmy ślady bytności kobiet: podarte pończochy damskie i chustki. Prycze były strasznie zawszawione i po pierwszej nocy znajdowaliśmy się w tym samym żałosnym stanie w jakim byliśmy w Vechelde po nieudanej akcji odwszawienia. Skład obozu był

bardzo międzynarodowy. Spotykało się tu przedstawiciele większości narodów europejskich; było tu nawet kilku Afrykańczyków, prawdopodobnie byłych jeńców wojennych z armii francuskiej. Byliśmy także przemieszani narodowościowo w obrębie poszczególnych baraków, którym dzieliliśmy z Grekami. Nie pamiętam, kim byli blokälteste ani pozostali funkcyjni, ale na pewno byli nowi. Również i w tym obozie nie było nic do roboty, a apele przebiegały tu mniej rygorystycznie i krócej. Z jedzeniem było równie źle jak wszędzie indziej. Któregoś dnia snując się po obozie zaszedłem w okolicę rewiru. Za barakiem natknąłem się na dużą ilość trupów, które z braku miejsca leżały w dwóch warstwach. Nie były to ofiary egzekucji, ale ludzie, którzy umarli z głodu, wyczerpania i chorób. Przedstawiali sobą szkielety obciążone skórą, znane później z plakatów, fotografii i 61 kronik filmowych. Stałem tam długą chwilę, przyglądając się tym zamęczonym ciałom i myślę, że wtedy pozbyłem się na zawsze lęku, czy też obrzydzenia, jakiego doznają często ludzie, którzy nigdy nie widzieli zwłok ludzkich.

Odcięcie od informacji ze świata zewnętrznego było tu kompletne, ale odbieraliśmy pewne sygnały, które pozwalały wnioskować, że wojna weszła w końcowe stadium. Po raz pierwszy słyszałem dalekie pomruki kanonady artyleryjskiej. Czasami w ciągu dnia pojawiały się lecące nisko nad ziemią myśliwce niemieckie, fenomen dotąd nie widziany. Któregoś dnia odbył się apel tylko niemieckich więźniów, z których większość stanowili funkcyjni, po czym wymaszerowali oni z naszego obozu. Następnego dnia można było zobaczyć, jak w sąsiednim obozie ćwiczą musztrę wojskową. Według niesprawdzonych pogłosek zaproponowano im ochotniczy udział w walkach na froncie wschodnim, w zamian za co mieliby uzyskać wolność po zakończeniu wojny.

Wielką sensacją wywołało pewnego dnia pojawienie się w dość odległym obozie kilku białych ambulansów, czy też autobusów oznaczonych czerwonym krzyżem. Mimo dystansu można było dostrzec figury więźniarek, które znikwały we wnętrzu tych pojazdów. Według fantastycznej pogłoski miały one być ewakuowane dokądś zagranicę. Podobno i na nas miała przyjść kolej, choć uznano, że było to zbyt dobre, aby można w to było uwierzyć. Prawdopo-

dobnie to, co widzieliśmy było akcją ratunkową Bernadotte, która ocaliła między innymi grupę kobiet żydowskich z Ravensbruck.

Ułynęło jeszcze kilka dni, w czasie których autobusy już się nie pojawiały, ale za to zdarzyło się coś, co graniczyło z czystą niemożliwością. Zaczęło się to w sposób wzbudzający trwogę. Przed południem, w czasie, w którym normalnie nie było apeli, zarządzony ogólny apel dla wszystkich bloków. Gdy byliśmy już ustawieni w dwuszeregu, zamiast rutynowego odliczania ilości więźniów, wydano komendę, aby Żydzi wystąpili naprzód. Czegoś takiego nie przeżyliśmy dotąd w żadnym obozie. W Brzezince i Vechelde obozy były narodowościowo jednorodne, w związku z czym nie istniał problem segregacji. W Watenstedt i Ravensbruck stanowiliśmy część wielonarodowego składu więźniów i jako tacy byliśmy traktowani przez esesmanów i funkcyjnych w dość podobny sposób. Nie należy tego mieszać ze sprawą naszego statusu obozowego, który stawiał nas poza nawiasem przepisów dotyczących więźniów nie-Żydów. W odróżnieniu od nich nie przysługiwało nam np. prawo wysyłania i otrzymywania raz w miesiącu jednej karty pocztowej lub paczki żywnościowej od rodziny. Byliśmy więc bardzo wystraszeni, gdy pozbierany z małych grup, spory oddział Żydów opuścił plac apelowy i został zaprowadzony w okolice kuchni obozowej. Przed naszymi oczami piętrzył się stos dużych tekturowych pudełek z angielskim nadrukiem Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Ustawieni w kolejkę odbieraliśmy z rąk funkcyjnego, każdy po jednym pudełku, które było na tyle duże, że trzeba je było trzymać oburącz. Kilkanaście kroków dalej stała grupa oficerów i podoficerów SS, przyglądając się rozdziałowi paczek. Paczki były otwarte i ze wszystkich były wyjęte papierosy, ale reszta rzeczy była nietknięta. Nie pamiętam dokładnie zawartości paczek, ale to cośmy w nich znaleźli przekraczało najśmielsze fantazje, którymi syciliśmy się w czasie przesiadywania w schronie przeciwlotniczym. Paczki pochodziły z Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, ale wszystkie produkty były amerykańskie.

Po odebraniu paczek wróciliśmy do dawnego baraku, ponieważ wyodrębnienie dokonane na placu apelowym przestało obowiązywać. Teraz zaczęła się prawdziwa orgia jedzenia, choć niektórzy - wśród nich i my - próbowali zachować pewien umiar. Przyczyną tej narzuconej sobie wstrzemięźliwości była wierność wobec dawnej zasady, wedle której jedzenie po-

winno starczyć na jak najdłużej. Ignorowane były natomiast względy natury zdrowotnej. Po kilku godzinach wielu więźniów zachorowało na gwałtowne rozwolnienie. Powszechnie obwiniano za to mleko w proszku, które chorzy ci zjedli na sucho, opróżniając w ciągu jednego posiedzenia półkilogramowe pudełko. Rano część z nich już nie żyła, a reszta znajdowała się w bardzo złym stanie. W nocy, gdy światło zostało zgaszone, ludzie ci zostali obrabowani z pozostałej żywności przez współwięźniów Greków, którym nie byli w stanie stawić oporu. Przy okazji atakowani byli również zdrowi, którzy robili co mogli, aby obronić swój stan posiadania. Barak rozbrzmiewał wyzwiskami, czasem krzykiem uderzonego lub ugryzionego, czy też łomotem ciała spadającego z pryczy. Wszystko to trwało zaledwie kilka minut i podczas rannego apelu nikt już nie miał ze sobą pudełka Czerwonego Krzyża. Żywność została bowiem albo zjedzona, albo zrabowana, a to co zostało, mieściło się w kieszeniach spodni. Następnego dnia każdy z nas znów otrzymał identyczną paczkę żywnościową.

Gdy wkrótce potem zarządzono apel i wymarsz w kierunku bocznic kolejowej, wydawało się, że wszystko stało się możliwe, i że być może będziemy ewakuowani zagranicę. Tym razem nie dostaliśmy prowiantu na drogę, ale fakt ten nie zaniepokoił nikogo. Prawdopodobnie będziemy wkrótce wolni - rozumowano - a w najgorszym razie mamy własne zapasy. W wagonie było znacznie luźniej, niż podczas poprzedniej jazdy, mimo, że jadący z nami konwojent SS zajął dla siebie sporą część wolnej przestrzeni. Panujący nastrój beztróski i optymizmu prowadził niekiedy do nieprawdopodobnych sytuacji. Ten i ów z pośród więźniów odważył się poczęstować esesmana kawałkiem amerykańskiej czekolady, która o dziwo została przyjęta z życzliwym skinięciem głowy. Po raz pierwszy od wielu miesięcy można było zauważyć śmiejących się ludzi. Pociąg jechał wolno i często przystawał, co dawało możliwość odczytywania nazw mijanych miejscowości. Pamiętałem z grubsza jak wygląda mapa Niemiec i dlatego po upływie pewnego czasu ogarnęła mnie obawa co do celu naszej podróży. Jechaliśmy na pewno na południe, oddalając się od wybrzeża morskiego, z którym kojarzyliśmy nadzieję ocalenia. Wkrótce zostaliśmy zaalarmowani nową sytuacją, która zniweczyła nasze nadzieje na rychłe wyzwolenie.

Około południa pociąg wjechał na jakąś stację kolejową, która była objęta alarmem lotniczym, o czym świadczyła żółta flaga wciągnięta na maszt stacyjny. Pociąg zatrzymał się przed wjazdem na perony i przez otwarte drzwi wagonu widać było asfaltową szosę, po której w obu kierunkach jechały pojazdy wojskowe. Po obu stronach drogi leżeli okopani żołnierze z panzerfaustami gotowymi do strzału. Wniosek zdawał się być oczywisty: jesteśmy tak blisko frontu, lub natarcia aliantów, że możemy być wyzwoleni w każdej chwili. Na sąsiednim torze był unieruchomiony długi pociąg towarowy z węgierskimi żołnierzami i ich sprzętem. Przy budynku stacyjnym stały dwa pociągi pasażerskie, a na sąsiednich bocznicach dwa składy towarowe z podłączonymi lokomotywami.

Wkrótce nad naszymi głowami pojawiły się ławice wysoko lecących samolotów alianckich, nie niepokojonych przez ogień przeciwlotniczy, choć na kilku platformach węgierskich były ustawione zenitówki. Gdy po upływie pół godziny samoloty znowu pojawiły się na niebie po wykonaniu swego zadania, alarm został odwołany, a ramię semafora podniosło się, otwierając drogę dla uwiezionych dotąd pociągów.

Ku naszemu wielkiemu zdziwieniu i rozgoryczeniu nasz pociąg był pierwszym, który wypuszczono ze stacji, wysyłano nas w pośpiechu z miejsca, które mogło wkrótce być wyzwolone, a priorytet jaki przydawano naszemu transportowi pokazał nam, że nie na co liczyć. Zgnębieni tym nowym doświadczeniem kontynuowaliśmy dalszą jazdę. Tak minął dzień i noc aż wczesnym ranem dnia następnego pociąg zatrzymał się w środku lasu, gdzie przynaglani krzykami funkcyjnych i esesmanów *Raus!* i *Schnell!* wyskakiwaliśmy z wagonów.

Bocznica kolejowa przylegała do obozu koncentracyjnego Wöbbelin, którego nazwy wtedy jeszcze nie znałem. Był to niewielki obóz, prawdopodobnie niedawno założony, ponieważ murowane baraki nie miały okien, a tylko futryny wprawione w ściany. Brak było też podłóg, które zastępowało twarde klepisko. Również tu nie było żadnej roboty i chyba dlatego dzień wypełniały długie i męczące apele. Nie pamiętam kim byli funkcyjni, z wyjątkiem tego, że kapo w tym obozie byli wyjątkowo agresywni. Uzbrojeni w grube drewniane pałki bili bezlitośnie, gdzie popadło, często bez najmniejszego nawet pretekstu. Oprócz nas w obozie znajdowali się ukraińscy więźniowie, którzy pożądlwym wzrokiem spoglądali na nasze paczki i czekali na oka-

zję, aby wyrwać nam je siłą. Gdy po raz pierwszy rozległo się wezwanie na apel, usiłowaliśmy jak najprędzej znaleźć się na placu, aby uniknąć bicia pałkami za opieszałość. Wybiegających z baraku zatrzymali jednak kapo, zakazując brania ze sobą paczek - coś co było tolerowane w Ravensbruck. Popędzani pałkami zostaliśmy wepchnięci z powrotem do baraku, gdzie musieliśmy pozostawić paczki i biec z powrotem w stronę wyjścia, aby ująć bijącym kapo. W tym samym czasie dziesiątki Ukraińców wskakiwało na naszych oczach przez otwory okienne do baraku i ignorując spadające na nich ciosy pałek porywali porzucone przez nas paczki, uciekając ze swym łupem przez niestrzeżone otwory okienne. Po powrocie z apelu nie znaleźliśmy żadnej paczki, a jedyne co niektórzy zdążyli uratować, to resztki jedzenia przechowane w kieszeniach spodni.

Rozkosz najedzenia się do syta była nam dana tylko przez dwie doby, ale skutki tego krótkotrwałego szczęścia trwały nadal. Ilość zachorowań na rozwolnienie wzrosła gwałtownie i coraz więcej ludzi umierało z tego powodu. W ogóle śmiertelność w tym obozie była tak duża, że zabrakło miejsca na składanie zwłok. Z początku kładziono je na zapleczu rewiru, a gdy zabrakło tam miejsca, z tyłu baraku latryny. Zwłok nie palono, nie grzebano ani nie wywożono. Wprawdzie obaj z ojcem uniknęliśmy niebezpiecznego rozwolnienia i ciągle jeszcze byliśmy w stanie iść o własnych siłach do latryny, ale przytłumione dotąd choroby odnowiły się teraz ze zwielokrotnioną mocą. Ojciec znów zaczął raptownie tracić siły. Ja gorączkowałem, szczególnie zaś w nocy. Trawiło mnie ogromne pragnienie i słabłem w szybkim tempie. W końcu kwietnia dni były bardzo ciepłe i słoneczne, natomiast w nocy było zimno, ponieważ barak nie miał ani okien ani podłogi. Cały czas wolny od wystawiania na placu apelowym spędzaliśmy teraz w baraku, leżąc obok siebie na gołej ziemi, ponieważ nigdzie w tym obozie nie było prycz. Byliśmy pogrążeni w jakimś półśnie, dystansując się coraz bardziej od świata zewnętrznego. W Wöbbelin nie mieliśmy absolutnie żadnych wiadomości na temat tego, co się dzieje za drutami obozu. Obserwacje poczynione jednak podczas ostatniej jazdy pociągiem nie pozostawiały żadnych wątpliwości co do tego, że klęska Niemiec jest przesądzona i bardzo bliska. Niestety, równie oczywistym wydawało się to, że my tego nie doczekamy, ponieważ życie uchodziło z nas coraz szybciej, a wojna ciągle trwała. W tym stanie rzeczy dotarł do nas rozkaz stawienia

się na plac apelowy, aby przygotować się do kolejnej ewakuacji obozu. W pierwszym odruchu przyłączyliśmy się do ludzi zdążających na apel, ale widok wagonów kolejowych stojących na bocznicach, zatrzymał nas. Nie mieliśmy żadnych złudzeń co nas spotka, jeżeli nie zgłosimy się do transportu, jednakże perspektywa nowej jazdy była tak przerażająca, że zawróciliśmy do pustego baraku i położyliśmy się na starym miejscu. Nie potrafię przypomnieć sobie na co właściwie liczyliśmy. Chyba na to, że lada chwila pojawią się tu alianci. Bo czemuż ten obóz opróżniano w takim pośpiechu? Na razie czas spłynął, było zdumiewająco cicho i nikt nas nie niepokoił.

Pod koniec dnia wszedł do baraku esesman, prawdopodobnie aby sprawdzić czy nikogo nie ma. Kiedy nas spostrzegł nie był w stanie ukryć swego zdziwienia. Podeszedł blisko, zsunął z ramienia karabin i opuścił lufę w naszą stronę. Krzycząc, rozkazał abyśmy natychmiast wstali i wyszli z baraku. Obleciał mnie strach, ale widać przeważyła odraza do ruszenia się z miejsca i jakaś obojętność. Podobnie reagował ojciec. Odpowiedzieliśmy mu cicho, że nie jesteśmy w stanie się ruszyć. Popatrzył na nas długą chwilę, zarzucił karabin na ramię i wyszedł. Nie wiem, dlaczego nie strzelał. Może wyglądaliśmy tak źle, że uznał iż bez jego kul i tak umrzemy zaraz? Noc spędziłem spokojnie, jak gdyby wszystkie troski były już za nami.

Rano usłyszeliśmy hałas i głosy wielu ludzi. Nie rozumieliśmy co się dzieje. Przecież o tej porze transport powinien być już dawno w drodze. Wkrótce pojawili się więźniowie z naszego baraku. Od nich dowiedzieliśmy się co się stało. Wagony załadowano już w południe, przy czym tłok był tak wielki, że można było tylko stać, bez możliwości osunięcia się na podłogę. Tym razem konwojenci nie weszli do środka wagonów, które od razu zostały zamknięte. Pociąg stał w pełnym słońcu aż do zapadnięcia zmroku, a w wagonach ludzie mdleli z gorąca i braku powietrza. W nocy odczepiono lokomotywy, ponieważ linia była już przerwana przez alianców. Rano odryglowano drzwi wagonów, z których wypadali uduszeni ludzie w pozycji stojącej. Ci którzy przeżyli tę noc wrócili do baraku.

Tego dnia nic się więcej nie działo. Wielu z pośród tych, którzy przetrwali ostatnią noc, położyło się obok nas na ziemi. Nikt z nikim nie rozmawiał. Po raz pierwszy nie było żadnego apelu. Upłynęła noc i gdy nastał dzień, ci z pośród nas, którzy byli silniejsi wyszli z baraku,

aby zorientować się, czy będzie wydawane jakieś jedzenie. Wrócili po chwili biegiem i zdyszani opowiadali, że esesmani wszystkich zaganiają do bloków, zabraniając opuszczania ich pod groźbą zastrzelenia. Jak gdyby na potwierdzenie tych słów na dworze rozległo się kilka strzałów. Byliśmy przerażeni, gdyż tak właśnie wyobrażaliśmy sobie przygotowanie do masakry. W baraku zapanowała cisza i wszyscy starali się jak najbardziej oddalić się od dziur okiennych. Nie wiem, jak długo trwaliliśmy w nerwowym wyczekiwaniu.

W pewnym momencie zaczęły dobiegać nas chaotyczne nawoływania, których treści nie można było zrozumieć. Odważyliśmy się zbliżyć do otworu okiennego, przez który zobaczyliśmy ukraińskich więźniów wyłamujących bramę obozową i żadnego esesmana. Był to pierwszy maja, ale o tym dowiedziałem się dopiero kilka dni później.

Ukraińcy pierwsi wyszli z obozu. Z naszego baraku tylko niewielka grupa zdecydowała się pójść w ich ślady. Kilka godzin później na teren obozu wjechał amerykański jeep, ale zatrzymał się koło bramy. Chwilę później został otoczony przez ludzi owiniętych w koce. Zanim zdążyłem się tam dostać, auto odjechało. Od tych, którzy dotykali Amerykanów i usiłowali się z nimi porozumieć, dowiedzieliśmy się, że wkrótce zostaną po nas przysłane auta. Uspokojeni wróciliśmy więc na nasze dotychczasowe leże na podłodze baraku.

A więc tak wyglądał moment naszego ocalenia. Dziś usiłuję sobie przypomnieć, jaka była moja ówczesna reakcja na to wydarzenie. Nie odnajduję w pamięci żadnego wybuchu radosnej euforii. Byłem spokojny, na razie wolny od lęku, lekko ogłuszony i zdziwiony tym co się stało i zupełnie nie umiejący się znaleźć w nowym stanie rzeczy. Nie snułem żadnych planów, chyba na najbliższe pół dnia. Oglądany cudzymi oczami wyglądałem chyba na człowieka nieporuszonego tym, co się stało. Tak samo wyglądali też wszyscy inni.

Pierwsza noc bez esesmanów upłynęła w ciszy i spokoju. Tej nocy musiałem chyba mieć wyjątkowo wysoką gorączkę. Nazajutrz, gdy okazało się, że nikt po nas nie przyjeżdża, zdecydowaliśmy się z ojcem opuścić obóz.

Wyszliśmy w dużej grupie ludzi, która wkrótce rozsypała się na mniejsze grupki, zdążające w tym samym nieznanym nikomu kierunku. Szliśmy szosą, pozostawiając za sobą las w którym znajdował się obóz. Na drodze nie było żadnego ruchu kołowego. Jedyni piesi

jakich można było dostrzec, to byli więźniowie z Wöbbelin. Mijaliśmy jednorodzinne domy otoczone ogrodami, ale nikogo nie było w nich widać. Do głowy nie przyszła mi myśl, że moglibyśmy tam wejść i czegoś zażądać.

Po kilku kilometrach dotarliśmy do torów kolejowych, które przecinały szosę i stanowiły jak gdyby rogatki miasta Ludwigslust. Tuż za torami i jak się okazało stacją kolejową, widać było kompleks budynków szpitalnych, postrzegalnych z daleka dzięki licznym flagom czerwonego krzyża, i wielkim znakom czerwonego krzyża namalowanym na spadzistych dachach szpitalnych. W tamtą też stronę skierowaliśmy nasze kroki.

Powrót: Ludwigslust – Łódź, 2 maja - druga połowa lipca 1945

Był to średniej wielkości szpital, administrowany przez religijną fundację *Stift Bethlehem*, obecnie przekształcony w lazaret wojskowy. Przy wejściu do portierni natknęliśmy się na żołnierzy niemieckich w mundurach lub piżamach i szlafrokach. Choć byli nieuzbrojeni musiałem jednak przezwyciężyć moment instynktownego lęku, gdy mijaliśmy ich wchodząc na duży dziedziniec. Tam skierowano nas w stronę płonącego ogniska, gdzie zgromadzonych już było kilku więźniów, którzy przybyli tu przed nami.

Personel szpitalny, zarówno cywilny jak i umundurowany zwracał się do nas jakby nigdy nic, co wydawało mi się dziwne, biorąc pod uwagę to co działo się jeszcze wczoraj. Kazano nam rozebrać się do naga i wrzucić do ognia całą odzież. Każdy dostał po jednym kocu, w który owinęliśmy się oraz małą kostkę prawdziwego mydła do prania. Zaprowadzono nas do obszernego pomieszczenia kąpielowego, gdzie z pryszniców bez przerwy leciała bardzo ciepła woda. Myliśmy się długo i starannie, wcierając w głowę sabadyłę, a do wytarcia dostaliśmy

miękkie ręczniki frotowe. Przeżyliśmy coś prawdziwie fantastycznego. Stamtąd udaliśmy się do jednego z baraków szpitalnych.

W naszym pokoju stały cztery łóżka, z których trzy były zajęte, a w każdym z nich leżało dwóch ludzi pogrążonych we śnie. Byli nam nieznani, choć pochodzili z tego samego obozu co my. Znowu doznaliśmy wspaniałego uczucia, gdy oboje z ojcem przyodziani w nocne koszule kładliśmy się do czystego łóżka, mającego poduszkę, materac i czystą, kratkowaną na niebiesko bieliznę pościelową.

Przez pierwsze, dwa dni nie zajrzał do nas żaden lekarz, ale nie zwracaliśmy na to żadnej uwagi. Dostawaliśmy bowiem trzy posiłki dziennie - dla nas wspaniałe - ale obiektywnie rzecz biorąc chyba bardzo skromne, gdyż szpital musiał mieć trudności z zaopatrzeniem. Rano i wieczorem przynoszono nam po kilka kromek ciemnego, czerstwego chleba z niewielką ilością margaryny albo marmolady z buraków. Do picia, kawę zbożową zabielaną mlekiem i osłodzoną cukrem. Typowy obiad składał się z jakiejś zupy, kilku kartofli ugotowanych w łupinach i jajka na twardo, albo cienkiego plasterka mięsa w zawieszistym, mącznym sosie. Nie czuliśmy się tym pokrzywdzeni, nawet wtedy, gdy dowiedzieliśmy się, że ci z pośród nas, którzy trafili do amerykańskiego szpitala w mieście objadali się wszelkiego rodzaju przysmakami. Skutek tej chudej diety okazał się dla nas zbawienny, gdyż nikt w szpitalu niemieckim nie zachorował na śmiertelne rozwolnienie. Masa ludzi umarła natomiast z tego powodu w szpitalu amerykańskim w kilka dni po tym gdy zainstalowali się tam.

Jedzenie stawiano nam na stoliku nocnym, ale nikt nie usiłował nakłaniać do jedzenia czy też karmić chorych, którzy sami nie mogli, albo nie chcieli jeść. Przy serwowaniu następnego posiłku zabierano nieruszone, lub prawie nietknięte talerze i stawiano nowe jedzenie. Ta rutyna nie uszła mojej uwadze. Trzeciej nocy wstałem z łóżka i nie zapalając światła obszedłem stoliki nocne, zjadając wszystkie nie dojedzone do końca i pozostawione kolacje. Proceder ten uprawiałem krótko, ponieważ po kilku dniach ci nie jedzący ludzie zmarli, nie odzyskując przytomności. Nigdy też nie zmieniałem z nimi żadnego słowa, ponieważ bez ustanku spali. Z

nazwisk, które figurowały na ich kartach chorobowych, zdawało się wynikać, że dwoje było Francuzami, a jeden był Hiszpanem.

Po kilku dniach okazało się, że wprawdzie pozbyliśmy się wszy odzieżowych, jednak mędy zagnieżdżone w owłosieniu przeżyły kąpiel, sabadylę i zmianę bielizny. To samo występowało u wszystkich innych pacjentów z Wöbbelin. Z odsieczą przyszli amerykańscy sanitariusze wojskowi uzbrojeni w duże wiadro proszku DDT, szufelkę oraz ręczną pompkę do rozpylania proszku. Zdjęto z nas kołdry, kazano zadrzeć koszulę pod brodę i rozkraczyć nogi. W ciągu kilku minut zostaliśmy pokryci grubą warstwą proszku - zabieg dziś nie do pomyślenia. Kuracja okazała się jednak skuteczna i wszy nigdy już więcej nie pokazały się.

Badania lekarskie i przeprowadzone próby ujawniły u mnie gruźlicę płuc. Nie byłem tym ani zaskoczony, ani zaniepokojony, ponieważ wierzyłem wtedy, że dobre odżywienie jest najlepszym lekarstwem na wszystko. Nikt nie informował mnie bliżej na temat stanu mego zdrowia, a z karty chorobowej dowiedziałem się tylko, że prątkuję. Mierzono mi regularnie gorączkę, która stopniowo i stale zmniejszała się. U ojca poza wyczerpaniem nie stwierdzono innego schorzenia. Ani ojciec ani ja nie dostawaliśmy żadnych leków, ale wystarczające jedzenie i odpoczynek sprawiły, że po upływie kilku dni zaczęliśmy powoli wstawać z łóżka. Śmierć szeregu pacjentów i przemieszczenie innych sprawiły, że każdy z nas dostał teraz oddzielne łóżko.

Wyraźną oznaką mego powolnego powrotu do zdrowia było między innymi ponowne zainteresowanie się sprawami świata. W dalszym ciągu nie wychodziliśmy jednak z ojcem poza obręb szpitala i nie często opuszczaliśmy nawet pokój. Silne osłabienie, a także brak jakiegokolwiek odzieży, uniemożliwiał bardziej aktywny tryb życia. Wiedziałem jednak, że w najbliższym sąsiedztwie szpitala stacjonuje jakaś amerykańska jednostka wojskowa, której niektóre czynności można było obserwować z okna naszego baraku. Widzieliśmy żołnierzy po służbie zabawiających się rzucaniem podków w kierunku palików wbitych w trawnik. Przyglądaliśmy się, kiedy żołnierze jedli i widzieliśmy jak niezjedzone resztki wrzucali do wielkiego kontenera, którego zawartość wydawała mi się prawdziwym skarbem. Była tam nie tylko duża ilość nie-
tkniętego, dobrego jedzenia, ale masa różnych przedmiotów, które według mnie nadawały się

do użytku. Sam wyciągnąłem kiedyś nieprzemakalny płaszcz wojskowy, który był naderwany poniżej pachy, ale podklejony od środka leukoplastem, spełniał swą funkcję doskonale.

Kontener był nawiedzany stale przez Niemców, którzy wyciągali stamtąd różne rzeczy, ale przede wszystkim niedopałki papierosów, które Amerykanie odrzucali często po kilku pociągnięciach. Odnosiło się wrażenie, że jest to armia niezwykle bogato wyposażona, a obserwując stosunki panujące między szeregowcami a oficerami uderzał ich mało formalny charakter. W kontenerze zaopatrywałem się też regularnie w jedyną dostępną dla mnie gazetę *Stars and Strips*. Nie wiele korzystałem z tej lektury gdyż tekst obfitował w różne literowe skróty, których znaczenia nie rozumiałem, informacje zaś nawiązywały do faktów i zdarzeń, o których nigdy nie słyszałem, wreszcie moja znajomość angielskiego była bardzo marna. Ale 8 maja wpadł mi w ręce egzemplarz gazety, która na pierwszej stronie miała wydrukowane tylko dwa gigantyczne słowa, wypełniające cały arkusz: *N A Z I Q U I T*. To był koniec wojny! Zaraz po tym przytrafiło nam się groteskowe i przykre zdarzenie. Któryś z naszych dawnych znajomych będący pod opieką amerykańskiego szpitala, odwiedził nas i opowiedział jak dobrze tam jest. Oprócz gotowanych posiłków, pacjenci otrzymują tam dużą ilość konserw mięsnych, kompoty, soki owocowe i inne delikatesy, nie mówiąc już o przydziałach amerykańskich papierosów. Wszyscy zostali wyposażeni w przyzwoitą odzież i obuwie, które nasz gość chętnie demonstrował. Namawiał nas gorąco, abyśmy zdecydowali się na przeniesienie. Opowiadanie jego wywarło na nas wrażenie, ale wzbranialiśmy się przed taką zmianą, ponieważ byliśmy zadomowieni w dotychczasowym miejscu. Zdecydowaliśmy się jednak na ten krok po tym, gdy i dyrekcja szpitala niemieckiego zaczęła nas namawiać na przeprowadzkę. Któregoś dnia przyjechał po nas amerykański ambulans wojskowy i po oddaniu szpitalnej koszuli i okryciu się amerykańskim kocem, pojechaliśmy w nowe miejsce.

W czasie jazdy nie mogliśmy niczego zobaczyć, a gdy drzwi ambulansu zostały otwarte, znaleźliśmy się w centrum miasta na jakimś wielkim placu. Przed nami wznosił się ponury budynek szpitalny z czerwonej cegły, a właściwie koszary Wehrmachtu, przekształcone przez Amerykanów na lazaret. Po drodze do głównego wejścia minęliśmy kilka kuchni polowych przy-

gotowujących jedzenia dla szpitala, podgrzewanych huczącymi palnikami naftowymi. Wnętrze szpitala wywarło na nas przygnębiające wrażenie. Na klatce schodowej panował duży ruch i hałas powodowany przez żołnierzy amerykańskiej łączności, którzy przeciągali linie telefonu polowego. Na razie nie spotkaliśmy nikogo z personelu szpitalnego w charakterystycznym białym fartuchu, natomiast kilkakrotnie mijali nas niemieccy lekarze w mundurach oficerskich, skierowani tu prawdopodobnie przez Amerykanów do pracy. W pokojach brak było mebli, a chorzy leżeli na składanych łóżkach z brezentu. Nie było bielizny pościelowej, tylko niepowleczone koce koloru khaki.

Część chorych znajdowała się poza swymi pokojami, stąd też duży ruch ludzi na korytarzach, na schodach i w pomieszczeniach ogólnych. Prawda, wszyscy byli przyzwoicie ubrani w cywilną odzież, a koło łóżek stały nagromadzone zapasy puszek konserw, pudełek i paczek papierosów. Byliśmy w tym szpitalu długą chwilę i nikt nas nie nagabywał. Zaglądaliśmy do różnych pokoi, chodziliśmy po różnych piętrach bez tego, aby ktokolwiek zwrócił na nas uwagę. Było rzeczą oczywistą, że ten szpital jest bogato zaopatrzony, a także to, że znajdował się w stadium organizacji i chaosu. Na tym tle nasza skromna egzystencja w niemieckim szpitalu, którego sprawne funkcjonowanie dawało poczucie opieki, wydawała się czymś nieskończenie lepszym.

Naradziliśmy się z ojcem co robić i postanowiliśmy za wszelką cenę wrócić do poprzedniego miejsca. Uważaliśmy przy tym, że nie można nikogo prosić o odwiezienie, po tym gdy dopiero co przywieziono nas tutaj. Trzeba to było zrobić na własną rękę choć zadanie było trudne. Przede wszystkim musieliśmy opuścić szpital, którego drzwi wyjściowe były strzeżone przez uzbrojonego wartownika. Udało nam się doczekać chwili, kiedy żołnierz ten zszedł na chwilę ze swego posterunku i wymknęliśmy się na dwór. Dopiero teraz stanęliśmy wobec dużych kłopotów. Po pierwsze, byliśmy nadzy, t.j. okryci tylko kocem, po drugie, byliśmy bosi, po trzecie nie wiedzieliśmy, gdzie się znajdujemy, po czwarte nie wiedzieliśmy jak się nazywa niemiecki szpital, ani jaki jest jego adres, po piąte, nie wiedzieliśmy w jakim kierunku iść. Problem polegał na tym, aby jak najszybciej oddalić się od amerykańskiego szpitala, gdyż w przypadku zatrzymania bylibyśmy z pewnością odstawieni tam z powrotem. Dla tej samej przyczyny

należało unikać ludzi, których w innych okolicznościach można by było zapytać o drogę. Niestety, był to jednak środek dnia i znajdowaliśmy się w centralnej części miasta, na którego ulicach panował ożywiony ruch pieszy i kołowy.

Przede wszystkim staraliśmy się zejść ludziom z oczu i dlatego skręciliśmy w pierwszą lepszą boczną ulicę. Oczywiście zauważono nas z miejsca i niektórzy przystawali na nasz widok, ale na razie nikt nie usiłował nas zatrzymać. Szliśmy tak szybko, żeśmy prawie biegle aż dotarliśmy do uliczki na której parkował długi rząd pustych ciężarówek wojskowych. Postanowiłem zaryzykować i zwróciłem się do pierwszego z brzegu kierowcy z prośbą, aby nas zawiózł do szpitala, położonego koło toru kolejowego. Innego adresu nie byłem w stanie dać. Powołałem się przy tym na to, że jesteśmy byłymi więźniami obozu koncentracyjnego, co musiało brzmieć przekonująco, zważywszy nasz wygląd i w szczególności wygolony pas włosów idący środkiem głowy. Spotkaliśmy się z życzliwym przyjęciem i wkrótce zostaliśmy podsadzeni na wysoką platformę wozu, gdy okazało się, że nie jesteśmy w stanie wdrapać się o własnych siłach. Auto ruszyło z miejsca a my uspokojeni usiedliśmy na ławce pod brezentową budą, która zasłaniała widok ulicy. Jechaliśmy tak długo, że w pewnej chwili postanowiłem zobaczyć, gdzie jesteśmy. Był to czas najwyższy, ponieważ z daleka widać było zbliżający się plac i szpital, z którego niedawno uciekliśmy. Albo nie zostałem zrozumiany przez kierowcę, gdzie ma nas wieźć, albo nie znał on miasta i postanowił pozbyć się kłopotu, odwożąc nas do znanego mu szpitala amerykańskiego. Wpadłem w panikę i zacząłem bić pięścią w tylne okienko szoferki, gdy spostrzegłem, że siedzący tam żołnierze nie słyszą mego wołania. Na szczęście to pomogło. Wytężając się jak tylko mogłem, starałem się kiepską angielszczyzną wytłumaczyć, że nie chcemy amerykańskiego szpitala i wyjaśniałem przy pomocy naśladowania dźwięku lokomotywy i powtarzania w kółko słów *railway stadion*, o co nam właściwie chodzi. W końcu zostałem zrozumiany, gdyż nie długo po tym wylądowaliśmy przed wejściem do naszego dawnego baraku.

Ani lekarz dyżurny, ani pielęgniarki nie starały się ukryć rozczarowania na nasz widok. Nie odmówiono nam powtórnego przyjęcia do szpitala, ale zrobiono to z ostentacyjną niechęcią.

Być może wtedy właśnie Niemcy wpadli na pomysł jak się nas pozbyć. Nie mieliśmy przecież żadnej odzieży, a więc nie mogliśmy opuścić szpitala, nawet gdybyśmy tego chcieli. W każdym razie, następnego dnia zaprowadzono nas i wszystkich innych więźniów z Wöbbelin do magazynu, w którym znajdowała się duża ilość różnego rodzaju używanych mundurów. Mogliśmy sobie wziąć cokolwiek by nam odpowiadało. Wybór był rzeczywiście duży. Wisiały tam mundury szeregowców i oficerów różnych formacji Wehrmachtu oraz musztardowego koloru mundury funkcjonariuszy NSDAP, uszyte z dobrego wełnianego diagonalu. Zdecydowaliśmy się na feldgrau, kierując się w wyborze odzieży odpowiednim rozmiarem i małym stopniem zużycia. W ten sposób mnie przypadł mundur oficerski z aksamitnym kołnierzem, a ojcu mundur szeregowca. W obu sprułem orła ze swastyką w szponach i w jego miejsce przyszyłem białoczerwoną wstążeczką. Po dopasowaniu zwykłych butów, byliśmy gotowi do wyjścia.

Okazja nadarzyła się wkrótce. Mieliśmy uczestniczyć w charakterze widzów w ceremonialnym pogrzebie pewnej ilości więźniów z Wöbbelin, którzy zmarli już po wyzwoleniu. Organizatorem uroczystości był wojskowy komendant Ludwigslust, który prawdopodobnie wziął sobie do serca dyrektywę władz okupacyjnych w sprawie denazifikacji Niemiec.

Przed ozdobną, frontową ścianą pałacu hrabiego Schwerina, zaraz za rabatami pełnymi kwiatów, był wykopany równy rząd grobów. Obok każdego grobu leżały zwłoki owinięte w białe prześcieradło, przyozdobione małą wiązanką kwiatów. Na wysokiej trybunie, nad którą powiewały flagi USA, Anglii, ZSRR i Francji, stał komendant miasta oraz trzech umundurowani kapelani armii amerykańskiej: pastor, rabin i ksiądz. Po odprawieniu przez nich modlitw żałobnych, wyznaczeni Niemcy zaczęli kłaść zwłoki do grobów. Po tym, przed otwartymi grobami zaczęła się niekończąca procesja chyba całej dorosłej ludności Ludwigslust. Na końcu tej defilady były ustawione stoły, przy których siedzieli urzędnicy, stemplujący kartki żywnościowe tych, którzy wzięli udział w pogrzebie.

Nie myślałem, że wystarczą tylko dwa tygodnie, aby zaspokoić moją nieustającą chęć jedzenia. Faktem jest jednak, że po upływie czternastu dni od wejścia do szpitala moje łaknienie spadło do poziomu normalnego, a wraz z tym powracały moje dawne nawyki i uprzedzenia w jedzeniu. Po miesiącu byłem jak gdyby zdrow. Nie gorączkowałem, znikła notatka o

prątkowaniu, czułem się w formie. Nikt ze mną nie rozmawiał na temat mego zdrowia i nie widziałem powodu, aby niepokoić się gruźlicą, która później w Polsce znów dała znać o swoim istnieniu.

Fizycznej normalizacji towarzyszył powrót dawnych zainteresowań, a w ślad za tym pewna aktywność polityczna. Moja świadomość była w dalszym ciągu kształtowana przez idee wyniesione z organizacji gettowej, choć nieco zmodyfikowane. Zetknięcie się z armią amerykańską, która sprawiała sympatyczne wrażenie, złagodziło mój krytycyzm wobec wszystkiego co amerykańskie. Oschły i dogmatyczny stosunek, z jakim spotkałem się w ostatnich dniach getta ze strony mojego organizacyjnego zwierzchnika, sprawił, że poczułem się zwolniony z obowiązku przestrzegania surowych nakazów i zakazów organizacyjnych. Odbiło się to przede wszystkim na moim stosunku do ojca, który uległ ogromnej poprawie, szczególnie po niezapomnianym przeżyciu w Wattenstedt. Wiedziałem, że oddzielają mnie od ojca te same głębokie różnice przekonań co dawniej i że nie ma możliwości, aby ten stan rzeczy się zmienił. Zdawałem sobie jednak sprawę, że prawdopodobnie jesteśmy teraz sami, bez matki i zdani na siebie jako najbliżsi ludzie. Żenowało mnie wspomnienie *walki klasowej*, jaką toczyłem przeciwko ojcu i starałem się wyprzeć ten fakt z mojej pamięci. Nigdy jednak nie doszło między nami do jakiegokolwiek zasadniczej rozmowy na ten temat.

Byliśmy zgodni co do tego, że pojedziemy do Polski, chociaż Amerykanie proponowali pobyt w jakimś sanatorium w Schwarzwaldzie ze względu na moją gruźlicę. Spodziewaliśmy się, że w Łodzi dowiemy się czegoś pewnego o losie matki. W tym czasie ojciec nie miał jeszcze sprecyzowanych planów co do emigracji, natomiast dla mnie istniała tylko alternatywa powrotu do kraju i pozostania w nim.

Mimo, że starałem się o zdobycie każdej informacji na temat Polski, niewiele udało mi się uzyskać w tym zakresie. Nadajnik polskiego radia był w tym czasie tak słaby, że nawet nasz wielolampowy Telefunken nie był w stanie złowić niczego więcej niż polsko brzmiącą mowę, której nie sposób było zrozumieć. Moja wiedza o Polsce była prawie równa zeru. Byłem jednak przekonany, że komuniści mają decydujący wpływ na politykę państwa, oraz, że kraj na pewno jest zniszczony wojną. Resztę dedukowałem z zasad ideologicznych. Pierwszym impul-

sem, który skłonił mnie do zajęcia czynnej postawy była wiadomość, że w najbliższym czasie Amerykanie wycofają się z Ludwigslust, a ich miejsce zajmą Anglicy i Belgowie. W mieście panował zwiększony ruch ciężarówek wojskowych, które ewakuowały sprzęt i ludzi. Dowiedziałem się, że wielu byłych więźniów oraz osób deportowanych czy też zwervowanych przez Niemców do pracy opuszcza miasto z Amerykanami, przewidując, że ostatecznie wkroczą tu Rosjanie. W przeciwieństwie do większości, cieszyłem się na myśl o przyjeździe Rosjan. Po za względami ideologicznymi, które nastrajały mnie pozytywnie do takiego obrotu spraw spodziewałem się, że dzięki temu nasz powrót do Polski będzie ułatwiony i przyspieszony. Już wcześniej znajdujący się w Ludwigslust Francuzi i Bemowie zostali ewakuowani samolotami, które przyleciały po nich z Francji, a zaraz potem autobusy przysłane z Pragi zabrały do domu obywateli czechosłowackich. Spodziewaliśmy, że i dla nas polskie władze załatwią repatriację, ale to się nie stało.

Miasto było w dużym stopniu opróżnione z ludzi, gdy pojawili się Anglicy i Belgowie. Różnili się od Amerykanów nie tylko umundurowaniem, ale wyraźnie skromniejszym wyposażeniem materialnym. Ich władza okupacyjna miała trwać krótko. Zgodnie z porozumieniami sojusznicy cały prawy brzeg Łaby przechodził w ręce radzieckie, a rzeka stawała się granicą między Wschodem a Zachodem. W mieście panował nastrój podniecenia, ponieważ ci z mieszkańców, którzy dotąd wahali się czy opuścić Ludwigslust musieli teraz podjąć ostateczną decyzję. Dotyczyło to w równej mierze Niemców jak i cudzoziemców.

W przeddzień wycofania się Anglików - Belgowie wyszli wcześniej - ciężarówki wojskowe objeżdżały szpitale i inne miejsca zamieszkałe przez nie-Niemców, oferując ostatnią szansę wyjazdu do zachodnich stref okupacyjnych. Właśnie wtedy zbudziła się we mnie chęć przeciwdziałania masowej migracji na Zachód. Pozbawiony czyichkolwiek instrukcji czułem, że taka powinna być postawa komunisty. Masowy exodus Niemców oraz osób deportowanych różnych narodowości, a wśród nich - co było najprzykrzejsze - Rosjan i Ukraińców, był w moich oczach rodzajem plebiscytu, w którym ci, którzy z racji osobistej znajomości komunizmu powinni byli oczekiwać nadejścia armii radzieckiej, wybierali kapitalizm.

Przystępując do działania oparłem się na własnym pojmowaniu dyktatury proletariatu. Byłem pewien, że korzyści wynikające z komunizmu są tak oczywiste, że wystarczy doprowadzić ten fakt do świadomości ludzi, aby stali się zwolennikami nowego ustroju. Uważałem się za realistę i dlatego zakładałem, że na pewno są tacy, których żaden argument nie będzie w stanie przekonać. W stosunku do nich uzasadnione będzie stosowanie przymusu. Rozumowanie to zakładało oczywiście, że ci przekonani siłą argumentacji będą stanowili większość, a oporni - znikomą mniejszość. Z punktu widzenia etycznego wydawało się to równie nienaganne, jak narzucenie woli przez większość, pokonanej w wyborach mniejszości. Opierając się na takiej wierze zamierzałem siłą argumentów odwieść jak najwięcej ludzi od zamiaru wyjazdu na Zachód. Przesłanką powodzenia powinno być przekonanie człowieka, którego chciałem pozyskać, że może bez żadnej obawy przedstawić swoje racje, które byłem pewny, że zbiję siłą moich argumentów.

W gruncie rzeczy metodę tę wypróbowałem z ograniczonym skutkiem już wcześniej, w okresie gdy Amerykanie organizowali pierwszą dobrowolną ewakuację ludności cywilnej przed opuszczeniem Ludwigslust. Za obiekt agitacji wybrałem młodego lekarza Niemca, który obnosił się z myślą opuszczenia miasta i pracował w naszym baraku szpitalnym, Odbyłem z nim szereg długich rozmów posługując się bardzo złym językiem niemieckim, którego nigdy nie miałem okazji się uczyć. Po upływie dziesięciu dni doktor nie pokazał się więcej w pracy, co znaczyło, że opuścił Ludwigslust. Z tego punktu widzenia nic nie wskórałem, ale uzyskałem dowód, że można człowieka skłonić do szczerości nawet jeżeli ma powody, aby się lękać ujawnienia swoich poglądów. W trakcie naszych rozmów doktorowi rozwiązał się język, chociaż wiedział, że mówi z Żydem i komunistą. Agitując go, nigdy nie powoływałem się na moje przeżycia w getcie i obozie. Zajmowałem się wyłącznie problematyką Niemiec, o której nie miałem najmniejszego pojęcia. Okoliczność ta w niczym mi jednak nie przeszkadzała, ponieważ wszystko i tak dawało się wydedukować z założeń teorii marksistowskiej. Doktor przyjął wyzwanie i dyskuutował ze mną o przyszłości Niemiec, ale odrzucał wszystkie moje argumenty. Zbliżające się wkroczenie armii radzieckiej traktował jako ostateczną katastrofę dla tych terenów Niemiec, które do tej pory były okupowane przez zachodnie armie. Powoływał się przy tym - jak twierdził

- na masowe morderstwa, gwałty kobiet, rabunek i wypędzanie niemieckiej ludności cywilnej z terenu Prus Wschodnich i Pomorza Zachodniego. Opowiadał straszne rzeczy, o których nic nie wiedziałem i choć próbowałem zaprzeczać, czułem, że moje argumenty wysnute z abstrakcyjnej teorii nie mogą się oprzeć nawale przytaczanych przez niego faktów. Rozmowa była na tyle szczerą, że pewnego razu wyznał mi, iż był członkiem NSDAP, choć go o to nie pytałem. Mogłem być z tego zrobić użytek, ponieważ był to czas, gdy w Niemczech trwała akcja denazyfikacyjna. Nie zrobiłem tego jednak, podobnie jak później w Polsce, gdzie respektując szczerą moją przeciwnika ideologicznego zdołałem niejednego przekonać do nowego ustroju.

Pierwszym i jedynym człowiekiem, którego skutecznie zaagitowałem był Polak. Nazywał się Henryk Siemiński. Był to sympatyczny i inteligentny mężczyzna, znacznie młodszy od mojego ojca, ale starszy ode mnie. Pochodził z jakiejś wsi położonej na prawym brzegu Wisły, skąd Niemcy wywieźli go na roboty. Nie chciał wracać do Polski dlatego, że nie miał po co i dokąd. Jego gospodarka i wieś rodzinna nie istniały, gdyż uległy całkowitemu zniszczeniu w skutek działań wojennych. Poza tym nie chciał komunizmu, ani Rosjan. Z tej strony spodziewał się wszystkiego najgorszego. Spędzałem z nim wiele czasu i bez przerwy namawiałem go do powrotu. Kiedy piszę te słowa, sam nie wiem, w jaki sposób udało mi się go przekonać, bo nie był to człowiek głupi. Przypuszczam, że jakąś w tym rolę odegrał mój misjonarski żar, z jakim malowałem mu wizję socjalistycznych szklanych domów. Był to jedyny człowiek na którego zdołałem wtedy wpłynąć, ale też nie zajmowałem się nikim innym. W każdym razie dało mi to dużą satysfakcję i umocniło we mnie przekonanie, że potrafię być dobrym agitator, co też faktycznie potwierdziło się później w okresie Polski Ludowej.

W dniu wejścia Rosjan staliśmy z ojcem i Henrykiem na brzegu chodnika głównej ulicy miasta. Bardzo mało ludzi przyglądało się w milczeniu wkraczającym wojskom. Nie dlatego, aby wszyscy opuścili Ludwigslust, ale po prostu brak było chętnych. To co widziałem było żenujące. Armia radziecka wtaczała się w na pozór nieuporządkowany sposób. Nie było pieszych oddziałów i wszystko było transportowane przez ciężarówki albo wozy z zaprzęgiem konnym. Szoferki ciężarówek radzieckich były wykonane z desek i wyposażone tylko w jeden reflektor. Wielu żołnierzy i oficerów nosiło parciane pasy zamiast skórzanych, a wysokie buty z

cholewami nie rzadko zrobione były z zielonego brezentu. Duża część taboru samochodowego składała się ze zdobycznych cywilnych aut niemieckich. Najbardziej przygnębiające wrażenie robiły jednak podwozy. Były to biedne, chłopskie wózki o burtach zrobionych z desek albo plecionej wikliny, osadzone na małych kółkach, ciągnięte przez zabiedzone konie. Wozy te, podobnie jak platformy ciężarówek, załadowane były po brzegi zdobyczą wojenną, albo może po prostu zrabowanymi rzeczami cywilnego użytku. Wśród tej rzeki pojazdów konnych i motorowych przewijali się żołnierze jadący na cywilnych rowerach, nie rzadko damskich. Rzuciła się w oczy niewielka ilość artylerii i broni pancerniej. Pamiętam, że ogarnęło mnie zdziwienie, jak taka armia mogła złamać potęgę Wehrmachtu.

Odpowiedź na to pytanie dostałem wkrótce, w czasie podróży do Polski. Przypominam sobie niekończące się długie transporty kolejowe sunące sąsiednim torem w kierunku przeciwnym niż nasz, a składające się z niezliczonej ilości platform na których załadowane były ciężkie czołgi i samobieżne działa. Była to niezwykle przekonywująca demonstracja potęgi, a więc tego czego oczekiwałem po Związku Radzieckim. Wtedy jednak, w Ludwigslust stałem przerażony widokiem materialnego ubóstwa i jak gdyby chaosem organizacyjnym armii radzieckiej. Wstydziłem się spojrzeć Henrykowi w oczy i gorączkowo poszukiwałem argumentów, którymi mógłbym zmniejszyć szkodę spowodowaną fatalnym obrazem wkraczającej armii. Po kilku dniach życie w Ludwigslust wróciło do normy. Znikł jednak tłok na chodnikach ulic w centrum miasta, co świadczyło o zmniejszonej liczbie mieszkańców. Zmalała też ilość samochodów, te zaś, które jechały, były wyłącznie służbowe. Wkrótce pojawiły się na placach i ulicach czerwone flagi i transparenty, zaś na murach zarządzenia nowego komendanta wojskowego. Zawiązała się pierwsza komórka komunistycznej partii. Jednego z jej aktywistów, noszącego czerwoną opaskę na ramieniu można było często spotkać na mieście; na oko był młodszy ode mnie. Zadowolalem się faktem, że miasto jest pod kontrolą radziecką i komunistyczną, ale nie szukałem żadnego kontaktu ani z Rosjanami, ani członkami niemieckiej partii. Nie czytałem w tym czasie żadnej gazety ani książki, nie byłem do tej pory ani razu w kinie ani w teatrze - o ile jakiś istniał w Ludwigslust. Ta niezaangażowana postawa nie była rezultatem jakiejś decyzji czy też prze-

myślenia, ale wynikała stąd, że moje myśli obracały się tylko wokół jednej sprawy: zbliżającego się powrotu do Polski.

Mój brak zainteresowania sprawami miejscowymi był tak totalny, że nie wiedziałem nawet, jak wygląda sytuacja aprowizacyjna ludności miasta, ani jakie są ceny. Kiedyś, tuż przed wyjazdem do Polski poszliśmy z ojcem do wielkiego sklepu materiałów piśmiennych, aby zobaczyć co można by kupić celem zabrania do Łodzi. Przewidywaliśmy, że w Polsce będzie panował brak wszelkich towarów. Zastaliśmy dwóch ekspedientów i absolutnie puste półki. Jedyna rzecz, jaką nam zaofiarowano, to małe torebki z atramentem w proszku. Kupiliśmy je, płacąc niewiarogodnie mało - kilkadziesiąt fenigów. Wyglądało na to, że waluta niemiecka mimo powszechnej ruiny zachowała swą dawną wartość!

Moją nieznamość realiów życia Niemców można także wytłumaczyć tym, że od momentu wyzwolenia żyliśmy w sposób chroniony, ponieważ szpital w którym ciągle przebywaliśmy, zapewniał nam dach nad głową i pełne utrzymanie. Nasz dobrobyt w okresie okupacji amerykańskiej opierał się w dużym stopniu na luksusowych okruchach, które spadały ze stołu amerykańskiej kuchni wojskowej i zawartości pojemnika pełnego wartościowych - w naszych oczach - przedmiotów, które były tam wyrzucane, lub kasowane. Gdy weszli Rosjanie przeszliśmy znowu na wyżywienie niemieckiego szpitala. Jedzenie było bardzo skromne, ale w wystarczającej ilości.

Wkrótce nastąpiła znacząca zmiana na lepsze. Któregoś dnia w szpitalu zjawił się radziecki pułkownik w asyście kilku oficerów w celu dokonania inspekcji. Nazajutrz dowiedzieliśmy się, że pułkownik zrobił awanturę dyrektorowi szpitala za to, że byli więźniowie i deportowani są trzymeni w drewnianych barakach, podczas gdy ranni i chorzy Niemcy mieszczą się w głównym, murowanym budynku szpitala. Tego samego dnia zarządzono przeprowadzkę. Podobnie jak inni dostaliśmy z ojcem ładny dwuosobowy pokój, wyposażony w metalowe, wygodne łóżko i duże, nowoczesne radio Telefunken. Jedzenie było znacznie lepsze i elegancko podawane. Pojawiły się desery, a dzbanek porannej kawy okryty był wełnianym pokrowcem. Oczywiście byłem ucieszony tą zmianą, ale nie tyle poprawą materialnych warunków, ile fak-

tem, że zawdzięczamy ją władzom radzieckim. Była to jedna, jedyna okazja, kiedy z satysfakcją mogłem spojrzeć Henrykowi w oczy.

Nie odczuwałem jednak satysfakcji z faktu, że Niemcy - niektórzy w ciężkim stanie - byli przenoszeni do naszego baraku. Przez cały czas getta i obozu nigdy nie fantazjowałem na temat mojego ewentualnego odwetu. Tę postawę zachowałem także po wojnie i w okresie późniejszym. I tym razem nie była ona wynikiem jakiegoś przemyślenia sprawy, ale spontaniczną reakcją na widok czyjegoś cierpienia. Sam się temu niekiedy dziwiłem, tym bardziej, że słyszałem o aktach zemsty ze strony byłych więźniów. Później czytałem wspomnienia obozowe, w których marzenie o zemście powstrzymywało upadających fizycznie i duchowo ludzi przed całkowitym załamaniem i kapitulacją. Przykładem takiej strasznej lektury jest książka Martina Graya *Wszystkim, których kochałem*. Dlaczego ze mną było inaczej? Nie wykluczam, że przyczyna tego tkwi może w fakcie, że w najgorszych nawet sytuacjach oszczędzone mi były przeżycia, które bezpośrednio godziły we mnie. Mój ojciec przeżył getto i obóz. Nigdy nie patrzyłem własnymi oczami na śmierć matki, przez co śmierć jej jak gdyby była odrealniona. Ostatni, utrwalony w pamięci jej obraz jaki wyniosłem z Oświęcimia, to widok żywej kobiety. Jeśli chodzi o śmierć innych, to nigdy nie byłem konfrontowany z tym najstraszniejszym: widziałem wprawdzie kłęby dymu i płomienie stosów, na których palono ciała zagazowanych ofiar, ale nigdy nie widziałem drzwi komór gazowych, które zamykają się za tłumem przerażonych i zrozpaczonych ludzi. W moim przypadku w grę wchodzi też pewna ogólna właściwość: uczucie litości w stosunku do tego, kto aktualnie cierpi. Z zażenowaniem muszę dodać, że dotyczy to zarówno ludzi jak i zwierząt. Być może czułbym inaczej, gdybym był zmuszony opróżniać komory gazowe, albo gdybym był torturowany? Albo może mam to, co w Izraelu określa się jako mentalność Żyda z getta? A może po prostu jestem źle wyposażony genetycznie - mam w sobie za mało agresji, która zazwyczaj zwiększa szansę przeżycia?

Zamierzaliśmy wracać do Polski zaraz po wkroczeniu Rosjan. Postanowiliśmy jednak trochę odczekać, licząc na to, że władze zajmą się naszą repatriacją. Zauważyliśmy bowiem, że z wyjątkiem młodych mężczyzn, wszyscy pozostali w Ludwigsłust Rosjanie i Ukraińcy

zostali w krótkim czasie odprawieni do Związku Radzieckiego. Młodych skoszarowano w zwykłych barakach, gdzie w cywilnej odzieży i bez broni ćwiczyli musztrę wojskową. Czasami można ich było widzieć i słyszeć gdy maszerowali czwórkami, śpiewając głośno *Katjuszę*, lub *Maska maja!* Kiedy stało się oczywiste, że nikt nie załatwi nam transportu, postanowiliśmy sami ruszyć w drogę. Z wyjątkiem zaświadczenia o pobycie w szpitalu nie mieliśmy żadnych dokumentów ani przepustek. Fakt ten jednak wcale nas nie niepokoił, podobnie jak brak pieniędzy.

W drugiej połowie lipca 1945 roku, bez biletów, wsiedliśmy do wagonu III klasy pociągu jadącego do Berlina. Zarówno ojciec jak i Henryk dźwigali, każdy po ciężkim worku zawierającym cały nasz dobytek. Składał on się głównie z bielizny i odzieży oraz pokaźnej ilości amerykańskich konserw wojskowych, które były bardzo ciężkie. Ja borykałem się z wielką i nieporęczną skrzynią ciężkiego Telefunkena, którego zabrałem z naszego pokoju.

Okolo południa wysiedliśmy na jednym z centralnych dworców berlińskich. Jak wszystkie inne dworce nosił ślady zniszczeń wojennych i udekorowany był portretami Stalina oraz transparentami zawierającymi hasła propagandowe. Najczęściej powtarzający się napis głosił: *Hitlerzy przychodzą i odchodzą, ale naród niemiecki pozostaje*. Wbrew oczekiwaniu ruch pociągów i ludzi był tu dość umiarkowany. Ruszyliśmy przez miasto, kierując się w stronę dworca Berlin-Lichtenberg, gdyż jak nam powiedziano, stamtąd odchodzą pociągi do Polski.

Szedłem przyglądając się z ciekawością pokonanej stolicy Rzeszy. W tym czasie nie było jeszcze śladów rozpoczynającej się odbudowy, ale chodniki i jezdnie były starannie oczyszczone z gruzu, tak, że ruch pieszy i kołowy toczył się bez przeszkód. Wszystkie pojazdy, które widziałem, były wyłącznie wojskowe. Transport cywilny ograniczał się do małych wózków ciągnionych przez ludzi a nawet wózków dziecięcych załadowanych rzeczami. Na ruchliwych skrzyżowaniach stały radzieckie żołnierki w granatowych beretach i przy pomocy dwóch małych chorągiewek kierowały ruchem. Na całej trasie naszego marszu nie widziałem żadnego całego budynku. Część domów była doszczętnie zniszczona i na ich miejscu były usypane regularne przyzmy gruzów. Inne domy sprawiały na pozór wrażenie nietkniętych, ale były to wypalone wielopiętrowe ściany, pozbawione dachu i futryn okiennych. Nigdzie nie widziałem jakiegokolwiek sklepu, lub kramu. Zapatrzone w to miasto ruin potknąłem się o jakąś nierówność chodnika i

wypuściłem z rąk Telefunkena. Uderzenie o bruk okazało się fatalne. Przygnębiony stratą radia zatrzymałem się na chwilę, po czym dołączyłem do ojca i Henryka. Wkrótce miałem się przekonać, że zmartwienie moje było bezpodstawne, gdyż i tak nie było mi przeznaczone dowiezienie radia do Łodzi.

Dworzec Berlin-Lichtenberg w niczym nie przypominał poprzedniej stacji kolejowej. Perony oraz przyległe do nich, rozległe torowiska pełne były ludzi. Część z nich tłoczyła się na skraju peronu w oczekiwaniu na pociąg, którego nie było widać. Inni koczowali na zapleczu i w budynku stacyjnym. Tłum był bardzo różnorodny. Wszędzie było pełno wojskowych, wśród których ku wielkiej radości rozpoznałem pierwszych od września 39 roku żołnierzy w polskich mundurach. Przeważali jednak cywile, w większości mężczyźni. Wokół rozlegała się mowa rosyjska, ale często ocieraliśmy się o ludzi mówiących po polsku. Spora ilość ludzi miała azjatyckie twarze. Znikąd nie można było uzyskać żadnej wiarygodnej informacji. Wiadomym było tylko, że raz na dobę we wczesnych godzinach przedpołudniowych podstawiano pociąg idący do Polski, na który wszyscy czekali. Ponieważ czas ten się właśnie zbliżał, więc ogólne napięcie rosło, a tłok wzdłuż krawędzi peronu był tak wielki, że groził zepchnięciem w dół, na tor, tych, którzy stali najbliżej. Przyglądając się temu wszystkiemu wątpiliśmy, czy uda nam się dostać do pociągu. Było bowiem rzeczą jasną, że w wagonach znajdą się tylko ci, którzy w brutalnej walce zdobędą miejsce. Rzeczywiście, niektórzy czekali tu już któryś dzień z rzędu, ponieważ nie byli w stanie dostać się do wagonu.

Nagle, na odległy tor, przed właściwą stacją wtoczył się wolno długi pociąg towarowy, składający się z otwartych platform, na których załadowane były olbrzymie części maszyn. Na końcu pociągu przyczepiony był kryty wagon towarowy, z którego sterczała blaszana rura piecyka. W rozsuniętych drzwiach wagonu stało kilku żołnierzy - konwojentów. Kiedy pociąg nieoczekiwanie stanął, niektórzy z pośród czekających zaczęli zeskakiwać z peronu na szyny i biec na przełaj w kierunku stojącego transportu. W ślad za nimi ruszyli inni, choć większość nie ruszała się z miejsca. Odbyliśmy z ojcem i Henrykiem krótką naradę. Pociąg wyraźnie zmierzał w kierunku wschodnim. Byliśmy zgodni co do tego, że szanse dostania się do pociągu osobo-

wego są bardzo nikłe. Ponieważ pogoda była dobra postanowiliśmy zaryzykować jazdę pod gołym niebem. Ci, którzy nie ruszali się z miejsca, prawdopodobnie nie byli na to gotowi.

Zainstalowaliśmy się wygodnie wśród różnego żelastwa i po niedługim czasie pociąg ruszył. Byliśmy w dobrym nastroju, który trwał około piętnastu minut. Wtedy właśnie pociąg stanął i został zweslowany na jakąś odległą bocznice. Lokomotywa została odczepiona i odjechała. Znaleźliśmy się na wielkim torowisku, w pustym polu, ale ciągle jeszcze na terenie Wielkiego Berlina. Nikt nie wiedział co robić, ale nikt też nie opuszczał wagonów. Powszechnie sądzono, że być może podłączą inną lokomotywę i pociąg wkrótce ruszy dalej. Pozornie przemawiał za tym fakt, że wagon z konwojentami pozostał razem z nami. Perspektywa powrotu na dworzec, z którego niedawno odjechaliśmy nie była ponętna, gdyż nie było tu żadnej drogi, którą dałoby się pieszo dojść do Berlina, siedzieliśmy więc spokojnie na naszych tobołach aż nastąpiła ciemność. Wtedy stała się rzecz nieoczekiwana. Z końca pociągu rozległy się krzyki, które dość szybko zbliżały się do naszego wagonu. Okazało się, że konwojenci systematycznie grabią repatriantów. Nikt nie stawiał czynnego oporu, gdyż byli uzbrojeni i zachowywali się gnanie. Przyszła wreszcie kolej i na nas. Podobnie jak wszyscy inni pozbawieni zostaliśmy wszystkiego co dźwigaliśmy ze sobą w workach.

Po rabunku zapanowała kompletna cisza. Była noc i zrobiło się zimno. Ponieważ nie musieliśmy się już troszczyć o bagaż, więc zyskaliśmy większą swobodę ruchów i zaczęliśmy rozglądać się za jakimś dachem nad głową. Na sąsiednim torze stał pociąg towarowy, przy czym niektóre wagony miały przybudówkę do której wchodziło się po małej, żelaznej drabince. Było ciasno, ale zmieściliśmy się tam we trójkę, a po zamknięciu drzwi zrobiło się ciepło. Zmęczony przeżyciami dnia przykucnąłem na podłodze i zapadłem w zbawienny letarg, gdy zbudziło mnie głośne wołanie po rosyjsku. Otworzyliśmy natychmiast drzwi i zobaczyłem na dole jednego z konwojentów, który oślepił nas latarką. Po chwili wspiął się po drabince i zionąc wódką, zażądał zegarków. Trzeba dodać, że w czasie rabunku rzeczy nie byliśmy rewidowani osobiście. Pokazaliśmy mu ręce na których nie było zegarków, bo nie mieliśmy żadnych. To go jednak nie zadowoliło, gdyż dostrzegł na szyi Henryka tasiemkę. Szarpnął za koszulę i obnażył metalowe pudełko w kształcie gruszki, zawieszzone na tasiemce i schowane pod koszulą. Fute-

rał ten zawierał staromodny tani zegarek, nakręcany kluczykiem, potocznie zwany *cebula*. Nie miał on żadnej wartości, nawet dla kolekcjonera staroci, ale to nie zrażało rabusia. Nie zdając sobie sprawy z tego co robię, zwróciłem się do niego w łamanym języku rosyjskim powiadając mu kim jesteśmy - a więc ofiarami faszyzmu i przyjaciółmi - i powołując się na ideologię komunistyczną, prosiłem aby pozostawił Henrykowi jego pamiątkę rodzinną, tym bardziej, że nie ma ona żadnej wartości. Reakcja była gwałtowna. Zostałem obrzucony plugawymi obelgami, a co gorsza wymierzył we mnie duży rewolwer. Nie wiem czy nie zostałem zastrzelony, gdyby nie Henryk, który szybko wysunął się do przodu osłaniając mnie i równocześnie oddał swój zegarek. Bandyta na tym poprzestał i znikł w ciemnościach.

Byliśmy wstrząśnięci tym nowym rabunkiem. Co się mnie tyczy, to byłem kompletnie zdruzgotany. Strata materialna miała drugorzędne znaczenie wobec tego, co spotkało Henryka, za którego czułem się moralnie odpowiedzialny i któremu być może zawdzięczałem życie.

Rano zdecydowaliśmy wrócić do Berlina. Podobnie jak my, wszyscy inni pasażerowie pociągu ciągnęli w kierunku z dala mającej drogi. Przechodząc koło zamkniętego wagonu konwojentów zobaczyliśmy na ziemi dużą ilość pustych puszek po konserwach amerykańskich oraz opakowań po przedmiotach pochodzących z nocnego rabunku. Widok ten wzburzył mnie na nowo i gdy dotarliśmy wreszcie do drogi wszedłem do pobliskiej radzieckiej komendatury wojskowej domagając się sprawiedliwości.

W hallu zarekwirowanej willi stało biurko, za którym siedział młody wiekiem i rangą oficer dyżurny. Opowiedziałem mu, co nas spotkało, używając tych samych argumentów, którymi próbowałem uratować zegarek Henryka. Wysłuchał mnie spokojnie, ale wątpił czy rzeczywiście zostaliśmy obrabowani przez konwojentów. Kiedy powiedziałem, że wokół ich wagonu rozsiane są dowody potwierdzające moją skargę i że gotów jestem zaprowadzić ich na to miejsce, zagroził mi nieokreśloną karą, gdyby okazało się, że moje zarzuty są zmyślane. Wezwał jednak dwóch uzbrojonych żołnierzy z czerwonymi opaskami i białymi literami K. P. i kazał aby szli za nami. Po drodze opadł mnie lęk, że zanim dojdziemy na miejsce rabusie uprzątną ślady ostatniej nocy. Tak się jednak nie stało. Ponieważ nikt w wagonie nie reagował na wołania wysłanników komendatury, więc jeden z nich uderzył kolbą w ścianę ciepłuszki. Wtedy dopiero

rozsunęły się drzwi, a w progu ukazała się znajoma fizjonomia zaspanego konwojenta z automatem w ręku. Na jego pytanie *Cziewo?* nasza eskorta zaczęła jak gdyby usprawiedliwiać się, tłumacząc o co chodzi. W odpowiedzi konwojent z pepeszą w ręku zaczął okropnie kłąć i nie strzelając pomachiwał bronią z prawa w lewo. Wywarło to skutek, gdyż żołnierze z komendantury odwrócili się do nas plecami i nie udzielając żadnego wyjaśnienia udali się w drogę powrotną. Po tym i nam nie pozostało nic innego, jak tylko szybko oddalić się od miejsca rabunku. Znow moja wiara wobec władzy radzieckiej została wystawiona na urągawisko. Wszystko na oczach Henryka, któremu tak wiele opowiadałem o zaletach nowego ustroju i bezinteresowności jego ludzi.

Po długim chodzeniu wróciliśmy do miejsca z którego zaczęliśmy naszą podróż: na dworzec Berlin-Lichtenberg. Tutaj zastaliśmy znaną sytuację i nie tracąc czasu zaczęliśmy się przepychać w kierunku skraju peronu. Tym razem nie musieliśmy długo czekać, gdyż wkrótce zajęchał długi pociąg osobowy, na który wszyscy rzucili się z miejsca. Jeszcze wczoraj nie mielibyśmy prawdopodobnie żadnej szansy, aby dostać się do pociągu, ale dzisiaj nasza sytuacja była lepsza. Pozbawieni bagażu mieliśmy wolne ręce, co ogromnie polepszało nasze możliwości w porównaniu z tymi, którzy jeszcze byli obarczeni pakunkami. Tak jak przewidywaliśmy, walka o miejsce w pociągu była bezwzględna.

Okazało się, że do wagonów zdołali się dostać prawie wyłącznie ludzie w mundurach, którzy ku mojemu zdziwieniu dopuszczali spośród cywilów tylko kobiety. Reszta wojskowych, dla których zabrakło miejsca, oraz cywile starali się zdobyć miejsce na dachach. Wśród tych, którym to się powiodło znalazła się nasza trójka. Wszyscy na dachu siedzieli w dwóch rzędach, zwróceni ku sobie plecami. Wszystkie dachy były gęsto wypełnione ludźmi i bagażem. W naszym najbliższym sąsiedztwie znajdował się polski sierżant, radziecki starszyna i młodszy lejtnant. Z sierżantem wdałem się w rozmowę. Dowiedziałem się, że był już kilkakrotnie w Berlinie, że sporo wojskowych radzieckich i polskich podróżuje na tej trasie w celach - jak się wyraził - handlowych. Próbowałem zorientować się jakie są jego zapatrywania polityczne, ale wyraźnie unikał tego tematu. Mimo to bliskość polskiego żołnierza podniosła mnie na duchu. Zanim pociąg ruszył, a trwało to dość długo, zaszła pewna dziwna rzecz. Oto od lokomotywy, wzdłuż

całego pociągu przesuwała się szybko dachami niewielka grupa rosyjskich dzieci, a właściwie chłopców ubranych w najdziwniejszy sposób. Wszyscy oni mieli na sobie za dużą odzież, rozmiaru dorosłych. Prawie wszyscy byli ubrani częściowo po cywilnemu i częściowo w mundury. Na głowie mieli różnego rodzaju nakrycia: czapki bez daszka, berety, uszanki, a w jednym przypadku za duży melonik. Na dachach było ciasno, ale ci chłopcy poruszali się zwinnie, z dużą wprawą. Jeżeli groziła im chwilowa utrata równowagi, to bez skrupułów i żadnych przeproszeń chwyтали to co było pod ręką: czyjaś szyję, ramię, twarz czy głowę. Z równą łatwością i pewnością przeskakiwali z jednego dachu na drugi. Zaintrygowany tym co się dzieje, zapytałem sierżanta co to wszystko znaczy i kim są te dzieci? Uśmiechnął się i powiedział, że jak tylko zapadnie noc, to sam się przekonam. Dodał, że są to bezdomne dzieci, które grasują bezkarnie na tej trasie, zajmując się grabieżą. Uwierzyłem mu, ale nie wywarło to na mnie większego wrażenia. Chodziło ostatecznie o dzieci, a na dachu znajdowało się sporo uzbrojonych wojskowych, którzy swoim zachowaniem nie przypominali w niczym konwojentów z ubiegłej nocy. Poza tym, nie mieliśmy już niczego co można by nam zabrać.

Pociąg jechał wolno zatrzymując się niekiedy na małych zniszczonych stacyjkach, na których nikt nie wsiadał ani wysiadał. Wtedy też zobaczyłem owe wielkie transporty broni pancерnej jadące w odwrotnym niż my kierunku. Póki trwał dzień nie było nam zimno, chociaż cały czas byliśmy wystawieni na wiatr pędzącego pociągu. Sytuacja zmieniła się jednak z nastaniem nocy. Wtedy też zaczął się rabunek. Z sąsiedniego wagonu przeskoczyło do nas dwóch chłopców. Każdy z nich obrabiał swoją stronę dachu. Byli pochyleni do przodu, zwrócenii twarzą w stronę tych, których grabili. Niekiedy kładli nóż między zęby, gdy potrzebne im były obie ręce. Wystarczyłoby lekkie pchnięcie ze strony ofiary a poleciliby do tyłu w mrok otaczający pędzący pociąg. A jednak nikt tego nie zrobił i nikt nie stawiał oporu. Zadziałała tu widocznie ta sama magia, która powodowała, że pędzeni do gazu Żydzi nie stawiali oporu. Tym razem byliśmy oszczędzeni, bo nie mieliśmy niczego, ale siedzący nieopodal Polak, wracający z robót stracił całą walizkę. Walizkę miał zniszczoną z zepsutymi zamkami i dlatego opasaną dwoma pasami. Młodociany rabuś nie tracił czasu na sforsowanie klamer pasa, tylko nożem przeciął oba rzemienie i otworzył wieko. Opierając jedną rękę na ramieniu swej ofiary, aby utrzymać

równowagę, dokonywał drugą szybką selekcję rzeczy. Wszystko co niepotrzebne rzucał do tyłu, a nieliczne przedmioty, które zatrzymywał, kładł do sporego worka, przewieszzonego przez ramię. Na koniec wyrzucił pustą walizkę, która teraz nie była już nikomu potrzebna. Noże nie były nigdy użyte przeciwko ofiarom rabunku, ale stanowiły groźbę, której nikt nie lekceważył. Rozejrzałem się wokół. To samo spotkało wszystkich cywilów na naszym dachu. Wojskowi byli pomińnięci. Wszyscy oni spali, ale prawdopodobniejsze jest, że udawali sen. Po kilku minutach chłopcy znikli, przeskakując na dach następnego wagonu. Po dość długim czasie pojawili się jednak znowu, zmierzając w przeciwnym kierunku. Prawdopodobnie mieli bazę na dachu jednego z pierwszych wagonów za lokomotywą.

Podczas gdy na dachu trwał bezgłośny rabunek, z dołu pociągu, poprzez stuk kół dochodziły od czasu do czasu przeraźliwe krzyki kobiet. Albo i one były rabowane, albo gwałcone, bo chyba nie były bite bez żadnej przyczyny?

Bardzo późno w nocy zajechaliśmy na granicę polską w okolicy Frankfurtu, nad Odrą. Pociąg wtoczył się na dworzec, gdzie po raz pierwszy zobaczyłem polskie flagi. Nie było elektryczności i dlatego peron był słabo oświetlony karbidowymi i naftowymi lampami. Musiał tu niedawno padać deszcz, bo było mokro i wszędzie stały kałuże. Pod ścianą budynku stacyjnego zobaczyłem niemieckich wysiedleńców. Siedzieli na ziemi, wśród przemokniętych tobołów, waliz i betów. Przeważały kobiety i dzieci. Widok był przygnębiający i pamiętam, że nie zaznałem z tego powodu żadnej satysfakcji.

Pod nami, na peronie panował ożywiony ruch. Masa ludzi, głównie wojskowi, którzy wysypali się z wagonów chodzili tam i z powrotem, prawdopodobnie chcąc zażyć ruchu po wielogodzinnej jeździe w tłoku. Ogromna większość tych, którzy jak i my podróżowali na dachu, nie odważała się zejść na dół, z obawy, że nie zdążą lub nie uda im się wdrapać na górę, gdy pociąg - jak zwykle - nieoczekiwanie ruszy. W tej sytuacji ojciec zwierzył mi się, że od wielu godzin wstrzymuje się od siusiania, i że dłużej nie wytrzyma. Zastanawialiśmy się przez chwilę, co robić, ale nie znajdowaliśmy żadnego wyjścia, ponieważ zejście z dachu było związane z dużym

ryzykiem, że ugrzęźniemy na tym miejscu. Wpadłem jednak na pomysł - również ryzykowny, ale dający pewną szansę. W kieszeni munduru miałem starannie złożoną dużą papierową torbę. Ojciec - proponowałem - miał wysuszać się do tej torby, której górną krawędź ściągnąłem, pozostawiając niewielki otwór. Torbę miałem odrzucić od siebie jak najszybciej i jak najdalej, z chwilą, gdy ojciec będzie gotów. Panował półmrok i tak też zrobiliśmy. Ku mojemu przerażeniu ściany torby przemakały błyskawicznie, szybciej niż się spodziewałem, ale torba wytrzymała do końca. Wyrzucona przeze mnie w ciemną przestrzeń, rozpadła się jednak nad peronem, oblewając znajdujących się tam ludzi. Z dołu rozległ się straszny krzyk i przekleństwa. Słyszałem szczęk repetowanych karabinów i wołanie o sprawcę. Nie wiem, jakby się to dla nas skończyło, gdyż bylibyśmy w końcu wykryci, gdyby nie to, że pociąg zaczął się wolno toczyć i żądni zemsty żołnierze zmuszeni byli przerwać poszukiwanie i wskakiwać w biegu do wagonów.

Nareszcie byliśmy w Polsce. Kiedy pociąg zatrzymał się w Ostrowie Wielkopolskim zgłosiliśmy się wraz z innymi do zaimprovizowanego na peronie punktu repatriacyjnego, gdzie każdy dostał pół bochenka pięknego, białego chleba, jakiego nie widziałem od 39 roku i niewielką ilość polskich pieniędzy.

Był ładny, słoneczny dzień, gdy wciąż jeszcze siedząc na dachu jechaliśmy w kierunku Łodzi. Mimo przejść minionej nocy byliśmy w dobrym nastroju. Około południa pociąg zatrzymał się w szczerym polu. Tym razem - podobnie jak i inni- ośmieliliśmy się zejść z dachu. Ludzie załatwiali swoje potrzeby z obu stron toru, niektórzy spacerowali wzdłuż niskiego nasypu, inni leżeli w trawie. Wypoczywaliśmy we trójkę, kiedy podeszło do nas dwóch żołnierzy radzieckich. Nie spodziewałem się rabunku, gdyż nie mieliśmy niczego, był jasny dzień, a wokół było dużo ludzi. Kiedy przemówili do mnie i do ojca wydawało mi się, że ich nie rozumiem, a potem, że żartują. Oskarżali nas, że jesteśmy niemieckimi szpiegami i zajęli bardzo groźną postawę. Kiedy połapałem się, że to jednak nie żarty, opowiedziałem kim jesteśmy, dziwiąc się, że sami tego nie dostrzegli. Pomijając wszystko inne mieliśmy na głowie bardzo krótkie włosy z wyraźnym śladem wystrzyżonego pasa, biegnącego przez całą głowę od czoła do potylicy. Na te argumenty odpowiedzieli wskazując nasze ubranie: nosiliśmy przecież mundury Wehrmachtu, na których wprawdzie widoczna była mała czerwono-biała wstążeczka, ale poza tym więk-

szość oryginalnych dystynkcji. Henryk miał na sobie stare, cywilne ubranie i prawdopodobnie dlatego zostawiono go w spokoju. Rozejrzałem się wokół i dopiero wtedy zorientowałem się, że oprócz mnie i ojca nikt z repatriantów nie miał na sobie munduru niemieckiego. Nie wiedziałem czy śmiać się czy płakać z zaistniałej sytuacji i właśnie zamierzałem zaproponować im próbę spuszczonej spodni, kiedy po raz ostatni z pomocą przyszedł nam wolno ruszający pociąg. Na ten widok rzuciliśmy się wszyscy w stronę wagonów, w tej liczbie także nasi prześladowcy.

Minęliśmy Łask. Pojawiają się stacje zwiastujące bliskość Łodzi. Z zadowoleniem konstatuje, że pamiętam ich kolejność. Z dachu wagonu wszystko wygląda normalnie, jak gdyby nigdy nie było tu wojny. Wreszcie Łódź! Przedmieścia są całe, a więc miasto jest chyba niezniszczone? No i Łódź-Kaliska! Wzruszenie i rozczarowanie zarazem. Dworzec zapamiętałem, jako okazały budynek z wielkimi schodami, pełen ożywionego ruchu. Wszystko okazuje się mniejsze, zachowane w całości, ale pokryte łuszczącym się tynkiem i kurzem. Ruch minimalny, ale jest przecież wczesnie rano. Mimo to widok skręcającego z Kopernika znanego tramwaju i postój sfatygowanych dorożek konnych podnosi jakoś na duchu.

Żegnamy się z Henrykiem, który jedzie dalej, do Warszawy. Henryka nigdy już więcej nie spotkałem. Po upływie roku dostałem od niego list. Nie pamiętam, w jaki sposób zdobył mój adres, bo kilkakrotnie zmienialiśmy mieszkanie. Osiadł na Dolnym Śląsku i miał gospodarstwo rolne. Wydawało się, że zdołał się urządzić. Nie pisał, czy był zadowolony z powrotu do Polski, ale ponieważ pisał w przyjaznym tonie, więc wolę sobie tłumaczyć, że nie miał do mnie żalu o to, że go namawiałem.

Nie nagabywani przez nikogo zeszliśmy z ojcem szerokimi schodami dworca kaliskiego w stronę przystanku, gdzie ze wzruszeniem rozpoznaję stare, znajome tramwaje łódzkie. Zamierzaliśmy przede wszystkim poszukać gminy żydowskiej, o ile taka w ogóle istnieje. Tam powinniśmy móc się dowiedzieć, czy matka wróciła, czy żyje i kto jeszcze z krewnych przeżył. Jestem w dobrym nastroju, choć nie spodziewam się, aby matka mogła to wszystko przeżyć.

Wkraczam w nowy, dojrzały okres życia, w którym między innymi utracę swą polityczną niewinność.
